



WYDANIE SPECJALNE NA WIELKANOC



ROZMOWA Z ANDRZЕJEM DUDĄ: O TERMINIE WYBORÓW, STANIE NADZWYCZAJNYM I TARCZY ANTYKRYZYSOWEJ

TYGODNIK LISICKIEGO

DO
RZEC

CENA 7,90 zł (W TYM 8% VAT) NR 15/368 6-13 KWIECІNIA 2020

PAWEŁ LISICKI

Historia jednego fałszerstwa

JAK FEMINISTKI WYMYŚLIŁY „ŻONĘ” JEZUSA

ZIEMKIEWICZ o przyszłości demokracji po COVID-19

WARZECHA o zagrożeniu dla wolności osobistej

Arcyciekawa historia rodu ARCYBISKUPA HOSERA

Krzysztof Maślōń żegna KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

INFLACJA – wystrzeli czy się przyczał?

Jak się dziś żyje W DONBASIE





Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VEDYCJA NAGRODY



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAS KONCERTU:



PARTNER



PARTNER WSPIERAJĄCY:



PATRONI MEDIALNI:



**Sprawdź
wiarygodne
źródła:**

www.gov.pl/koronawirus
**Bezpłatna infolinia 24/7:
800 190 590**



Sklepy

Przeczytaj zanim pójdziesz na zakupy!

Każdego dnia, miliony Polaków robi zakupy w małych lub dużych sklepach spożywczych. Dziś, w czasach epidemii koronawirusa, nie ma innych zamkniętych pod dachem budynków, odwiedzanych tak licznie i powszechnie przez Rodaków. Dlatego, w trosce o bezpieczeństwo zdrowotne nas wszystkich, wprowadzamy kilka nowych zasad.

Liczba klientów

W sklepie może przebywać jednocześnie tylu klientów, ile wynosi liczba kas pomnożona przez 3.



Przywilej dla seniorów

W godzinach od 10:00 do 12:00, placówki handlowe mogą przyjmować i obsługiwać wyłącznie(!) osoby powyżej 65. roku życia. W pozostałych godzinach miejsca te są dostępne dla wszystkich (w tym dla osób powyżej 65. roku życia). W ten sposób chronimy szczególnie narażonych przed codziennym zagrożeniem.

Rękawiczki

Sklepy mają obowiązek zapewnienia klientom jednorazowych rękawiczek. Zalecamy natomiast, żeby – o ile to tylko możliwe – klienci mieli ze sobą własne rękawiczki.

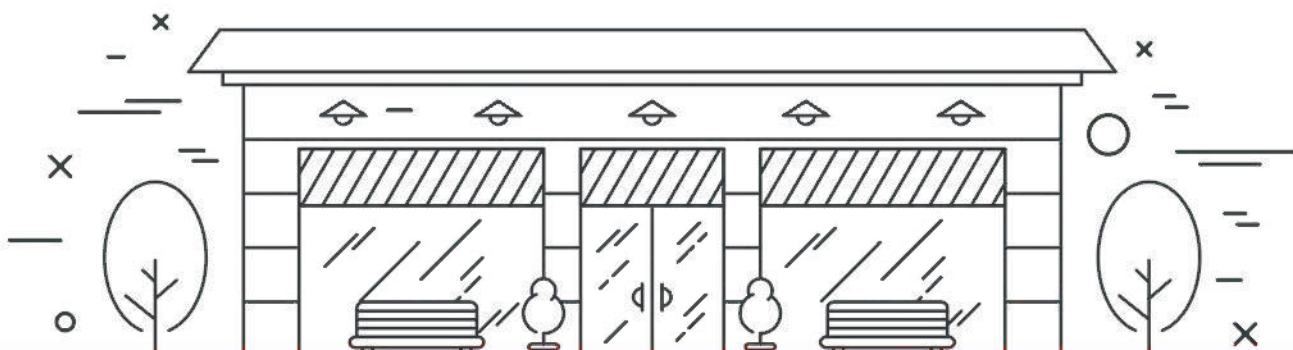
Bazarki i targowiska

Przyjmujemy ścisłą zasadę, że na bazarku, czy targowisku może jednocześnie robić zakupy tyle osób, ile jest straganów/punktów sprzedaży razy 3.

Na przykład: jeśli na osiedlowym bazarze jest 20 takich punktów, to na jego terenie może przebywać w tym samym czasie, maksymalnie 60 klientów.

Szanowni właściciele małych sklepów i właściciele sieci sklepów spożywczych!

Wielu z Was wprowadziło już wachlarz zasad higienicznych obowiązujących w trakcie zakupów. Dopilnujcie przestrzegania wszystkich nowych regulacji. Zadbajcie o to, by klienci łatwo mogli pobrać rękawiczki, z zachowaniem zasad higieny. Mocno rekomendujemy też udostępnić klientom na wejściu i wyjściu, płyn do dezynfekcji dłoni i uzupełniać go non stop! Wasza dbałość w przestrzeganiu zasad, może uchronić zdrowie i życie wielu, naprawdę wielu Rodaków.



Więcej informacji znajdziesz na stronie: www.gov.pl/koronawirus



KANCELARIA PREZESA
RADY MINISTRÓW



Tarcza
Antykryzysowa

eprasa.pl 97a5nct3



Blagosławieństwa i obfitych łask
od Chrystusa Zmartwychwstałego
oraz pełnych pokoju Świąt Wielkanocnych
i radosnego „Alleluja”
życzy redakcja „Do Rzeczy”

W RZECZY SAMEJ

Koniec pewnej epoki



PAWEŁ LISICKI

To będą chyba najsmutniejsze Świąta Wielkanocne, od kiedy pamiętam. Puste ulice, pospiesznie przemijające pojedynczy przechodnie, wielu z nich w maseczkach na twarzy. Co równie przygnębiające, opustoszałe lub po prostu zamknięte kościoły – akurat w Wielkim Tygodniu ten widok jest szczególnie przejmujący. Takie są koszty walki z epidemią i wydaje się, że w większości społeczeństwo je zaakceptowało. Trudno w takiej sytuacji nie zadać sobie pytania o to, jakie mogą być trwałe efekty obecnego kryzysu.

Pierwszym chyba i najważniejszym będzie renesans idei państwa narodowego. Doskonale widać to już po pierwszych reakcjach polityków. W zderzeniu z pandemią okazało się, że Unia Europejska jest organizmem słabym, powolnym. To rządy poszczególnych państw same podejmowały decyzje o zamknięciu granic, o wprowadzeniu konkretnych środków – zamknięciu szkół, poszczególnych branż, zawieszeniu obowiązywania dotychczasowych ustaw – w walce z pandemią. To państwo narodowe stało się dla swoich obywateli najważniejszym punktem odniesienia.

W sposób symboliczny pokazał to osobiwy fakt – w zeszły czwartek, kiedy, tak jak co dzień, opinia publiczna szukała najnowszych informacji o liczbie zachorowań

i zgonów wskutek koronawirusa, najwyższy sąd unijny, TSUE, wydał wyrok obwiniający Polskę i Węgry w związku z brakiem zgody tych państw na relokację uchodźców. Trudno o większe kuriozum. Jeśli ktoś szukał sposobu, by znaleźć dowód na abstrakcyjność, obcość, oderwanie się elit unijnych od życia zwykłych obywateli, to właśnie go znalazł. Ogłoszenie tego wyroku w tym momencie to przykład kompletnej aberracji.

Renesans państw narodowych może też mieć wpływ na zmiany dotychczasowej, tak bardzo motywowanej ideologicznie polityki Unii. Zdrowy rozsądek podpowiada, że na śmietniku historii powinny wylądować słynna polityka neutralności klimatycznej i inne brukselskie pomysły. Ktoś, kto walczy o przetrwanie – a w takim stanie znajdzie się gospodarka wielu państw europejskich – powinien być w mniejszym stopniu gotów uciekać się do wielkich, globalnych, utopijnych projektów. Sama konieczność wymusi większy rozsądek.

Być może zresztą kolejnym efektem politycznym będzie wzrost znaczenia ruchów i sił politycznych, które kontestowały lewicowy europejski establishment. Nie da się ukryć, że to właśnie rządząca we Włoszech, Francji czy w Hiszpanii lewica w dużym stopniu przyczyniła się do skali

kryzysu. To włoski lewicowy rząd działał opieszale i kunktatorsko. Gorzej jeszcze zachował się gabinet hiszpański – mając już pełną wiedzę o niebezpieczeństwie, które niosła epidemia, rządzący tam lewicowcy dopuścili do wielkich feministycznych demonstracji 8 marca, przez co w oczywisty sposób przyczynili się do masowych zachorowań. Ich reakcja była nie tylko spóźniona, lecz także samobójcza. Nie mądrzej reagował rząd francuski, który zdołał jeszcze przeprowadzić pierwszą turę niedokończonych wyborów. Wszystko razem to przykłady krótkowzroczności i głupoty. Doprawdy, bardzo będę się dziwił, jeśli po ustąpieniu zarazy lewicowe elity nie zostaną przez wyborców ukarane za swoją nonszalancję. Dopiero kiedy patrzy się na takie postępowanie różnych europejskich mędrców, widać absurdalność zarzutów, które polska opozycja stawia obecnej władzy. Niezależnie od tego, że niektóre jej postanowienia są zbyt restrykcyjne, na tle rządów europejskich Polska wygląda na oazę roztropności. I na pewno konsekwencji.

Trzecim skutkiem epidemii może być powrót do znacznie silniejszej globalnej rywalizacji mocarstw. Dawne czasy powszechnego spokoju i jednostajnego rozwoju wydaje się, że bezpowrotnie przeminęły. © ©



TEMAT TYGODNIA

14 PAWEŁ LISICKI

HISTORIA JEDNEGO FAŁSZERSTWA

Evangelia żony Jezusa?

22 ROZMOWA Z PROF. BERNARDO HONTANILLĄ

TWARZ Z CAŁUNU ŻYJE

KRAJ

26 ROZMOWA Z PREZYDENTEM RP

ANDRZEJEM DUDĄ

POLSKA ZDAJE EGZAMIN

Państwo w czasie pandemii

32 PIOTR SEMKA

NOWY PODZIAŁ TORTU

34 ROZMOWA Z JACKIEM SASINEM

KONIEC Z ROSYJSKIM SZANTAŻEM GAZOWYM

37 WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZY KUKIZ JESZCZE ZAGRA

40 TOMASZ ROWIŃSKI

ARCYBISKUP HENRYK HOSER – OGRODNIK DUSZ

44 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

TYLKO BÓG WIE, PRZEZ CO PRZESZLIŚMY

KULTURA

46 PIOTR GOCIEK

TAJEMNICZY PRZYBYSZ

Netflix o drugim przyjściu Jezusa

48 KRZYSZTOF MASŁOŃ

KRZYSZTOF PENDERECKI DAŁ POLSCE WIELKIE FORMY

52 WIESŁAW CHEŁMIŃIAK

POLAKU, SPÓJRZ W LUSTRO

56 ŁUKASZ ZBORALSKI

GŁOŚNY PROCES O PRZEBÓJ

NIE PRZEGAP

58 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

64 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

CO PO DEMOKRACJI?

Świat właśnie przechodzi sprawdzian

66 ŁUKASZ WARZECHA

ODDAĆ WOLNOŚĆ ZE STRACHU

HISTORIA

68 JACEK KOMUDA

AMBASADOROWIE PRZEKŁĘTEJ CARYCY

Wysłannicy Rosji niczym nadzorczy Polski

72 ŁUKASZ CZARNECKI

TRAGICZNY ZWIĄZEK DAGNY JUEL ZE STANISŁAWEM PRZYBYSZEWSKIM

ŚWIAT

76 OLIVIER BAULT

KATEDRA OD NOWA

Rok po pożarze katedry Notre Dame

80 MACIEJ PIECZYŃSKI

DONBAS, CZYLI BEZNADZIEJA

82 PRZEMYSŁAW KAWALEC

OAZA SZARIATU

EKONOMIA

84 JAKUB WOZIŃSKI

INFLACYJNA NIEPEWNOŚĆ

Będzie taniej czy drożej?

88 JACEK PRZYBYLSKI

PROROCTWA BILLA GATESA

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK

JAK WSPAĆ SIĘ DO WYŻSZYCH SFER

Awans społeczny po angielsku

O ZDROWIU

92 ROZMOWA Z PROF. PIOTREM JANKOWSKIM

W CZASIE EPIDEMII LECZYMY DOBRZE TEŻ CHOLESTEROL

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (74), PRZYBYLSKI (79), GABRYEL, WARZECHA (86), KOMUDA (94), ZALEWSKI, MAKOWSKI (97), KUCHARCZYK (98)



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: Paweł Lisicki
I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel
Zastępca redaktora naczelnego: Piotr Zychowicz

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk,
Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmiński, Dominika
Ćosić (Bruksela), Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek
Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Grzegorz
Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel,
Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak,
Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak,

Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Szwach Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Woziński, Tomasz Wróblewski, Wojciech
Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca),
Antoni Trzmiel (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Blanka Aleksowska,
Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

Studio graficzne: Wojciech Niedziello (szef studia), Jakub Tański,
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk

Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka
Wasilewska

Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa
Okładka: Bridgeman/PhotoPower

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rylkaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki



BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUJĄ I PRODUKUJĄ:

Adam Borzęcki (kolportaż); Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 59 200 egzemplarzy



DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



NA PIERWSZY OGIEŃ

Kompromis bez uśmiechów?



PIOTR SEMKA

No i zdarzyło mi się coś, co bywa koszmarem komentatora. Trzeba oddać komentarz do druku, gdy jeszcze kształt politycznej układanki nie do końca się wyklarował.

Wiele wskazuje na to, że kryzys na linii PiS – Jarosław Gowin i Porozumienie może zakończyć się kompromisem. Zjednoczona Prawica przedstawi opozycji dwa rozwiązania do wyboru. W pierwszym ruchu Gowin w jej imieniu zaproponowałby zmianę w konstytucji przedłużającą Andrzejowi Dudzie kadencję o dwa lata. Jeśli opozycja to odrzuci, wówczas PiS w całości, czyli także z udziałem Porozumienia Gowina, przegłosowałby w Sejmie stan klęski żywiołowej na 30 dni, po których byłoby 90 dni karencji i wreszcie wybory w sierpniu, na zasadzie głosowania korespondencyjnego.

Jeśli te przecieki miałyby się potwierdzić, wówczas oznaczałoby to kompromis w obozie Zjednoczonej Prawicy – Kaczyński zrezygnowałby z forsowania terminu wybo-

rów 10 maja, a Gowin wyszedłby z kryzysu z twarzą, wskazując, że próbował odłożyć wybory już nie o rok, ale o dwa lata. A jeśli opozycja wyrazi sprzeciw, to rozłoży ręce i powie: „Chciałem dobrze, ale beton platformerski nie chce przesunąć się ani o krok”.

Politycy opozycji już głoszą: „Żadnego majstrowania wraz z PiS przy konstytucji”. Jeżeli tendencja ta okaże się trwała, to idea znacznego przedłużenia kadencji Andrzeja Dudy wyzionie ducha. Wtedy PiS zacznie solidnie, a nie na chybcika, przygotowywać się do wyborów korespondencyjnych w sierpniu.

Nie jest jasne, w jakim stopniu prezydent Duda był uczestnikiem takich planów. Część polityków PiS wskazuje, że prezes Kaczyński teraz zagryza zęby, ale za jakiś czas odpłaci się Gowinowi. Ci, którzy bali się niechęci społeczeństwa do szybkich wyborów, odetchnęli z ulgą.

Obie strony uniknęły najgorszych scenariuszy. PiS – utraty większości sejmowej w razie

zerwania koalicji z Gowinem i jego pozostałymi 17 posłami. Gowin – wyrzucenia siebie i swoich ministrów z rządu. Można jednak odnieść wrażenie, że Gowin bardziej przeforsował swój interes niż całą Zjednoczoną Prawicę. Tym ruchem uratował swoją twarz, ale zacieśnił pole działania dla całej formacji. Jarosław Kaczyński traci możliwość wyboru daty 10 maja i ryzykuje, że jeśli dojdzie do wyborów w sierpniu, to nastroje Polaków będą znacznie gorsze wskutek zubożenia społecznego i bezrobocia.

I na koniec jeszcze jedna uwaga. Opozycja, domagając się wprowadzenia któregoś ze stanów nadzwyczajnych, nie obawiała się, że PiS użyje przepisów przewidzianych na taką okoliczność do ograniczania swobód obywatelskich. To dobra ilustracja tego, jak KO czy Lewica, krzycząc o zamordyzmie PiS, jednocześnie jest pewna, że Kaczyński nie będzie równie autorytarny jak Orbán. To wiele mówi o wyrachowaniu naszej opozycji i zdolności PiS do samoograniczania się. ©©

Jest wiele pytań o wybory

Z Jerzym Kwaśniewskim, prezesem Instytutu Ordo Iuris

rozmawia Wojciech Wybranowski

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Jak ocenia pan pomysł przeprowadzenia wyborów drogą korespondencyjną?

JERZY KWAŚNIEWSKI: Koncepcja korespondencyjnego głosowania nie budzi istotnych wątpliwości konstytucyjnych i jest formą prawidłową. Oczywiście pojawiały się poglądy konstytucjonalistów, które wskazywały na zagrożenie w ten sposób zasady bezpośredniości, ale również praktyka innych państw dowodzi, że głosowanie korespondencyjne nie zagraża dobremu funkcjonowaniu demokracji.

Problem polega jednak na tym, że zmiany wdrażane są w toku kampanii wyborczej, na niecałe dwa miesiące przed dniem wyborów. Od wielu lat mamy jednolite orzecznictwo Trybunału Konstytucyjnego, które mówi o minimalnym, sześciomiesięcznym okresie *vacatio legis*, który w przypadku istotnych zmian prawa wyborczego musi poprzedzać pierwszą czynność wyborczą.

Trybunał przewiduje jednak pewien wyjątek.

Trybunał wielokrotnie powtarzał, że jeśli są nadzwyczajne okoliczności, to one mogłyby uzasadniać naruszenie sześciomiesięcznego okresu *vacatio legis*. Podkreślę jednak, że ten okres *vacatio legis* to także ochrona całej

procedury wyborczej, także biernego prawa wyborczego wszystkich kandydatów. Pojawiają się również inne istotne z konstytucyjnej perspektywy pytania, np.: czy nadzwyczajne okoliczności, czyli epidemia koronawirusa i zagrożenie dla życia i zdrowia, uzasadniają zmiany tak daleko idące na chwilę przed wyborami, czy może jednak są przesłankami wprowadzenia stanu nadzwyczajnego? A w stanie nadzwyczajnym nie wolno ani zmieniać prawa wyborczego, ani przeprowadzać wyborów. Ostatecznie głos w tej sprawie zajmie zapewne Sąd Najwyższy oceniający ważność wyborów i Trybunał Konstytucyjny rozważający konstytucyjność przyjętych w tym trybie przepisów. ©©

**Unikatowe albumy okolicznościowe związane z obchodami
10. Rocznicy Katastrofy pod Smoleńskiem. Wydawnictwa
stanowią fonograficzny i edytorski wyraz narodowej pamięci.**

Patronat: Rada Mediów Narodowych



***Smoleńsk – ostatnia misja.
Pamięci Ofiar katastrofy
smoleńskiej w 2010 roku***

Lista 96. Ofiar Katastrofy z biogramami,
dwa kanoniczne dla polskiej muzyki utwory –
„Epitafium katyńskie” Andrzeja Panufnika
oraz III Symfonia – „Symfonia pieśni żałosnych”
Henryka Mikołaja Góreckiego.

***Prezydent RP Lech Kaczyński.
Świadeństwo***

Pełne fonograficzne kompendium wiedzy
na temat prezydentury prof. Lecha Kaczyńskiego,
na pięciu płytach CD archiwalne wypowiedzi
Prezydenta uzupełnia przeszło sto fotografii.

RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Most Kaczyńskiego

Serial „Co będzie z wyborami?” zasługuje na obszerne, wnikliwe omówienie – nie sposób jednak się do niego zabrać, bo nie dość, że serial trwa, to jeszcze wciąż nie wyklarowały się w nim główne wątki. Najbardziej uważni obserwatorzy sceny politycznej skazani są na domysły.

Na razie więc osobiste domniemania. Skłonny jestem uważać, że okazywana przez PiS determinacja, aby wbrew wszystkiemu wybory przeprowadzić w ustawowym terminie, to polityczna taktyka, by opozycję „przycisnąć”. Nie wiem, czy młode pokolenie czyta jeszcze „Trylogię” Sienkiewicza – jest tam opis jednej z bitew, w której Stefan Czarniecki uporczywie i z wielkimi stratami stara się zdobyć niemożliwy do zdobycia most. Wszyscy dziwią się, po co marnuje siły, bo „nawet jak go zdobędzie i tak po nim nie

przejdzie”, a w końcu okazuje się, że gdy po kilku godzinach cała uwaga Szwedów skupia się na moście, Polacy atakują w innym zupełnie miejscu, przepływając rzekę wpław, i tak, z zaskoczenia, „znoszą wroga” ze szczerem. Otóż sądzę, że termin 10 maja ma być takim właśnie mostem – opozycja skupia się na nim, wyrzuca na stół wszystkie karty, a stan wyjątkowy można przecież zarządzić choćby 8 maja.

Po co taka gra? Ponieważ konstytucyjny bubel, tak w ostatnich latach fetyszyzowany przez opozycję, sprawia, że cokolwiek się w maju stanie albo nie stanie, legalność państwa będzie kwestionowana. Nie określa on, co się dzieje, gdy stan wyjątkowy przerywa trwające już wybory. Czy odmrażamy je po 90 dniach, i od którego momentu, czy trzeba ogłosić nowe? Czy kadencja prezydenta ulega z automatu prze-

dłużeniu, czy prezydenta nie ma? Aby cokolwiek legalnie zarządzić, trzeba konstytucyjnej większości dwóch trzecich głosów.

Dla PSL i Lewicy utrzymanie dotychczasowego zestawu kandydatów to szansa na wyzerowanie PO i zajęcie jej miejsca – dla PO wybory na nowo, z nowymi kandydatami, to z kolei jedyna szansa na przeżycie. To otwiera możliwość gry o dwie trzecie, w której termin wyborów jest asem Komendanta, a asa nie rzuca się na stół przed czasem.

Czasem natomiast wypuszcza się w bitwie zagończyków. Nie wiem, jak zakończy się akcja Jarosława Gowina, ale na pewno jej skutkiem jest pokazanie wyborcom, że jedyną poważną opozycją jest ta z wewnątrz Zjednoczonej Prawicy.

Jest jednak i inna możliwość – że sprawy wymknęły się spod kontroli. ©©

WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Jak walczyć z zarazą

Na zapleczu frontu walki z niebezpieczną epidemią rozgorzała istotna dyskusja na temat metod walki i sposobów zapewnienia ochrony gospodarce jako elementu niezbędnego społeczeństwu do przetrwania. Oś sporu dotyczy metody Polski i Niemiec, czyli niemal całkowitego lockdownu biznesu i ochrony obywateli, modelu, którego konsekwencją mogą być drastyczne skutki gospodarcze, oraz modelu Szwecji, który można streścić: „Gospodarka, głupcze”, nastawiającego się na nieuchronne „straty w zasobie ludzkim”.

W Szwecji mimo sporej liczby zakażeń nie zamyka się firm handlowych i usługowych, placówek kulturalnych i edukacyjnych. Na chwilę obecną władze poprzestają na ograniczeniu skupisk ludzkich do 500 osób, zaleceniach w zakresie – o ile to możliwe – pracy zdalnej i ochrony osób starszych. Z tym bywa różnie: epidemiolog Johan Giesecke nakłaniał współobywateli, by wychodzili i cieszyli się słońcem.

Szwedzkie władze są krytykowane za bagatelizowanie zagrożenia – testy wykonywane są tylko w przypadku osób w bardzo ciężkim stanie. I tu pojawia się argument o igraniu z życiem 10 mln

obywateli. Jest też jednak kontrargument – niepozbawiony słuszności: główny epidemiolog kraju Anders Tegnell stwierdził, że epidemia osłabnie w maju, ale koronawirus wróci jesienią. Podobnego zdania jest wielu ekspertów, którzy zaznaczają, że z koronawirusem musimy nauczyć się żyć jak z grypą.

W obu modelach zasadnicze są trzy pytania: w jakim stanie znajdzie się gospodarka europejskich państw po epidemii, czy słuszne okazały się teorie o wypracowaniu tzw. odporności stada i wreszcie – czy naukowcy pracujący nad szczepionką wygrają wyścig z czasem. ©©

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Klub Pickwicka

Czym innym w obliczu koronawirusowej katastrofy ludzkiej i gospodarczej okazała się Unia Europejska, jej Komisja i Europejski Bank Centralny, jeśli nie stowarzyszeniem mężów i dam totalnie oderwanych od rzeczywistości, pogrążonych we wzajemnych sporach, toczonych w specjalnie do tego stworzonym języku, którego nikt nie rozumie? Teraz, w płonącym teatrze, już nawet nie w kuluarach, ale przy podniesionej kurtynie, z całą przerażoną Europą na widowni to żalosne towarzystwo, któremu z ust nie schodzą frazesy godne Tartuffe'a i Harpagona, wystawia ponurą tragifarsę o zwycięstwie egoizmu i zakłamania nad elementarną przyzwoitością.

Teraz, przynajmniej w Italii, jaśnie oświeceni, którzy przez lata oddawali Unii cześć boską jako depozytariusze cnót wszelkich i jedynej prawdy, już nie nuca Beethovena. Schowali się w mysiej dziurze i skuczą. Ba! Postępowa „La Repubblica”, druga gazeta Włoch, a przy okazji rzecznik prasowy Brukseli na Italię, okazała się myślą, która ryknęła, i to z pierwszej strony, wielką grubą

czcionką: „Paskudna Europa”. Naturalnie dla włoskich wyznawców tego kultu „Europa” to Unia, a raczej strefa euro i EBC razem wzięte.

Pandemia koronawirusa była ogromną szansą na odbudowanie wątlejącego zaufania Europejczyków do decydentów w szklanych domach w Brukseli i we Frankfurcie, na odwojowanie terenów podbitych przez wygolone karki obnoszące się z celtyckim krzyżem i sprzedawców nienawiści do wszystkich spoza własnego plemienia.

Tymczasem tercet egzotyczny Christine Lagarde, Ursula von der Leyen i pani kanclerz pokazał Italii, gdzie ludzie mrą tysiącami, a na południu okradają sklepy, bo nie mogą wykarmić dzieci, wypreżony środkowy palec. Włosi obawiają się, że jeśli przyjmą pomoc na warunkach trzech dam, to skończą jak Grecja. „Europa” na razie nie godzi się na gwarancję potrzebnych Italii pożyczek, bo bilans może jej nie styknąć. Wydaje w ten sposób Włochy na pastwę rekinów finansjery. Hańba! Słusznie modlił się Poeta: „Bankierstwo rozpędź”. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Bezobciachowość

Dojrzałość, racja stanu, troska o dobro

wspólne. Te słowa dobrze oddają oczekiwania społeczne wobec klasy politycznej oraz dziennikarzy w sytuacji kryzysowej. Jednak w tych tweetach ich państwo nie znajduje. Będzie za to trochę – równie potrzebnego – śmiechu. „Meldujemy pełną gotowość do obrad. Pozdrawiamy wszystkich na #homeoffice i #zostanwdomu. Howgh!” – chwilę przed obradami Sejmu napisał poseł Franek Sterczewski, dodając selfie w masce.

Niestety, wielu internautom nie udzielił się jego dobry nastrój, stąd po kilku godzinach przyszło sprostowanie. „Szanowni Państwo, faktycznie wyszło niefortunnie z tym zdjęciem. Przepraszam, jeśli dla kogoś wydało się zabawne lub obciachowe. Nie taka była intencja. Na przyszłość będę bardziej uważny” – obiecał. „Jak się okazało, nasze sejmowe maseczki są przeterminowane... a więc nie zazdrościcie :)” – w tym samym czasie ujawniła jednak posłanka Małgorzata Prokop. Gdy zwrócono jej uwagę, że pomyliła datę atestu z datą produkcji, a maski miały jeszcze trzy lata ważności, tweeta usunęła. Bezobciachowo.

Najwidoczniej w tym samym trybie z pomysłem biznesowo-kwarantannowym wystąpił również pewien muzyk-komentator. „Jako człowiek w stosownym wieku mogę młodzieży zrobić zakupy w spożywczym między 10 a 12, za odpowiednią opłatą” – zaproponował Zbigniew Hołdys. Jego tropem, ale nie wiadomo, czy pro publico bono, podążył znany prawnik-polityk. „Ogłaszam amnestię dla pierwszych 10 posłów PIS, którzy opuszczają klub parlamentarny i przejdą do opozycji. Mogą liczyć na moje zaangażowanie w obronę przed potencjalnymi zarzutami związanymi z ich dotychczasowym działaniem w tej grupie. Amnestia oczywiście nie dotyczy kierownictwa” – napisał Roman Giertych.

Na koniec, dla równowagi, odrobina powagi. „Używanie pandemii do budowania »państwa z permanentnym stanem wyjątkowym« jest politycznie niebezpieczne i moralnie nieakceptowalne” – tweetnął Donald Tusk. „Drogi Donaldzie Tusku, proszę prześlij do nas i do państw na południu Europy nieco sprzętu ochronnego. Wentylatory również przywitamy z radością. Dziękuję” – odpowiedział mu Janez Janša, premier Słowenii. Również z partii EPP. © ©



WŁOSY I TO, CO POD NIMI

Czas pandemii pokazał dosadnie, że od celebrytki gorsza jest tylko celebrytka, która siedzi w domu. Wtedy z nudów codziennie dzieli się ze światem swoimi przemyśleniami. A te, no cóż, są, jakie są. Klaudia El Dursi to nowa, aspirująca celebrytka TVN, która najpierw wzięła udział w którejś tam edycji „Top Model”, by chwilę później zostać prowadzącą emitowanego w TVN7, a odbywającego się na Bali show „Hotel Paradise”. Po powrocie z nagrania programu Klaudia musiała poddać się obowiązkowej kwarantannie, co relacjonuje na swoim Instagramie. Ostatnio wyznała, że ta cała kwarantanna to w sumie fajna sprawa. – Ja widzę całą masę pozytywnych w tej całej kwarantannie. Wstałam, zrobiłam sobie śniadanko, takie, jakie chciałam. Nigdzie się nie spieszyłam, zadbałam o siebie, nałożyłam sobie maskę na włosy... Ja nie pamiętam, kiedy ostatni raz ja miałam czas na maskę, ponieważ przez ostatnie naprawdę wiele, wiele lat miałam poczucie takie, że się ciągle gdzieś spieszyłam – stwierdziła. No tak, na świecie pandemia, ludzie umierają, lekarze mdleją ze zmęczenia, a pani Klaudia szczęśliwa, bo może sobie maskę na włosy nałożyć. Może to i racja. Niech dba o te włosy, bo na dbanie o to, co pod nimi, już chyba za późno.

CO POWIE PANI JOANNA?

Projektantka i była partnerka Jana Kulczyka Joanna Przetakiewicz, która od jakiegoś już czasu bryluje na show-biznesowych salonach, postanowiła opowiedzieć w wywiadzie, jak ważny w życiu każdej 50-latk jest seks. – Kocham seks i nie wyobrażam sobie bez niego życia – zapewniła. – Nie będę więc opowiadać bajek, że dopiero po pięćdziesiątce odkryłam, jaki to seks jest cudowny. Jest coraz lepszy i coraz lepiej smakuje. Nie ma znaczenia gdzie



FOT. KAMILA PRZETAKIEWICZ/DZIENNY EAST NEWS



FOT. PAWEŁ GROMADA

i jak. Ważne z kim i jak – dodała. Niestety, na tym nie poprzestała.

– Najważniejsze jest, i my, kobiety, to potrafimy, żeby komunikować się pozytywnie. Nie mówić: „Kochanie, mamy problem z seksem”. Tylko powiedzieć: „Ja mam ochotę na coś jeszcze bardziej odkrywczego” – wyjaśniła. Czy możemy zaapelować do pani Joanny, by już nic bardziej odkrywczego nie fundowała nam w swoich wywiadach? Strach otworzyć gazetę. I Pudelka.

UPOLOWANY

Blanka Lipińska, autorka powieści erotycznej „365 dni”, będącej polskim odpowiednikiem „50 twarzy Greya”, nie dalej niż tydzień temu narzekała, że ma dość ciągłego czytania o sobie i swoim życiu w mediach. Od ubiegłego tygodnia, jak widać, sporo się zmieniło, bo można odnieść wrażenie, że celebrytka robi wszystko, by media o niej nie zapomniły. Ostatnio pochwaliła się np., że to ona poderwała swojego obecnego chłopaka, popularnego muzyka Barona, a nie on ją. „To ja zapolowałam na niego! Słyszałam o nim wiele dobrego i wymyśliłam go sobie już w październiku” – poinformowała w rozmowie z magazynem „Flesz”. „Chwilę zajęło mi poderwanie chłopaka z telewizji, ale ostatecznie nie czas, a efekt się liczy” – dodała. Inwestycja się zwraca, bo związek, z którego relacje zdaje na bieżąco na swoim Instagramie, bardzo pomaga jej w autopromocji. W autokompromitacji też, ale w show-biznesie to w zasadzie bez różnicy.

GDZIE TA MĄDROŚĆ

Wokalistka Anna Jurkiewicz podzieliła się na Facebooku relacją z wyprawy po zakupy. Siedząc w samochodzie, zrobiła sobie selfie i zamieściła je w sieci z podpisem: „Dziś wybrałam się na niezbędne zakupy. Czulałam się jak łączniczka Armii Krajowej”. Dodała, że „i tak największe brawa należą się lekarzom i całej służbie zdrowia”. Niestety, jej wpis nie spotkał się z aprobatą fanów. Jeden z nich odpisał Jurkiewicz tak: „Łączniczka w luksusowym aucie, chyba coś ci kobito w głowie się przegrzało. Serio, co to za porównanie? Wiesz, co przechodzili ludzie w tamtych czasach? Nie jeździli autem za 100 tysięcy w pełnym makijażu i ciuchach za kilka tysięcy. Serio, weź się ogarnij, kobieto” – napisał. Jego słowa bardzo zdenerwowały wokalistkę. „Weź, nie p...!” – odpowiedziała, prezentując prawdziwą klasę i styl. I pozbawiając złudzeń, że mądrość przychodzi z wiekiem. © ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, trwają izolacja i kwarantanna, wszystkim jest trudno, ale of kors nam najbardziej.

Z dnia na dzień zostaliśmy bowiem pozbawieni wszystkich ulubionych rozrywek: shoppingu w galeriach i piwka na mieście. Nawet kina są pozamykane. W związku z tym nic dziwnego, iż liczni z nas przenoszą swoją życiową aktywność do mediów społecznościowych, w których dzielą się tym, jak przeżywają ostatnie dni.

Niestety, widzimy w tych relacjach sporo niekonsekwencji i chaosu, a zatem iżby ułatwić wam obecność na feju, insta i twitterku, przygotowaliśmy kodeks zachowań w social mediach, które wszystkich już do reszty wnerwią.

Po pierwsze: postujcie jak najwięcej treści w ciągu dnia. Wszyscy, którzy pracują na home offisie, stworzą w ten sposób ekosystem wzajemnego odciągania się od obowiązków. Pamiętajcie: im więcej śmiesznych kotoosób, zdjęć z dzieciństwa i wspomnień lata 2019 r., tym więcej zaniedbanych tasków i złości team leadera, pewnie kogoś pokroju Nowego z Tarnowa.

Po drugie: piszcie jak najwięcej o koronawirusie, nie mając o nim blado pojęcia. Podawajcie jak najwięcej linków do różnych stron typu prawda-okosmosieioolicach.wordpress.com, w których przedstawiane są niezbite dowody, iż wirus powstał w laboratorium w ... (wstaw nazwę dowolnego miasta), jego celem jest depopulacja

Ziemi, a zyskają na tym ... (sami wiecie kto).

Po trzecie: przytaczajcie jak najwięcej statystyk. Bez obaw, iż jesteście umysłami humanistycznymi, nie musicie ich rozumieć. Wystarczy, że będziecie dostatecznie często używać

niż wy, obrażajcie i oskarżajcie o sianie paniki / bagatelizowanie problemu / chęć depopulacji / bycie agentem.

Po siódme: koniecznie pokażcie, jacy z was intelektualisci, iż właśnie przeczytaliście książkę lub skończyliście sezon serialu na Netflixie, jednocześnie

Postujcie jak najwięcej treści w ciągu dnia. Wszyscy, którzy pracują na home offisie, stworzą w ten sposób ekosystem wzajemnego odciągania się od obowiązków

we wpisach słów: „krzywa”, „spłaszczenie”, „parabola”, „odsetek” i „stosunek”.

Po czwarte: jeśli jesteście influencerami na insta z 10 obserwującymi was botami, nie zapominajcie o pełnych troski apelach z hashtagem #zostanwdomu, nawet jeśli jeszcze 31 marca wieczorem lecieliście do kerfura po zapas piwka i cipsów. To bardzo ważne, iżby lansować się na trendach.

Po piątę: wrzucajcie rozpaczliwe posty, iż skończyło się wam sojowe mleko, gdzie macie teraz kupić kiełki sushi, jak żyć, kiedy zamiast motywu florystycznego na pianie z kawy wychodzą wam jakieś nędzne maziaje i przez to wasze konta na insta tracą na popularności.

Po szóste: wdawajcie się w kłótnie na twitterku z każdym, kto ma zdanie inne

pamiętajcie o wyniosłym tonie względem tych, którzy tego nie robią – wiadomo, ciemnogród.

No i po ósme: nie zapominajcie o motywacyjnych wpisach, w których pojawia się sformułowania typu „strefa komfortu”, „rezygnacja”, „poznawanie siebie”, „podróż w głąb swojej świadomości”. Jeśli pomimo realizowania wcześniejszych wytycznych ktoś mimo wszystko jeszcze was nie zbanował, to teraz powinien już to zrobić.

Przed nami jeszcze kilka tygodni kwarantanny i izolacji, nie zmarnijcie tego czasu!!! ☺☺



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Przepustki

Panie ministrze, ludzie chodzą.

Jak to: chodzą?! Przecież mieli nie chodzić! No, chyba że do sklepu i takie tam... To może tam chodzą?

Chyba nie. Jak jadę limuzyną przez miasto, to mam wrażenie, że oni sobie chodzą tak po prostu, żeby nie siedzieć.

No to może chodzą sobie rekreacyjnie? Blisko domu?

Przykro mi, ale to też tak nie wyglądało. Nawet trzy osoby na rowerach widziałem. I to w miejscu, gdzie żadnych domów w pobliżu nie było.

A pan, co tam robił?

Ja? Spacerowałem.

Ale przecież spacerować tylko koło domu...

Widzi pan chyba różnicę: my się tu zaharowujemy dla kraju, to chyba

sobie możemy pospacerować, prawda?

A, faktycznie. To co, chyba trzeba będzie zakazać wszystkiego? Znaczący – wychodzenia w ogóle?

To strasznie trudne organizacyjnie i wątpliwe prawnie.

A tam. Najpierw zdrowie, potem legalizm! A że trudne – nikt nie mówił, że będzie łatwo. O wiem, przepustki się będzie wystawiać. Albo coś takiego. No, wymyślcie tam coś i nie zawracajcie mi głowy drobiazgami. ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Będą próby bezczelnego oszustwa”.

LECH WAŁĘSA, były prezydent, na Facebooku o wyborach prezydenckich w Polsce



My w sprawie obostrzeń. Z tego, co wiemy od jakiegoś miesiąca, i tak wprowadzane obecnie zasady nie są ostatnim słowem rządu. Już wtedy bowiem szykowano symulację pełnego scenariusza włoskiego. Nie chodzi o liczbę zgonów, lecz o zamknięcie wszelkiego ruchu w kraju, czyli pełną kwarantannę wszystkiego i full lockdown. Włącznie z żołnierzami na rogatkach, tak jak w stanie wojennym. Nie pisaliśmy o tym wcześniej, żeby nie straszyć. Skoro jednak i tak już wszyscy się boją, to możemy napisać.

Kalkulujemy sobie, że skoro cała pandemia jest specyficznym doświadczeniem wielkopostnym, to idealnym momentem na wprowadzenie najostrożniejszych zasad byłby Wielki Tydzień. Będą ku temu dwa powody. Po pierwsze, rosnąca liczba zachorowań. Po drugie, tylko lockdownem da się powstrzymać dziarskich Polaków przed masowymi wyjazdami na święta Wielkiejnocy.

Wiewiórki opowiadają o negocjacjach na wysokim szczeblu z Dalekim Wschodem. Nie chodzi już tylko o Chiny, lecz także Koreę Południową i parę innych krajów. Chodzi o zakupy rozmaitego sprzętu medycznego i testów do walki z epidemią koronawirusa. Wszystko dzieje się po cichu, gdyż dalekowschodni partnerzy nie cierpią wypuszczania jakichkolwiek informacji, zanim deal zostanie zawarty. Dlatego my też mówimy wam o tym bardzo po cichu.

Zaangażowane w rozmowy z Dalekim Wschodem wiewiórki mówią, że najlepiej byłoby, gdyby prezydent Andrzej Sebastian porozmawiał szczerze ze swoim friendem Dobrym Donaldem z Waszyngtonu. Gdyż w odróżnieniu od partnerów azjatyckich mister Trump okazuje się w potrzebie mało empatyczny dla europejskich sojuszników. Na przykład w kwestii szczepionek na koronawirusa, które lada moment będą rozchwytywanym na całym świecie dobrem. Andrzej, musisz!

Tymczasem w USA. Rozmawialiśmy z tamtejszymi profesorami i nie mamy dobrych wieści. Samo miasto Nowy Jork potrzebuje na cito trzy razy więcej respiratorów, niż mamy w całej

Plan Marshalla polegał na tym, że zrujnowana Europa dostała forszę. Plan Ursuli von der Brukseleyen na tym nie polega

Polsce. A to dopiero początek. Na razie polscy lekarze polecieli z pomocą do Włoch. Obawiamy się, że będą musieli i do Ameryki.

Tymczasem w Europie. Mocno się obśmialiśmy, choć był to śmiech przez łzy, kiedy ciocia Ursula von der Brukseleyen zapowiedziała nowy plan Marshalla dla państw poszkodowanych przez koronę. Plan Marshalla polegał bowiem na tym, że zrujnowana Europa, która nie miała kasy, dostała forszę z Ameryki, gdzie ta kasa była. Plan Ursuli von der Brukseleyen na tym nie polega.

Uwaga – tłumaczmy, na czym polega. Po pierwsze, zrujnowana Europa sama sobie wydrukuję pieniądze, których nie ma. Po drugie, pieniądze, które jednak ma, zabierze z funduszy strukturalnych i przeniesie na fundusz pomocowy. W skrócie oznacza to, że

zamiast budować drogi i mosty, wyda je na zasiłki dla tych, którzy nie mają pracy, gdyż z powodu braku funduszy strukturalnych nie mogą budować dróg ani mostów. To oczywiście wariant optymistyczny. W wariantcie pesymistycznym, czyli realnym, wyda je na ocalenie miejsc pracy w firmach doradczych, które doradzają, jak walczyć z bezrobociem wywołanym brakiem budowy dróg i mostów.

Ateraz najlepsze: nowy plan Marshalla w żadnym razie nie oznacza rezygnacji z agresywnej dekarbonizacji i różnych innych pomysłów zamordowania gospodarki europejskim Zielonym Ładem. Jesteśmy pewni, że najbardziej wdzięczni będą Ursuli von der Brukseleyen ci bezrobotni, którzy będą umierać z naprawdę czystymi płucami.

Europosłanka Sylwia Spurek zajmuje się tymczasem sprawami naprawdę ważnymi, nie jakimś tam koronawirusem. Domaga się bowiem „zakazu używania nazw typu burger, kiełbasa, pasztet w odniesieniu do produktów roślinnych”. Jesteśmy zdezorientowani. Byliśmy na paru bardzo postępowych imprezach, gdzie serwowano z dumą „wegański smalec”. I bardzo nam się to podobało, gdyż dzięki temu od razu wiedzieliśmy, czego nie jeść.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Àpropos kwarantanny narodowej. Niektórzy strasznie cierpią z jej powodu. Na przykład Szymon Hołownia, przez niektórych uważany za kandydata na prezydenta. Jego zdaniem sytuacja jest skandaliczna, bo „nawet w stanie wojennym ludzie chodzili po ulicach”. A teraz nie mogą. Chodzili, ale powątpiewamy w kwalifikacje Hołowni do bycia ekspertem od stanu wojennego. Miał wtedy całe pięć lat.

Mamy dla europosłanki Spurek sprawę jeszcze ważniejszą. Otóż w czasie, gdy ona w Brukseli walczy z wegeburgerami, polska sprinterka Iga Baumgart-Witan ogłosiła, że kwarantanna jej niestraszna, bo spełnia się w kuchni i jest kurą domową. Jesteśmy w szoku i domagamy się, by Europa zajęła w tej kwestii stanowisko. Na początek proponujemy zakaz wstępu kobiet do kuchni, a potem nakaz zmiany sformułowania „kura domowa” na „pasta sojowa”.

Teraz o Senacie. Jak wszyscy wiedzą, wielki marszałek koronny Tomasz Grodzki doprowadził do tego, żeby izba zadymy i refluksu działała stacjonarnie. Co więcej, nie zamierza tego zmieniać. I wiemy dlaczego. Wszystko dlatego, że w Eine Totalopposition zapanował okrutny lęk, iż podczas zdalnych głosowań łatwo będzie odwrócić większość w Senacie. Tak się bowiem składa, że niektórzy senatorowie bez nacisku kolegów z sali i nadzoru Grodzkiego mogliby zmienić front. Takie przynajmniej są czarne sny wielkiego marszałka i jego kolegi partyjnego, prawie tak wielkiego Borysława.

Tymczasem Wietnamczycy prowadzący nad Wisłą małe biznesy okazali się Polakami. Szyją maseczki dla szpitali i dostarczają jedzenie lekarzom. Tak sami z siebie, gratis. Ponieważ uważają, że tak trzeba. Nie myśleliśmy nigdy, że coś takiego powiemy, ale gdyby powstała partia o nazwie Platforma Wietnamczyków w Polsce, to może byśmy na nią nawet zagłosowali. Wiele wskazuje na to, że byłaby to najbardziej polska platforma w kraju.



Skoro o głosowaniu – szok! To się w głowie nie mieści! Korea Południowa nie odwołała wyborów parlamentarnych zaplanowanych na kwiecień! Odbędą się w maseczkach! Uwaga, szok numer dwa! Burmistrz Monachium wybrano w całości korespondencyjnie, a frekwencja była wyższa niż w pierwszej turze, kiedy głosowano tradycyjnie! Szok numer trzy! Są w Polsce ludzie, którzy nie potrafią czytać ze zrozumieniem, w związku z tym nie są w stanie pojąć tego, co powyżej napisaliśmy! Szok numer cztery i zagadka dla naukowców: Dlaczego wszyscy należą do Eine Totalopposition?

Bądźcie zdrowi. Wygramy tę walkę” – można przeczytać na wielkich billboardach z Włodkiem Kosiniakiem-Kamyszem. Wielki zielony brat ogłosił jednocześnie, że to wcale nie kampania prezydencka kandydata Peezelu, tylko takie życzenia od lekarza dla pacjentów. Śmiech to zdrowie, więc oświadczamy niniejszym, że nasza rubryka nie jest polityczna, tylko medyczna, a nawet terapeutyczna.

Zieloni bracia bardzo oburzyli się na krytykę billboardów i tłumaczą, że skoro już były zarezerwowane, to trzeba było je wykorzystać. Hm, a to nie można było powiesić jakichś innych plakatów? Na przykład: „Myjcie dłonie, najważniejsze są czyste ręce”. Ups, przepraszamy, akurat takiego billboardu Peezel powiesić by nie mógł.

Podsumowując wydarzenia minionego tygodnia: niedobre państwo PiS wciąż skutecznie walczy z epidemią koronawirusa. Zrozpaczonej opozycji pozostaje już tylko jedno hasło: „Wszystkich nas nie wyleczycie!”. ©©

REKLAMA

MAPA DEKALOGU

KRZYSZTOFA KIEŚŁOWSKIEGO

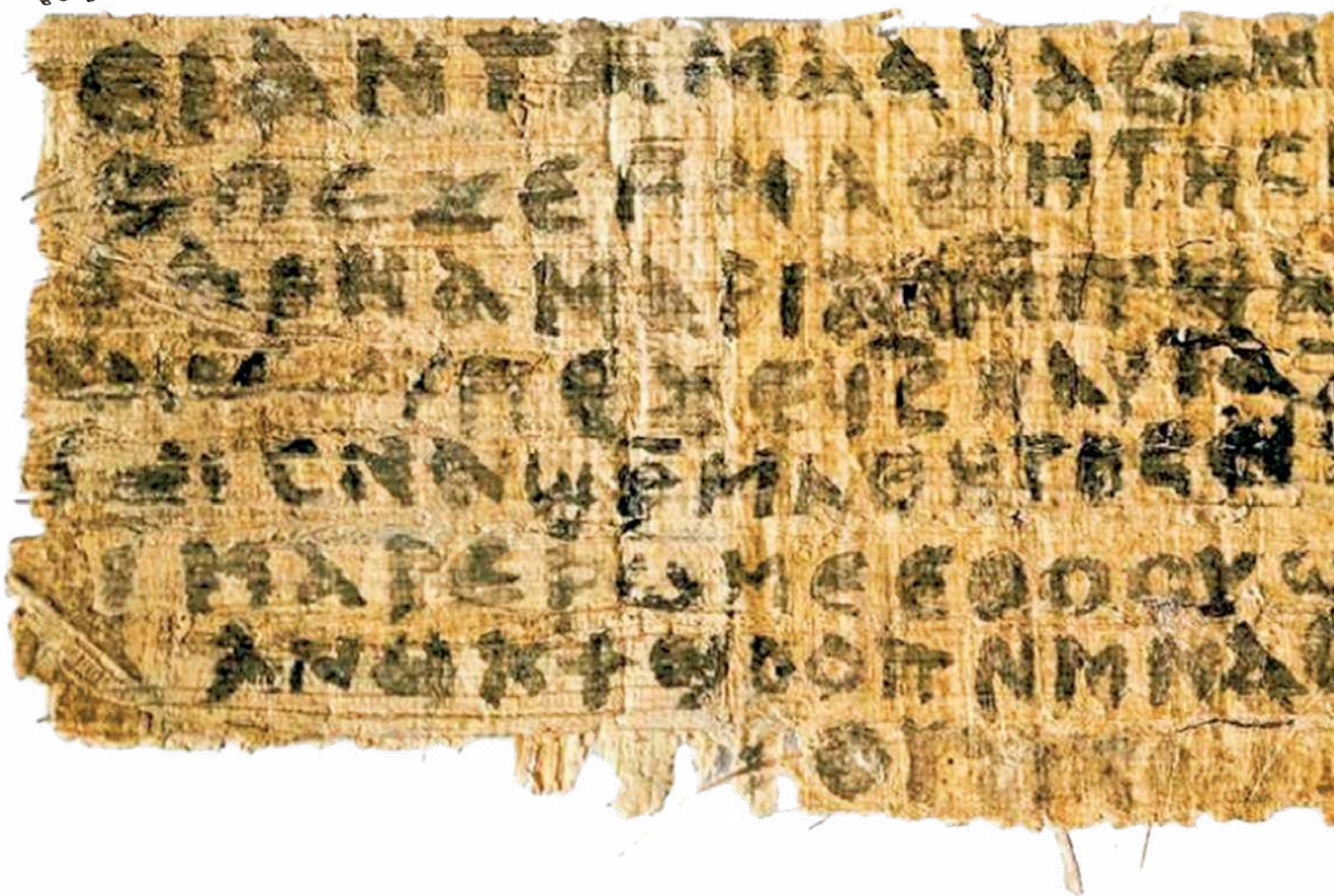
POZNAJ WARSZAWĘ Z „DEKALOGU” KRZYSZTOFA KIEŚŁOWSKIEGO

Wirtualny spacer po miejscach, gdzie kręcono cykl filmowy

mapadekalogu.pl

Produkcja: MMXIX: **FINA**

Realizacja projektu: 



Historia jednego fałszerstwa

Myślałem przez lata, że ta sprawa jest zamknięta i skończona. Po tym, jak w 2012 r. amerykańska profesor Harvardu Karen Leigh

King ogłosiła, że znalazła starożytny papirus sugerujący, iż Jezus mógł mieć żonę, rozpoczęła się gwałtowna dyskusja. Krytycy wskazywali na błędy i słabości koptyjskiego tekstu, profesor i jej zwolennicy nie ustępowali. Jednak całkiem niedawno cała sprawa zyskała zupełnie inny wymiar. W „Niewiarygodnej opo-



Paweł Lisicki

Jak feministyczna profesor odkryła żonę Jezusa i jak mimo kompromitacji pozostała na uczelni

wieści o żonie Jezusa”, długim śledczym reportażu opublikowanym przez „The Atlantic”, amerykański dziennikarz Ariel Sabar pokazał, że prawdziwym autorem

słów Jezusa na papirusie był niedoszły niemiecki magister egiptologii, późniejszy dyrektor muzeum Stasi w Berlinie Wschodnim, wreszcie producent filmów



Fragment papirusu określanego mianem „Ewangelii żony Jezusa” FOT. HARVARD DIVINITY SCHOOL



na Uniwersytecie Harvarda, ogłosiła, że znalazła skrawek papirusu, na którym są zapisane słowa: „Jezus powiedział im: Moja żona...”. Tuż pod tym wersem znalazło się inne stwierdzenie: „Będzie ona mogła być moim uczniem”. Zdanie to zostało zapisane alfabetem greckim, w języku koptyjskim, a fragment pochodzi najprawdopodobniej z przełomu wieków IV i V naszej ery. Najprawdopodobniej, bo nie był znany jego właściciel.

NA TĘ WIEŚĆ CZEKALI WSZYSTY

Tej krótkiej informacji towarzyszył komentarz pani profesor. „Fragment ten sugeruje, że niektórzy wcześni chrześcijanie znali tradycję, zgodnie z którą Jezus był żonaty” – stwierdziła King. King była zdania, że „kobiety, które są żonami i matkami, mogą być uczennicami Jezusa”. Dowodziła ona, że choć sam znaleziony przez nią papirus jest z wieku IV lub V, to opiera się na tekście o dwa wieki wcześniejszym. Czyli – jak mówiła – można sądzić, że w niektórych kręgach wczesnych chrześcijan sądzono, iż Jezus faktycznie miał żonę. To rozumowanie pozwoliło jej nazwać znaleziony fragment „Ewangelią żony Jezusa”. Cała sprawa została opisana obszernie przez „New York Timesa”. Od tej chwili rzecz zaczęła żyć własnym życiem. Podnieceni reporterzy biegali za panią King, największe portale informacyjne, BBC, CNN, zamieszczały newsa, świat ogarnęły gorączka i podniecenie. Eksperci dwoili się i troili. Mało kto zwracał uwagę, że w języku gnostyków, z ich potępieniem ciała i seksu, erotyczny związek Zbawiciela z kobietą byłby nie do pomyślenia, a nazywanie gnostyków chrześcijanami wydaje się nadużyciem. To zdaje się nikogo nie obchodzić. To zdają się nieistotne szczegóły. Kto by zwracał na nie uwagę?

Istotne było co innego. Wreszcie znalazł się naukowiec, i to nie byle jaki, bo z Uniwersytetu Harvarda, który własnym i swojej uczelni autorytetem potwierdził, że Jezus mógł mieć żonę, o czym mogą świadczyć starożytne dokumenty, skryte wcześniej przed wzrokiem wiernych. Na tę wieść, niczym na wybawienie, czekali wszyscy ci – a zapewne są to miliony – którzy swoją wiedzę o chrześcijaństwie zdobyli, czytając książkę lub oglądając film o kodzie Leonarda da Vinci. Wszyscy ci, którzy zanim usłyszeli o odkryciu pani King, wiedzieli już, że Kościół od zarania swych dziejów skrywa straszną tajemnicę, że jego nieludzki i nikczemny charakter objawił się w tym, iż przez stulecia ukry-

wał przed chrześcijanami radosną wieść o tym, że Maria Magdalena była wybranką Jezusa. Z taką świadomością nie można było się nie podniecać. Nie można było się nie ekscytować. Gnostycy czy chrześcijanie, wiek IV czy II, jeden pies. Dość, by informacja poszła w świat i by dotarła do uszu setek milionów współczesnych chrześcijan, którzy nie chcą przyjąć do wiadomości, że ich Zbawiciel był człowiekiem takim jak inni, w każdym calu. Po prostu uprawiał seks z Marią Magdaleną, a stary papirus miał być tego dowodem. Może odkrycia pani King nie spotkałyby się z tak wielkim rozgłosem, gdyby nieco wcześniej było wiadomo o jej wcześniejszej działalności badawczej, skrywającej się za poważnie brzmiącą, trzeba przyznać, funkcją specjalisty od wczesnego chrześcijaństwa na jednym z najbardziej prestiżowych uniwersytetów świata. Jest bowiem King sama – moim zdaniem – najlepszym znakiem nowego zjawiska ideologizacji europejskich i amerykańskich uniwersytetów. Karierę robią tam nie tyle badacze, ile ideologowie. Rewolucjoniści i rewolucjonistki, dla których historia dawno już przestała być zapisem minionego, a stała się poręcznym instrumentem w walce z uprzedzeniami, opresją, prześladowaniami, maskulinizmem, patriarchalizmem, wyzyskiem itd., itp. Nic dziwnego zatem, że w takiej atmosferze napięcia, w takim nastroju bojowania i zaangażowania nawet niepewnej proveniencji fragment datowany na kilka wieków po śmierci Jezusa może się okazać autentyczny i prawdziwy. Jak z animuszem i zapałem pisała pani King w swej wcześniejszej książce „The Gospel of Mary of Magdala. Jesus and the First Woman Apostle”: „Ojcowie Kościoła odczytywali Ewangelie w zgodzie z seksistowskimi przesadami, według których kobiety są z natury niższe od mężczyzn i nie powinny mieć nad nimi władzy”. Otóż to. Skoro Ewangelie powstały jako owoc seksizmu, jako dzieła spacone, uprzedzone, jako zapis i świadectwo dominacji męskiej, skoro tak też je później wykładano i komentowano, to odkryty przez panią King fragment papirusu może się spokojnie nazywać „Ewangelią żony Jezusa”. Amerykańska badaczka wielokrotnie już dała się wcześniej poznać jako zwolenniczka radykalnego feministycznego odczytania Ewangelii. Dla niej „historyczna Maria z Magdali była wybitną żydowską poplecniczką Jezusa, główną apostołką, kobietą pełną wizji”. Tak samo King dowodziła, że odnaleziona

pornograficznych ze swoją żoną w roli głównej na Florydzie. Chciał on w ten sposób, idąc śladem Dana Browna i jego „Kodu Leonarda da Vinci”, przywrócić chrześcijaństwu „stłumiony żeński element”.

W fałszerstwie pomógł mu, zapewne nieświadomie, niemający nawet średniego wykształcenia były niemiecki producent części do hamulców BMW. Na opowieść o autentycznym papirusie dała się nabrać nie tylko prof. King, lecz także inni profesorowie najbardziej renomowanych uczelni na świecie. Wśród tych, którzy uznali prawdziwość odkrycia, byli: znany papirolog, szef instytutu badań nad światem starożytnym na uniwersytecie w Nowym Jorku, specjalistka od rękopisów koptyjskich w Princeton i profesor koptyjskiego na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Żadna inna historia nie pokazuje lepiej, jak bardzo zideologizowana jest współczesna humanistyka, na czele z teologią.

Sensacja wybuchła w 2012 r. Był wrzesień, w Rzymie, w czasie międzynarodowego Kongresu Studiów Koptyjskich, prof. Karen Leigh King, historyk zajmująca się okresem wczesnego chrześcijaństwa



■ pod koniec XIX w. w Berlinie koptyjska Ewangelia Marii Magdaleny, najprawdopodobniej pochodząca z przełomu II i III w. n.e., ma podobne znaczenie dla ustalenia historyczności Jezusa jak Ewangelie kanoniczne. To wszystko nie przeszkadza jej występować przed opinią publiczną w roli eksperta i znawcy.

Sensacja trwała niespełna kilka dni, by potem szybko ustąpić miejsca innemu – mam nadzieję bliższym rzeczywistości – informacjom. W końcu kiedy głos zabrali specjaliści, szybko wyszło na jaw, że sprawa jest dęta i że wielki przełom to zwykła hucpa. Jak pisał jeden z nich, Francis Watson z Uniwersytetu w Durham: „Ewangelię lub fragment ewangelii można uważać za »sfalszowany« niezależnie od tego, czy ich autor żył współcześnie, czy w starożytności. W obu przypadkach cel jest taki sam. Chodzi o przekonanie tak wielu czytelników jak to możliwe, aby traktowali nowy tekst poważnie – jako okno pokazujące nieznanne aspekty życia Jezusa lub przynajmniej jako świadectwo postrzegania Go przez późniejszych zwolenników”. Dlatego Watson zalecał szczególnie sceptycyzm, jeżeli chodzi o odkrycie King. Jego zdaniem cały fragment jest bowiem współczesnym fałszerstwem, zbiorem kilku wyrażen pochodzących z koptyjskiej „Ewangelii Tomasza” napisanych na starożytnym papirusie przez współcześnie żyjącego autora. Ta i inne analizy znawców ograniczyły karierę „Ewangelii żony Jezusa”. Nic to jednak. Liczy się – jestem przekonany – co innego. Setki milionów ludzi uznało, że w sprawie „żony Jezusa” jest coś na rzeczy. A uznało tak, bo wcześniej przeczytało o tym u Dana Browna lub w jednej z innych książek, których autorzy oznajmiali wszem wobec, że posiadli wiedzę tajemną.

WOJNA O AUTENTYCZNOŚĆ

Wśród tych, którzy od początku mieli wątpliwości, był też amerykański dziennikarz, Ariel Sabar, zdobywca National Book Critics Circle Award za książkę opisującą enklawę w Iraku, gdzie przez wieki żyli kurdyjscy Żydzi, mówiący po aramejsku. Do zajęcia się sprawą autentyczności papirusu Sabara zaprosiła sama prof. King. Zanim przedstawiła swe odkrycie na publicznej konferencji w Rzymie, King pokazała fragment przedstawicielom kilku najbardziej prestiżowych amerykańskich redakcji: „The Boston Globe”, „The New York Times” i magazynowi „Smithsonian” oraz zwią-

zanemu z czasopiśmem kanałowi. Sabar był później także jedynym reporterem na sali, kiedy King prezentowała swoje znalezisko reszcie naukowców w Rzymie.

Tak jak inni przyglądał się sporowi o autentyczność. Mimo powszechnej krytyki i zarzutów Watsona King nie składała broni. Odrzucała zarzuty, że to fałszerstwo. Twierdziła, że niezdarność liter – na co wskazywał Watson – o niczym nie świadczy. Według niej starożytny skryba był po prostu nowicjuszem. Watson dowodził dalej, że w koptyjskim tekście o żonie Jezusa, pokazanym przez prof. King, pojawia się ten sam błąd typograficzny co w opublikowanym w 2002 r. w Internecie też koptyjskim wydaniu „Ewangelii Tomasza”. Wniosek był oczywisty – współczesny fałszerz skopiował tekst z koptyjskiej ewangelii. Profesor King się broniła: kopiowanie od siebie nawzajem było stałą praktyką w starożytności. Półtora roku później w sukurs przybył jej własny uniwersytet. Harvard przedstawił wyniki badań, zgodnie z którymi papirus pochodził ze starożytności, a w atramencie nie wykryto współczesnych składników. Tyle że – jak zauważył Sabar – niczego to nie przesądzało. Podobne małe skrawki starożytnych papirusów można kupić nawet na eBay. Można także sporządzić atrament zgodnie ze starożytną procedurą. Sprytny fałszerz mógł zatem kupić skrawek starożytnego papirusu, a następnie, używając atramentu przygotowanego zgodnie z dawnymi recepturami, umieścić tekst. To wystarczy, by nie dało się wykryć fałszerstwa. Przynajmniej metodami, do których odwołał się Harvard.

W POSZUKIWANIU WŁAŚCICIELA

Żeby rozstrzygnąć sprawę, Sabar postanowił przeprowadzić śledztwo i zbadać, kto był tajemniczym właścicielem papirusu. Kto przekazał go prof. King? Ta jednak konsekwentnie unikała podawania imienia i nazwiska sprzedawcy. Zgodziła się jedynie przekazać reporterowi „The Atlantic” swoją korespondencję e-mailową z tajemniczym właścicielem. W e-mailu od niego, który wysłała do dziennikarza, usunęła nazwisko oraz dane właściciela. Pozbyła się wszystkiego, co mogło pozwolić ustalić tożsamość właściciela papirusu.

Sabar musiał go znaleźć sam. W e-mailach od właściciela papirusu przesłanych przez King dziennikarzowi znajdował się kontrakt kupna sześciu fragmentów papirusów w listopadzie 1999 r. Tajemni-

czy właściciel miał je kupić od niejakiego Hansa-Ulricha Laukampa. W kontrakcie było napisane, że Laukamp sam kupił papirusy w Poczdamie, w 1963 r., w czasie, kiedy miasto to należało do NRD. Właściciel papirusu „Ewangelii żony Jezusa” przekazał King zdjęcie kopii listu, który tenże Laukamp otrzymał w 1982 r. od prof. Petera Munro, egiptologa z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie. W liście tym Munro napisał, że jego kolega uznał, iż jeden z fragmentów papirusów zawiera tekst „Ewangelii św. Jana”. Tym jednak, co przekonało King o wartości papirusu „Ewangelii żony Jezusa”, była niepodpisana, niedatowana, ręcznie sporządzona notatka. Była w niej informacja, że kolega prof. Munro uważa, iż „skrawek ten [...] jest jedynym przykładem tekstu, w którym Jezus bezpośrednio wspomina o żonie”, co „mogło być dowodem na możliwe małżeństwo”. Tak więc z korespondencji wynikało, że osoba, która przekazała papirus prof. King, sama kupiła go w listopadzie 1999 r. od niejakiego Hansa-Ulricha Laukampa. Tenże Laukamp zdobył papirus „Ewangelii żony Jezusa” wraz z pięcioma innymi w 1963 r. w Poczdamie. Wreszcie w korespondencji znajdowała się wskazówka – chociaż było to jedynie zdjęcie kopii – że jeden z niemieckich profesorów egiptologii, znajomy renomowanego prof. Munro, zapoznał się z fragmentem w 1982 r. i dostrzegł jego znaczenie. Nie podważył też ani nie zakwestionował autentyczności.

Każde śledztwo musi mieć początek. Ustalając ogniwa łańcucha, dochodzi się do celu. Sabar zaczął śledztwo od próby dotarcia do jednej ze wspomnianych w kontrakcie osób. Tyle że, dziwnym trafem, żadna już nie żyła. Peter Munro zmarł w 2009 r. Kolega, którego wspominał i który miał docenić znaczenie papirusu, zmarł w 2006 r., Hans-Ulrich Laukamp zmarł w 2002 r. Pytana przez Sabara prof. King przyznała, że właściciel, który przekazał jej papirus, znał osobiście Laukampa. Z kolei w jednym z e-maili właściciel napisał do King, że „Laukamp »przywiózł [swe papirusy] ze sobą, kiedy wyemigrował do USA«”. Sabar zdawał sobie sprawę, że aby odkryć, kim był sprzedawca papirusu, musi dowiedzieć się więcej o tym, kim był Laukamp. To on był – jak wynikało z korespondencji – postacią kluczową. Zdobyl papirusy w 1963 r. W 1982 r. udało mu się uzyskać za pośrednictwem prof. Munro opinię innego znawcy na ich temat. Wreszcie w 1999 r. odsprzedał



je osobie, która w 2012 r. przekazała kluczowy dokument prof. King.

Jak mogło wynikać z wymiany e-maili, do której miał dostęp Sabar, Laukamp musiał być prywatnym kolekcjonerem interesującym się starożytnością. Docierając do Laukampa, można było ustalić następną osobę w łańcuszku, a więc tego, kto przekazał papirus prof. King. Można też było cofnąć się o jeden krok i próbować dociec, od kogo i w jaki sposób swój papirus kupił w 1963 r. w Poczdamie Laukamp.

Dlatego Sabar przedsięwziął iście detektywistyczną pracę. Ustalił, że w 1997 r. para Niemców, Hans-Ulrich i Helga Laukampowie, zbudowali jednopiętrowy dom z basenem w miasteczku Venice na Florydzie. Jakież musiało być zaskoczenie Sabara, gdy dowiedział się od znajomych i sąsiadów Laukampów, że Hans-Ulrich był ślusarzem, niemal nieznanym angielskiego, do tego nawet bez średniego wykształcenia. To była pierwsza wyraźna wskazówka, że z autentycznością papirusu jest coś nie tak. Trzeba przyznać, że trudno było sobie wyobrazić, by zmarły w 2002 r. Niemiec mógł być kolekcjonerem starożytnych rękopisów. Zanim przeniósł się do USA, Laukamp razem z jednym ze swoich partnerów założył firmę w Niemczech, produkującą części do hamulców BMW. Początkowo firma prosperowała. Laukamp mógł kupić dom na Florydzie i przeprowadzić się tam z żoną. Szczęście trwało jednak krótko. U żony zdiagnozowano raka – pod koniec 1999 r. zmarła. Firma zbankrutowała w 2002 r., a kilka miesięcy później zmarł Hans-Ulrich. Nic tu nie układało się w całość. W jaki to sposób niewykształcony ślusarz z żyłką do biznesu miał gromadzić starożytne manuskrypty? Jaki był związek między nim a tajemniczym sprzedawcą, który dostarczył papirus prof. King?

AMERYKAŃSKI WSPÓLNIK

Badając dokumenty firmy Laukampa, reporter z „The Atlantic” ustalił, że wkrótce po śmierci żony ślusarza przedsiębiorstwo otworzyło amerykańską filię. Miała ona początkowo trzech wspólników, choć szybko kontrolę nad całością przejął niejaki Walter Fritz, który mieszkał w USA na cztery lata, zanim pojawił się tam Laukamp. Sabar poszedł tym tropem i postanowił skontaktować się z Fritzem, 50-letnim mężczyzną, mieszkającym z żoną w domu oddalonym o 30 minut jazdy samochodem od Venice.

Tym, co zwróciło uwagę dziennikarza, był osobliwy fakt: w 1995 r. Fritz założył

w USA firmę o nazwie Nefer Art. Nefer to słowo egipskie oznaczające „piękno”. Wreszcie pojawiła się wskazówka, że między Laukampem, a ściślej mówiąc – między jednym z jego wspólników – a kulturą egipską i koptyjskim papirusem istnieje jakieś powiązanie. Jeszcze niewyraźne i niejasne, ale warte zbadania. O ile nic nie wskazywało na to, żeby istniał jakikolwiek związek między Laukampem a opublikowanym przez prof. King w Rzymie papirusem, o tyle zbadanie życiorysu Fritza wydawało się bardzo obiecujące. W końcu w otoczeniu Laukampa pojawił się ktoś mający związek z Egiptem i językiem koptyjskim. Sabar badał dalej.

W Internecie znalazł ciekawą informację, że w 1991 r. niejaki Walter Fritz opublikował artykuł w prestiżowym niemieckim czasopiśmie „Studien zur Altägyptischen Kultur” („Studia na temat kultury staroegipskiej”). Tenże Fritz miał studiować w instytucie egiptologii na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie, czyli dokładnie w tym samym miejscu, gdzie uczyli Peter Munro i jego kolega, który to miał w 1982 r. zbadać papirusy Laukampa. Nic dziwnego, że Sabar poczuł dreszczyk emocji. Wreszcie rozrzucone kamyczki układanki zaczęły do siebie pasować. Pojawił się ważny ślad łączący Laukampa z Egiptem i papirusem koptyjskim. Tylko czy Walter Fritz, partner biznesowy Laukampa, i Walter Fritz, student egiptologii w Berlinie, był tą samą osobą? A może to przypadkowa zbieżność imion i nazwisk? Co dokładnie łączyło go z Laukampem? Czy to jemu Laukamp sprzedał papirus w 1999 r.? I czy to on był tym tajemniczym właścicielem papirusu „Ewangelia żony Jezusa”, od którego dostała go prof. King? To były pytania, na które Sabar musiał znaleźć odpowiedzi. W rozmowie telefonicznej Fritz stwierdził, że nigdy nie studiował egiptologii w Berlinie ani nie napisał artykułu w czasopiśmie „Studien zur Altägyptischen Kultur”. Czyżby to była ślepa uliczka? Dodatkowo Fritz stanowczo zaprzeczył, że był właścicielem papirusu. Tym, co zwróciło uwagę reportera „The Atlantic”, było to, że Fritz odmówił osobistego spotkania twarzą w twarz. Potwierdził jednak, że znał Laukampa.

FEMINISTKI OPANOWUJĄ UCZELNIE

Karen Leigh King jest pierwszą kobietą, która w niemal 300-letniej historii Harvardu otrzymała stanowisko profesora teologii. W 1984 r. zrobiła doktorat z historii religii na Uniwersytecie Browna, a w 1991 r.

Occidental College powierzył jej katedrę studiów teologicznych oraz studiów kobiecych. W 1997 r. zaczęła wykładać w Harvard Divinity School. Jej zdaniem, podobnie jak innych feministek, dominująca wizja wczesnego chrześcijaństwa, w którym to powszechnie przyjmowano jedną regułę wiary, jest nieprawdziwa.

Karen Leigh King: „Należy pamiętać, że ci pierwsi chrześcijanie nie mieli Nowego Testamentu, ani Credo nicejskiego, ani Składu Apostolskiego, ani powszechnie uznanego porządku kościelnego, ani łańcucha autorytetów, ani budynków kościelnych, ani wreszcie jednego rozumienia Jezusa. Wszystkie te elementy, które można by uznać za istotne dla definicji chrześcijaństwa, jeszcze nie istniały. Na początku nie było ani Nowego Testamentu, ani nicejskiego Wyznania wiary; były one produktem końcowym tych dyskusji i debat; przedstawiają one jakby osad powstały w procesie doświadczania i eksperymentowania, którego znaczną częścią był konflikt i walka”. Znika zatem podział na to, co słuszne, ortodoksyjne, co powszechnie przyjęte i przez cały Kościół uznane, oraz na to, co jest wypaczeniem, zejściem ze słusznej drogi, oderwaniem, ograniczeniem. Co znaczy zatem być chrześcijaninem? Co wyznacza chrześcijaństwo? Nie wyznania wiary, nie tradycja apostołska, nie powszechna zgoda starożytnych ośrodków Kościoła. Ostatecznie chrześcijaninem jest ten, kto się z takiego uważa, kto nawiązuje do nauk Jezusa, kto się na Niego powołuje. Tak jak nie ma kanonu i Kościoła, tak nie ma też hierarchii, nie ma władzy apostołskiej. Są okruczości prawdy rozrzucone, rozsiane, niejednolite. To, co do tej pory było przez Kościół i jego Ojców odrzucane, winno cieszyć się właśnie szczególnym uznaniem. Autentyczne staje się to, co nieprawdopodobne i nieortodoksyjne”.

To powszechnie przyjęty przez feministyczne aktywistki punkt widzenia.

To w tych pismach bowiem przechowały się ślady prawdziwego, nieskażonego przekazu Jezusa, który nie został jeszcze stłumiony przez androcentryczne społeczeństwo, przez patriarchalne struktury kościelne. To, co King pisze o jednym z tekstów, można odnieść do pozostałych: „Ewangelia Marii została napisana wcześniej, nim został ustalony kanon”. Dzięki temu założeniu sylwetka głównej bohaterki może jednak konkurować z obrazem, który pokazują Ewangelie Nowego Testamentu. Pokazana przez nie Maria straciła swoje uprzywilejowane stanowisko; jej



■ obraz w pismach gnostyckich nie jest gorszy, bardziej zniekształcony czy wypaczony. Jest po prostu inny. Zdaniem King „nie należy przyjmować, że interpretacja tradycji Jezusa w Ewangelii Marii powstała jako »wypaczenie« Nowego Testamentu. Sama Ewangelia Marii rości sobie prawo do tego, że opiera się bezpośrednio na apostołskich świadkach nauk Zbawiciela po wskrzeszeniu”. Słowa te brzmią szczególnie wyzywająco. Czyżby ich autorka utrzymywała, że gnostycka Ewangelia Marii zawiera niezależne tradycje, inne, nieznane bliżej przekazy pochodzące z kręgu Jezusa? King się zastrzega i twierdzi, że jej słów nie należy rozumieć dosłownie. Nie dosłownie – czyli jak?

Pisze przecież, że „Ewangelia Marii stanowi rozwinięcie wczesnej, niezależnej interpretacji tradycji Jezusa w kontekście chrześcijaństwa pogańskiego”. Mielibyśmy zatem w ręku konkurencyjną wobec oficjalnych, kanonicznych, aprobowanych przez prawowitny Kościół ewangelię? Osobne, nieskażone, wolne od nacisku patriarchy źródło? Tak by to wyglądało. I obietnica ta brzmi rzeczywiście bardzo zachęcająco. Według amerykańskiej badaczki „Ewangelia Marii Magdaleny” świadczy o tym, że od tradycji apostołskiej, od autorytetu pochodzącego z następstwa w linii apostołów ważniejsza jest duchowa dojrzałość, która przejawia się w doświadczeniu profetycznym; podobnie podstawą władzy ma być duchowa dojrzałość, a nie płeć. „Rzeczą kluczową jest przypomnienie, że nie istnieje opis słów i czynów Jezusa, który by do nas dotarł bez interpretacji: ponieważ On sam niczego nie napisał, nie istnieje bezpośrednia droga prowadząca z powrotem do historycznego Jezusa. Cała literatura ewangeliczna nie jest niczym więcej niż świadectwem teologii i życia wczesnych chrześcijan, wszystkie nasze portrety Jezusa zostały przefiltrowane przez soczewki wczesnochrześcijańskich wierzeń oraz wyobrażeń i wszystkie zostały ukształtowane w dialogu z innymi poglądami”. Stąd „Ewangelia Marii” okazuje się niezależną interpretacją wczesnej tradycji Jezusa.

PRZEKONAĆ RZYMIAN

Te i podobne bzdury feministyczne badaczki wygłaszają ze śmiertelną powagą z katedr najbardziej renomowanych uniwersytetów Zachodu. Dla nich teksty Nowego Testamentu są z góry podejrzane. Nie jest ważne, co mówią, bo to, co mówią, pokazuje tylko świadome zamia-



Feministyczna profesor Karen L. King w swoim gabinecie na Harvardzie pokazuje fragment „ewangelii Marii” FOT. BOSTON GLOBE/GETTY IMAGES

ry autorów. Ważniejsze jest to, o czym milczą albo o czym mówią półgłosem. „Wcześni chrześcijańscy autorzy wybierali, redagowali i formułowali ponownie swe tradycyjne źródła i materiały zgodnie z własnymi teologicznymi intencjami i praktycznymi celami” – stwierdza Elisabeth Schüssler Fiorenza, prawdziwa guru tego ruchu umysłowego. I dalej: skoro żyli w patriarchalnym świecie i przyjmowali jego mentalność, to znikoma ilość informacji o kobietach wynika z tego właśnie androcentrycznego nastawienia wczesnych autorów chrześcijańskich. Androcentryczny, czyli taki, w którym centrum świata jest mężczyzna, jego potrzeby, jego wrażliwość. Skoro w starożytności powszechnie uznawano, że wszystkie istotne funkcje polityczne, wojskowe, a nawet religijne sprawują mężczyźni, to ich sposób patrzenia, ich postrzeganie – twierdzą feministki – były traktowane jako naturalne. Nieważne zatem, co ewangeliciści piszą. Są przecież z góry już spętani i ograniczeni patriarchalną, androcentryczną kulturą, z góry zatem stronniczy. Są mężczyznami.

Jednak to nie ich jedyne ograniczenie. Piszą, by przekonać do chrześcijaństwa pogan, a konkretnie Rzymian. Piszą zatem w taki sposób, by ich zachęcić, by im pokazać – twierdzą autorki pism feministycznych – że nowa religia szanuje ich obyczaje i uznaje znaczenie rzymskiej rodziny. Pierwsi chrześcijanie – twierdzi się – szybko się zorientowali, że ich rzymscy, pogańscy sąsiedzi wyjątkowo źle przyjmują religię, w której tak znaczące

miejsce wyznaczono kobietom. Chrześcijanie chcieli się okazać bardziej rzymscy niż Rzymianie w zakresie kontroli, jaką sprawowali nad swymi rodzinami – pisała Karen Leigh King. Widzieli, jak ważne dla Rzymian są rodzina i władza mężczyzn, mężów i ojców. Chcąc dotrzeć do pogan i zdobyć ich uznanie, musieli zgodzić się na to, by to, co najbardziej kontrowersyjne i co prowokowało największy opór, przestało kłuć w oczy.

Argument ten wydaje się jednak wyjątkowo miałki. Najbardziej szokującą wieścią, którą chrześcijanie przynosili światu, było to, że ich król królów, Syn Boży (tytuł, którym poganie powszechnie obdarzali władców i cesarzy), Zbawiciel i Pan, zginął na krzyżu jak niewolnik i złoczyńca wskutek wyroku wydanego ostatecznie przez rzymskiego urzędnika. Treść tego posłania była szokująca. Wielu poganom musiała wydawać się na pierwszy rzut oka czymś niedorzecznym, szalonym, godnym potępienia i odrzucenia. Gdyby zatem chrześcijanie – jak to dzisiaj wmawiają różnej maści ideologowie – naprawdę chcieli dostosować się do oczekiwań świata, przede wszystkim usunęliby ze swego przekazu to, co w nim najbardziej skandaliczne. A jednak to właśnie zostawili. Zostawili mądrość – mówiąc językiem św. Pawła – krzyża.

TO TEN SAM FRITZ

Tym, co zwróciło uwagę dziennikarza w przekazanej mu przez prof. King korespondencji z właścicielem papirusu, była niespójność i brak konsekwencji nadawcy.



W e-mailach do prof. King raz zwracał się do niej jako do „pani”, raz jako do „doktora”, a raz jako „profesora”. Nadawca raz występował w roli kompletnego laika, twierdząc, że nie zna się na koptyjskim, innym zaś razem posyłał jej własne tłumaczenia z koptyjskiego. Umiał właściwie rozróżnić dialekty tego starożytnego języka, a nawet określić wiek papirusu. W jednym z e-maili pisał do niej, że papirus kupił w 1997 r., po czym załączył kontrakt zakupu z końca 1999 r. Wszystkie te nieścisłości nie zwróciły uwagi prof. King. Nie zwróciły, bo od początku przekaz papirusu tak dokładnie odpowiadał jej oczekiwaniom oraz oczekiwaniom i potrzebie całego środowiska feministycznych profesorek, że o szczegóły i nieścisłości nie chciała się martwić.

Sabar się nie poddawał. Od dziennikarzy lokalnej gazetki zdobył zdjęcie Fritza i wysłał je do jednego z dawnych profesorów instytutu egiptologii w Berlinie, który osobiście znał Waltera Fritza, autora tekstu w „Studien zur Altägyptischen Kultur”. Pamiętał on, że Fritz nigdy nie ukończył studiów, opuścił uniwersytet wskutek konfliktu z promotorem. Jakież musiało być zaskoczenie, ale i duma Sabara, kiedy w skrzynce znalazł odpowiedź od starego berlińskiego profesora, potwierdzającą, że zdjęcie Waltera Fritza z Florydy i Waltera Fritza, studenta egiptologii w Berlinie, przedstawiają prawdopodobnie tę samą osobę. Wniosek był prosty: Fritz kłamał. Dlaczego? Co chciał ukryć? Sabar postanowił dokładniej przyjrzeć się założonej przez Fritza w 1993 r. firmie Nefer Art. Wśród eksponatów, które oferowała klientom, były dwa fragmenty starożytnych manuskryptów – jednego w języku greckim, drugiego w arabskim. Kiedy wysłał specjalistom te zdjęcia fragmentów do oceny, odpowiedź była oczywista: kiepska podrobka.

Najważniejsze jednak było inne odkrycie – kiedy Sabar wprowadził do wyszukiwarki Google nazwisko i adres e-mailowy Fritza, uzyskał link pokazujący historię rejestracji domen. Wszystko było jasne: 26 sierpnia 2012 r., na ponad trzy tygodnie, zanim prof. King ogłosiła swe odkrycie, Walter Fritz zarejestrował domenę pod nazwą www.gospelofjesuswife.com. Nie można już było mieć wątpliwości. Najwyraźniej Fritz już miesiąc wcześniej przewidywał, że prof. King połączy haczyk i że lada moment ogłosi opinii publicznej, iż ma w ręku papirus mówiący o „żonie Jezusa”. Zresztą nie wymagało to wielkiej przenikliwości.

Wystarczyło znać tezy współczesnych feministek na temat początków chrześcijaństwa. Wystarczyło czytać, co pisały o ewangelii i ich pochodzeniu. Większość tych profesorek teologii wykazywała się skrajną łatwowiernością, brakiem logicznego myślenia, zdolnością do stawiania radykalnych i arbitralnych tez. I przede wszystkim cechowała je ogromna potrzeba uznania dla swoich odkryć, docenienia i aprobaty. Z jednej strony zajmowały z roku na rok coraz bardziej prestiżowe, cieszące się autorytetem, znaczące stanowiska, z drugiej nie do końca można było być pewnym, czy wszystkie te akademickie kariery i profesury nie są przypadkiem skutkiem zaangażowania w propagowanie studiów kobiecych. Pojawienie się papirusu ze słowami Jezusa było jak dar niebios. Okazywało się, że ledwo powierzono kobiecie, feministce, kluczową profesurę na Harvardzie, ona od razu niemal odnalazła to, co przez wieki skrywała męska androcentryczna kultura. Być może Fritz nie ukończył egiptologii, być może nie był znawcą koptyjskiego, ale doskonale rozumiał psychologię i mechanizmy świata.

ANDROCENTRYZM W NATARCIU

Polski czytelnik często nie zdaje sobie sprawy ani z tego, jakim żargonem posługują się współczesne „profesorki”, ani z tego, jakie są ich tezy. Nie rozumie, że na wielu zachodnich uczelniach, również tych najbardziej szacownych, za starą fasadą kryje się nowa, postępową treść. Oto co pisze w uważanej za biblię współczesnego chrześcijańskiego feminizmu Elisabeth Schüssler Fiorenza: „Androcentryczny system lingwistyczny płeć/rodzaj, który używa klasyfikacji rodzajowych zakorzenionych w pojęciu biologicznej płci, może jedynie utrwalać i naturalizować socjopolityczne konstrukty genderowe. W takim systemie lingwistycznym rodzaj męski występuje jako rodzaj »ogólny«; w takim języku człowiek/mężczyzna/męski/on to pojęcia reprezentujące jednocześnie człowieka i mężczyznę, podczas gdy kobieta/kobieta/żeńskie/ona odnosi się jedynie do tego, co kobiece. Androcentryczne pod względem gramatycznym »ogólne« języki zachodnie, które opierają się na klasycznych systemach gramatycznych greki i łaciny, wyraźnie wspominają o kobietach jedynie jako o wyjątkach od reguły, jako o czymś problematycznym, albo wyrażnie jako o poszczególnych jednostkach”. Wszystko to pojawia się w „In Memory of Her. A Feminist Theological Reconstruct-

tion of Christian Origins”, dziele uważanym – ostrzegam, to nie żart – za epokowe!

Gender to w takim ujęciu płeć, lecz nie w sensie biologicznym, tylko kulturowo-społecznym, czyli treść, którą w danej kulturze czy cywilizacji wiąże się z płcią. Według tej badaczki sama struktura języka konserwuje i zachowuje pierwotną nierówność i hierarchię. Język daje przewagę mężczyznom. Zrozumienie tego musi mieć fundamentalne znaczenie dla interpretacji chrześcijaństwa, a szczególnie dla zrozumienia roli i funkcji kobiet. W oczywisty sposób zrozumienie języka i odkrycie jego konserwującej roli będzie miało wpływ na najważniejszą bohaterkę Ewangelii, czyli Marię Magdalenę.

Współczesne feministki nie interesują się tym, co Biblia mówi o kobietach, nie zajmują się bohaterkami biblijnymi. Albo nie interesują się tym przede wszystkim. To prawda, że w Biblii, zarówno w Starym Testamencie, jak i Nowym, występuje wiele postaci kobiecych. Sara, żona Abrahama, rodzi Izaaka, Rebeka, żona Izaaka, jest matką Jakuba. Ten jest mężem Lei i Racheli oraz dwóch nałożnic. Można wskazywać wiele innych bohaterek biblijnych: Moabitkę Rut, Tamar, która uwiodła Judę, Esterę, która uratowała lud Izraela, Szulamitkę, Judytę. Tylko że z punktu widzenia współczesnego feminizmu bohaterki te, jakkolwiek wielką czią by je otaczano, nie mają znaczenia. Liczy się tylko jedno: na ile były w stanie konkurować z mężczyznami o władzę. W jakim stopniu świadomie spierały się z nimi i walczyły o swoją pozycję. Bez tego nie mają znaczenia. Gorzej. Brak takiej świadomości oznacza, że dostosowały się do androcentrycznej cywilizacji i stały się poniekąd jej symbolami.

Podobnie ma się sprawa z chrześcijaństwem, które traktowane jest jako ruch egalitarny, mający pierwotnie na celu zrównanie praw kobiet i mężczyzn. To, że tego się nie dostrzega, wynika z manipulacji autorów. Zapis biblijny powstał – twierdzą współczesne autorki – wskutek męskiej dominacji. „Kobiety nie były na marginesie życia na początku chrześcijaństwa; to biblijne teksty i źródła historyczne stworzyły obraz kobiet na marginesie. Dlatego teksty należy odczytywać nie tylko pod kątem tego, co mówią one o kobietach, ale także pod kątem tego, jak konstruuje one to, co mówią albo o czym nie mówią. [...] Zamiast domagać się od badaczek historii feminizmu czy pracy tego, by dowiodły, że kobiety i robotnicy mieli aktywny udział w danym okresie



■ historycznym, ta feministyczna reguła domaga się przyjęcia innej perspektywy: trzeba udowodnić, że nie mieli udziału” (Schüssler Fiorenza). To rzeczywiście postulat rewolucyjny. Zakłada się bowiem, że prawdą jest to, czego teksty nie przekazują, to zaś, co przekazują, traktuje się nie jako opis rzeczywistości, ale jako zapis układu sił. Schüssler Fiorenza odwołuje się do metody, która rozpanoszyła się we współczesnej egzegezie, tyle tylko, że zamierza ją zastosować do udowodnienia roli i znaczenia kobiet w ruchu Jezusa.

UCISK MASKULINIZMU

Krótko: kobiety w ruchu Jezusa odgrywały od początku rolę dominującą. To, że Ewangelie o tym nie wspominają, jest dowodem, że wiedza ta została stłumiona, ograniczona. Najważniejszą apostołką była Maria Magdalena, a nie Piotr. To jej Jezus powierzył władzę i autorytet, to ona miała nauczać braci i umacniać ich w wierze. Piotr nie chciał się jednak z tym pogodzić i postanowił odzyskać władzę. Nowy Testament w swej najgłębszej warstwie zawiera opis tych zmagania. To, że ewangelisci piszą, iż było odwrotnie, o niczym nie świadczy, poza jednym – wzięli udział w próbie narzucenia fałszywej narracji. Maria Magdalena była kobietą, która otrzymała równość z Jezusem w czasie, gdy opresyjny maskulinizm dominował nad światem.

Powodem, dla którego Maria Magdalena została wykluczona, nie było to, że miała słabszą wiarę niż uczniowie – miała ją większą. Maria znika, bo tak świadomie zdecydowali wcześnie ojcowie Kościoła, którzy pozbyli się niewygodnej kobiety. Nie mogli pogodzić się z tym, że była równa apostołom, dokonali zatem czegoś w rodzaju małego zamachu stanu: ocenizowali przekaz, ograniczyli jej rolę.

To, że tylu badaczy wciąż tego nie widzi, pokazuje, jak głęboko uwikłani są we współczesne struktury patriarchalne. „Twierdzą – dalej grzmi Schüssler – że z powodu przyjmowania kyriocentrycznych modeli rekonstrukcji historycznej historycy wczesnego chrześcijaństwa nie dostrzegli lub błędnie zinterpretowali teksty i produkty, które przyznawały kobietom sprawowanie publicznych funkcji lub czyniły ich aktywność czymś kluczowym”. Historycy badający Nowy Testament wyrosli w kulturze patriarchalnej i przyjmowali ją za coś oczywistego i neutralnego. Tymczasem jest inaczej. To, co jawi się jako normalne, jest skutkiem

i owocem wielu wieków dominacji i przemocy, czasem jawnej, czasem ukrytej. Od zarania dziejów ścierają się zwolennicy wolności i emancypacji oraz jej wrogowie; nie istnieją żadna naturalna struktura ani porządek społeczny. Emancypacyjna walka przeciw kyriarchii i za ludzką godnością i równością istniała już w judaizmie oraz świecie grecko-rzymskim – twierdzi Schüssler Fiorenza – i „od początku determinowała korzenie chrześcijaństwa”.

Toczy się cały czas, także dzisiaj, i będzie trwał tak długo, jak długo „kulturowo-religijny kyriocentryzm i socjopolityczna kyriarchia będzie pozostawać w historycznym napięciu z radykalnie demokratyczną wizją samodeterminacji we wszystkich sferach życia społeczno-kulturowego i religijnego”. Czym było zatem chrześcijaństwo? Radykalnym dążeniem do równości. To, że Jezus przekraczał bariery społeczne i klasowe, to, że pozwalał iść za sobą kobietom, nie było oznaką Bożego miłosierdzia, ale stanowiło realizację projektu pełnej równości i emancypacji. Jezus chciał w tym ujęciu wprowadzić pełną równość władzy kobiet i mężczyzn; chciał znieść wszelki ucisk i opresję, w tym największą i najstarszą opresję wynikającą z różnic płci. Jezus wystąpił przeciw kyriarchii, a więc panowaniu męskiemu; taki był sens pierwotnego, najwcześniejszego chrześcijaństwa. Taki jest też cel autorki wielkopomnego dzieła.

Chce ona śledzić ślady walki przeciw kyriarchicznym relacjom dominacji w początkach wczesnego chrześcijaństwa w kontekście świata grecko-rzymskiego, do którego należał judaizm. Walka nie jest łatwa, bo w miejscu pierwotnego, równościowego, emancypacyjnego chrześcijaństwa wyrósł Kościół: „Proces tłumaczenia, który zmienił ekklesia/zgromadzenie na kyriake/kościół, wskazuje na historyczny rozwój, który uprzywilejowywał kyriarchiczno-hierarchiczną formę Kościoła”.

PIWO LEPSZE NIŻ PAPIRUSY

Amerykański dziennikarz w 2016 r. postanawia pojechać do Niemiec i porozmawiać z pasierbem zmarłego w 2002 r. Laukampa. Chce sprawdzić, czy zmarły mógł być kolekcjonerem starożytnych papirusów i czy to on mógł przekazać je Fritzowi. Po tym spotkaniu na światło dzienne wychodzą kolejne tajemnice. Laukamp uciekł do Berlina Zachodniego już w 1961 r. Jak zatem mógł zdobyć sześć papirusów w Poczdamie w 1963 r.?

Nie sposób sobie tego wyobrazić. Musiałby najpierw uciec na Zachód, potem wrócić, kupić sześć papirusów w Poczdamie i jeszcze raz uciec.

Nie mniej intrygujący był portret psychologiczny rzekomego właściciela papirusów, który Sabar ustalił na podstawie wspomnień pasierba i jego żony, najbliższych krewnych zmarłego w 2002 r. Niemca. Laukamp w ogóle nie interesował się starożytnością. Podobnie nigdy nie słyszeli o jakichkolwiek innych jego studiach nad papirusami. Był to człowiek pocziwy, lecz jednocześnie o bardzo ograniczonych horyzontach. Był prostym ślusarzem i później biznesmenem. Nie miał nawet średniego wykształcenia. Jeśli miał wolny czas, to spędzał go na piwie z kumplami, a nie na wertowaniu papirusów – twierdzili zgodnie pasierb z żoną. Niemożliwe zatem, żeby ktoś taki w 1982 r. po pierwsze posiadał sześć tajemniczych koptyjskich papirusów, po drugie zwrócił się o konsultację do profesora egiptologii. Skąd zatem na kontrakcie wziął się jego podpis? Laukamp był człowiekiem naiwnym, któremu łatwo było wmówić dowolne rzeczy – twierdziła rodzina. Najprawdopodobniej – wskazuje Sabar – Fritz musiał w pewnym momencie zdobyć jego podpis i umieścić go pod sfałszowanym kontraktem.

Wyjazd do Berlina przyniósł jeszcze jedną zdobycz – Sabar ustalił, że krótko po obaleniu muru berlińskiego Fritz został na kilka miesięcy dyrektorem muzeum Stasi w Berlinie Wschodnim. Potwierdzeniem było archiwalne zdjęcie z tygodnika „Stern”. Prowadząc dalej mozolne śledztwo, Sabar odkrył, że Laukamp i Fritz spotkali się pierwszy raz na początku lat 90. w berlińskiej saunie. Później zaczęli współpracować przy tworzeniu firmy produkującej części do hamulców dla BMW, której amerykańskim przedstawicielem stał się Fritz. Największym atutem tego ostatniego były zdolności do przekonywania. Potrafił – mówili jego dawni znajomi – sprzedać wszystko każdemu i za każdą cenę.

Ostatnim pytaniem, na które musiał sobie odpowiedzieć dziennikarz, było pytanie o motyw. Dlaczego właściwie Fritz miałby dokonać takiego fałszerstwa? Co nim kierowało? Nie była to chyba zwykła chciwość – za przekazanie papirusu Harvardowi na 10 lat nie dostał pieniędzy. Nie znał osobiście King. Przekazując jej sfałszowany papirus, musiał mieć inny cel niż np. upokorzenie znanego profesora.



Nie były znane żadne jego wypowiedzi publiczne, które pozwoliłyby zrozumieć, dlaczego zdecydował się na taki ruch.

TRZEBA ODZYSKAĆ MIEJSCA DLA MARII MAGDALENY

„Ojcowie wczesnego Kościoła wyrażali poglądy, które wciąż istnieją w męskiej podświadomości – stwierdza Mary Kenny, inna badaczka feministyczna. – Istnieje ciągle w mężczyźnie prymitywny strach przed kobietami. Mężczyzna boi się kobiet z różnych powodów: boi się on jej gniewu, który jest elementem jego pamięci własnego dzieciństwa, kiedy znajdował się pod władzą matki, kiedy to matka miała środki, aby albo go zmusić, albo złamać, czy to dając mu, czy też odbierając miłość i pokarm; mężczyzna także obawia się »irrationalnej«, »prymitywnej« natury kobiety, gdyż uważa się, że logika kobiety jest intuicyjna i dlatego nie wolno na niej polegać, aby wydać sąd oparty na spójnej strukturze męskiej logiki”. Wniosek, który wyciąga autorka – w patriarchalnej strukturze i w kontekście jej czasów zabrakło miejsca dla Marii Magdaleny.

Wszystkie te arbitralne, emocjonalne, pozbawione krytycyzmu opinie powielił też profesor z Harvardu. Oto co pisze na temat sceny spotkania Jezusa i Marii Magdaleny w „Ewangelii św. Jana” Karen Leigh King: „Cała scena [objawienia się Jezusa Marii Magdalenie] w Ewangelii Jana ma na celu podporządkowanie autorytetu Marii jako świadka zmartwychwstania autorytetowi uczniów mężczyzn; dokonuje się to szczególnie przez ograniczenie jej misji do tego, żeby dała świadectwo tylko pozostałym uczniom”. Słowa Jezusa: „Idź do moich braci i powiedz im: Wstępuję do mojego Ojca i waszego Ojca, do mojego Boga i waszego Boga” (J 20, 17) są traktowane jako dowód męskiej manipulacji dokonanej zapewne przez autora czwartej Ewangelii. King sądzi, że w pierwotnej wersji przekazu żadnych takich ograniczeń nie było, a Maria Magdalena została posłana nie do braci Jezusa, ale do wszystkich wiernych, którym miała przepowiadać nauki i głosić zmartwychwstanie. Dowód? Tych nie potrzeba. To się wie, to się czuje. To się rozumie. Tak samo jak samo przez się rozumiało się, że dostarczony prof. King skrawek papirusu zawierał autentyczny tekst grupy chrześcijan z II w. po Chrystusie, którzy sądzili, że Jezus miał żonę. Tak jak samo przez się rozumiało się, że taka tradycja została

wypchnięta na margines przez androcentryczny Kościół i po XX wiekach odsłonięta światu przez profesor z Harvardu.

FETYSZYZM I SEKS NA OSTRO

Odpowiedź na pytanie o motyw, którym kierował się zapewne Walter Fritz, przekazując prof. King sfałszowany papirus, znowu przyniosło badanie Internetu. Okazało się, że od 2003 r. Fritz... prowadził kilka stron pornograficznych, na których zamieszczał filmiki pokazujące jego żonę uprawiającą seks z innymi mężczyznami. W ciągu kilku lat niedoszły magister egiptologii, były dyrektor muzeum Stasi w Berlinie Wschodnim oraz były przedstawiciel firmy produkującej fragmenty do produkcji hamulców dla BMW – jednym słowem, Walter Fritz – osiągnął nawet, jak wynika z cytowanych przez Sabara e-maili i komentarzy, pewien rodzaj renomy w kręgach zainteresowanych tego rodzaju rozrywką. Zarządzane przez niego strony pornograficzne działały do 2015 r.

Okazało się, że ze stron tych regularnie korzystało niemal 50 tys. zarejestrowanych odbiorców. Przez kilka lat dawało to parze małżonków całkiem niezłe dochody – opłata za korzystanie ze stron wynosiła 25 dol. od osoby miesięcznie. Prawdziwe znaczenie tej informacji stało się jasne, kiedy Sabar sięgnął ponownie do „Kodu Leonarda da Vinci”, książki, która zrobiła niebywałą furorę na krótko przed publikacją papirusu przez prof. King. Zbieżność czasowa i tu była wyraźna. Dan Brown wydał swoją powieść w 2003 r., Walter Fritz uruchomił swój pornograficzny portal z żoną jako gwiazdą porno ledwo kilka miesięcy później.

Teraz wszystko stało się jasne: Fritz widział zapewne w żonie nową Marię Magdalene, która w przeciwieństwie do swej chrześcijańskiej protagonistki postanowiła uświęcić seks. W jego oczach prawdziwe chrześcijaństwo nie miało wiele wspólnego z tym, które przekazał Kościół w Ewangelii. Kościół – tak jak to przekazuje w książce Dana Browna prof. Robert Langdon, notabene również profesor Harvardu – był od początku wrogiem seksu i dlatego uznał erotyzm za coś grzesznego. Prawda jednak była całkiem inna i przechowały ją zniszczone przez hierarchów tajemnicze, apokryficzne ewangelie. To one opowiadały o małżeństwie Jezusa z Marią Magdaleną. W książce można też znaleźć opowieść o tajemnym stowarzyszeniu, przechowującym pamięć o małżeństwie Jezusa.

Przynależność do niego łączyła się z udziałem w rytualnych orgiach.

W 2015 r. żona Fritza, główna bohaterka pornograficznych filmów, na których występuje z innymi mężczyznami, opublikowała książkę, zbiór „uniwersalnych prawd” zapisanych pod wpływem – jak utrzymywała – Boga i Michała Archanioła. Wyglądało na to – pokazał Sabar – że Fritz wraz z żoną uznali „Kod Leonarda da Vinci” za swoistą księgę objawioną. W książce „odkrycie” potomków Jezusa i Marii Magdaleny staje się możliwe dzięki temu, że fikcyjny profesor Langdon znajduje tajemniczy skrawek papirusu. W rzeczywistości rolę Langdona odegrała prof. King, którą doprowadził do działania, obwieszczenia światu odnalezienia tajemnego tekstu, przekazany jej skrawek papirusu.

Kiedy Sabarowi w końcu udało się doprowadzić do spotkania z Fritzem, wszystkie jego ustalenia zostały potwierdzone. Chociaż Fritz nadal twierdził, że nie był fałszerzem, to przyznał się, że to od niego papirus dostała prof. King. Nie umiał wytłumaczyć żadnej ze sprzeczności. Ani tego, skąd Laukamp miał papirusy, ani tego, w jaki sposób zmarły Niemiec zawarł z nim kontrakt w USA w listopadzie 1999 r., kiedy to przebywał w Europie przy łóżku śmiertelnie chorej żony. Kłamał w żywe oczy. Najciekawsze zaś było to, że w pewnej chwili Fritz zaproponował Sabarowi napisanie powieści, której przedmiotem byłaby Maria Magdalena, „stłumienie żeńskiego elementu w Kościele” i autentyczność ewangelii gnostyckich. Lepsze to niż reportaż o papirusie – mówił.

Ariel Sabar opublikował swój artykuł trzy lata temu. Mimo tego Karen Leigh King kieruje bez zmian najstarszą ufundowaną katedrą teologii w USA. Nadal jest uznawana za eksperta i autorytet. Nadal cieszy się uznaniem i edukuje kolejne pokolenia teologów, zatrudnianych później na innych, nie mniej prestiżowych i wpływowych uniwersytetach. Dalej głosi teorię o marginalizowaniu kobiet. Podobnie swój autorytet zachowali wszyscy inni profesowie, którzy bez mrugnięcia okiem przyjęli i potwierdzili autentyczność skrawka papirusu, który – jak wynika ze śledztwa Sabara – był fałszerstwem Waltera Fritza. Być może zmieniło się jedno: bardzo, bardzo niechętnie wszyscy oni odwołują się do „Ewangelii żony Jezusa”. No bo czy to w ogóle ma znaczenie?



Z prof. Bernardo Hontanillą, chirurgiem plastycznym z Kliniki Uniwersytetu Nawarry rozmawia Piotr Włoczyk

Twarz z całunu żyje

PIOTR WŁOCZYK: W tej sprawie podział wydaje się jasny: sceptycy widzą w Całunie Turyńskim dzieło genialnego artysty, a większość katolików uważa go za świętą relikwię, która przedstawia wizerunek martwego Jezusa Chrystusa. Pan jednak twierdzi coś zupełnie innego...

PROF. BERNARDO HONTANILLA: Tak. Moje badania wyraźnie pokazują, że na obrazie odbitym na Całunie Turyńskim widać ślady życia. Patrząc na ten wizerunek, możemy mieć pewność, że widzimy twarz żywego człowieka.

Jakie ma pan dowody na poparcie tej niesamowicie brzmiącej tezy?

Najważniejszym, przesądzającym dowodem jest widoczna bruzda nosowo-

-wargowa. Aby zaobserwować taki efekt, konieczne jest napięcie mięśni. Każdy chyba doskonale rozumie, że w przypadku martwego ciała to wykluczone.

Wizerunek postaci z Całunu Turyńskiego jest bardzo szczegółowy i doskonale widać obie bruzdy nosowo-wargowe. Jest dla mnie oczywiste, że ta osoba – w momencie utrwalenia tego wizerunku – musiała żyć. Jestem chirurgiem plastycznym, bardzo często pracuję na ludzkich twarzach i wiem, jakie oznaki wykazuje twarz żywego pacjenta – takich oznak nie sposób przeoczyć.

Kiedy człowiek słyszy „chirurg plastyczny”, skojarzenie jest zazwyczaj jedno.

Tylko że ja nie jestem chirurgiem estetycznym, tylko rekonstrukcyjnym. W mojej pracy skupiam się na pomaganiu ludziom, którzy mają prawdziwe problemy i z powodu swoich chorób, przypadłości cierpią. Poza zajmowaniem się paraliżami twarzy rekonstruuje też zniszczone fragmenty ciała, np. wskutek poparzeń.

A może osoba, która była owinięta całunem, cały czas żyła?

Całun badany był przez bardzo wielu specjalistów. Również lekarzy. Dzięki ich badaniom wiemy z całą pewnością, że są na nim ślady dwóch typów krwi: przedśmiertnej i pośmiertnej. Medycy



potrafią je odróżnić od siebie. Inaczej krwawi osoba żywa, a inaczej martwa. Tymczasem na plecach osoby owiniętej całunem ewidentnie są ślady krwi, która wypłynęła z ciała przed śmiercią, ale już z boku mamy do czynienia ze śladami krwi, która wypłynęła po śmierci tego człowieka... Badania pokazują jasno, że do nieznanego promieniowania, które wytworzyło ten wizerunek, doszło po obu tych krwawieniach.

Jak pan to wszystko rozumie tak po ludzku?

Odpowiem teraz nie jako naukowiec, tylko osoba kompletnie prywatna. Jeżeli ten całun odkrywał po śmierci ciało Jezusa Chrystusa – a wszystko wskazuje na to, że tak właśnie było – to patrząc na niego, widzimy „fotografię” zmartwychwstania. To są być może pierwsze chwile od wstąpienia życia w martwe ciało Jezusa Chrystusa. Jednak jeszcze raz to wyraźnie zaznaczyć – to jedynie moja osobista opinia.

Oczywiście. Nauka nie zna przecież czegoś takiego jak zmartwychwstanie.

Mówiąc precyzyjnie: my, naukowcy, nie mamy żadnego doświadczenia ze zmartwychwstaniem. Dlatego teraz rozmawiamy już o wierze, a nie o nauce. Jednak oczywiście jedno wcale nie musi się z drugim wykluczać.

Jest pan osobą wierzącą. To nie wpływa na pański przekaz odnośnie do Całunu Turyńskiego?

Jako naukowiec mówię tylko – na tym obrazie widzimy twarz żywej osoby. Zachęcam wszystkich specjalistów do dyskusji na ten temat. Z naukowego punktu widzenia nie mogę stwierdzić, kto wykonał ten obraz i jaką techniką się posłużył, kogo on przedstawia, ale bez wątplenia osoba, którą tam widać, w momencie robienia tego „zdjęcia” była żywa.

Kiedy pan to wszystko odkrył?

Trochę ponad rok temu. Kiedy przyjrzałem się bardzo dokładnie twarzy z Całunu Turyńskiego, zdumiało mnie, że widać tu oznaki życia, które zauważyłem gołym okiem. Zacząłem mnóstwo czytać na ten temat. Tymczasem każdy specjalista, który się tym zajmował, zakładał, że mamy do czynienia z obrazem przedstawiającym martwego człowieka. A przecież zajmowali się tym obrazem także lekarze, którzy analizowali potworne obrażenia tej osoby.

Niedługo później opowiedziałem o moim odkryciu przyjacielowi. Namówił mnie do napisania artykułu naukowego na ten temat. Postanowiłem to wszystko opisać i efektem jest publikacja w ostatnim numerze czasopisma „Scientia et Fides”. Wszystkich zainteresowanych odsyłam do tego tekstu i zapraszam do debaty.

Nie tylko jednak na twarzy z Całunu Turyńskiego widzi pan ślady życia...

Na podstawie wizerunku z całunu naukowcy z Włoch oraz Hiszpanii stworzyli trójwymiarową postać, która była nim przykryta. Widzimy tam lekko ugiętą szyję, w specyficzny sposób jest też ułożone jedno kolano. To wygląda tak, jakby człowiek, który zakrywa swoje genitalia, wstawał. Jeżeli poprosilibyśmy kogoś o wstanie z łóżka bez wspierania się na rękach, to tak by to właśnie wyglądało w pierwszej fazie tego ruchu.

Dla mnie jednak kluczowym argumentem przemawiającym za moją tezą jest właśnie bruzda nosowo-wargowa. Martwe ciało można ewentualnie ułożyć w taki sposób, by udawało ruch, ale bruzdy nie da się „ustawić”.

Co pana skłania do odrzucenia tezy, że całun jest wybitnym dziełem sztuki wykonanym przez geniusza, który zdarza się raz na tysiąc lat?

Nie widać tam śladów farby, ruchów ręki artysty, nie stwierdzono również obecności barwników. Nikt nie potrafi powiedzieć, jak otrzymać taki obraz. Najpewniej powstał dzięki promieniowaniu, ale nie wiadomo, jak do tego doszło. Nie znamy odpowiedzi na to podstawowe pytanie dziś, w XXI w., kiedy dysponujemy kosmiczną technologią. Jeżeli to jest dzieło sztuki, to musiałby je stworzyć wieki temu nieprawdopodobny geniusz, używając do tego superzaawansowanej technologii, której działania nawet dziś nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Wszystko świadczy więc o tym, że Całun Turyński jest prawdziwy. Również stwierdzone na nim pyłki kwiatów, które dziś już w Izraelu nie występują, ale rosły w Palestynie powszechnie dwa tysiące lat temu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Bernardo Hontanilla

jest pierwszym chirurgiem plastycznym badającym Całun Turyński. Specjalizuje się w operacjach rekonstrukcyjnych.

Całun Turyński z jerozolimską ziemią

Sceptycy mieli nadzieję, że nauka raz na zawsze rozprawi się z tym niezwykle kawałkiem tkaniny. Okazuje się jednak, że wciąż pozostaje bezradna wobec tajemnicy całunu

Otoczone wciąż przez chrześcijan lniane płótno o wymiarach 4,3 m x 1,1 m badane było już przez zastępy naukowców – fizyków, chemików, lekarzy, a także historyków sztuki. Do tej pory najbardziej pogłębiona analiza Całunu Turyńskiego przeprowadzona została w 1978 r. przez zespół STURP (Shroud of Turin Research Project – Projekt Badań nad Całunem Turyńskim). W jego skład wchodził naukowcy z wielu dziedzin, którzy przylecieli do Turynu z sześcioma tonami specjalistycznego sprzętu. Badacze dostali od władz kościelnych 120 godzin na kompleksowe prześwietlenie słynnej relikwii. Jednym z członków zespołu był Barrie Schwartz, który od strony naukowej zajmuje się fotografią.

– Byłem przekonany, że znajdziemy na całunie pozostałości farby i ślady po pędzlu. Wydawało mi się, że już pierwszego dnia bezspornie ustalimy, iż wizerunek widoczny na Całunie Turyńskim jest zwykłym malowidłem – wspominał w 2015 r. w rozmowie ze mną Barrie Schwartz. Uważał on, tak jak reszta sceptyków, że całun jest w istocie wielkim fałszerstwem – miało to być po prostu sprytnie wykonane malowidło. W miarę postępu badań naukowcy ze STURP ze zdumieniem przekreślali jednak kolejne swoje wyobrażenia na temat powstania Całunu Turyńskiego.

– Tak jak każdy fotograf zawsze mam przy sobie szkło powiększające. Podszedłem do całunu i przyłożyłem lupę do oka – opowiadał Barrie Schwartz. – I nic. Ani śladu farby, barwników, pociągnięć pędzla czy pozostałości po spoiwie



malarskim. Wizerunek, który miałem przed sobą, z całą pewnością nie był malowidłem. Byłem naukowcem z wieloletnim doświadczeniem, więc moją głowę zaczęła zaprzętać tylko jedna myśl: W jaki sposób powstał obraz, który ma tak unikalne właściwości?

Na to pytanie nauka wciąż nie zna odpowiedzi. Wiadomo, że wizerunek nie został namalowany, wypalony ani nie powstał przy użyciu technik fotograficznych. Najbardziej prawdopodobna hipoteza zakłada, że obraz pojawił się na płótnie na skutek promieniowania. Co ciekawe, Całun Turyński ma swoją „głębię” – tam, gdzie tkanina przylegała bezpośrednio do ciała (np. do nosa), obraz jest ciemniejszy, a miejsca oddalone od płótna (np. powieki) są bledsze.

Najbardziej znana wersja wizerunku całunu (czarno-biała fotografia ze światłem widocznymi szczegółami twarzy) to efekt odkrycia Secondo Pii, włoskiego prawnika i fotografa amatora, który już w 1898 r. zauważył, że oryginał to tak naprawdę negatyw. Dopiero pozytywy uzyskany za pomocą zdjęcia robi na widzach piorunujące wrażenie.

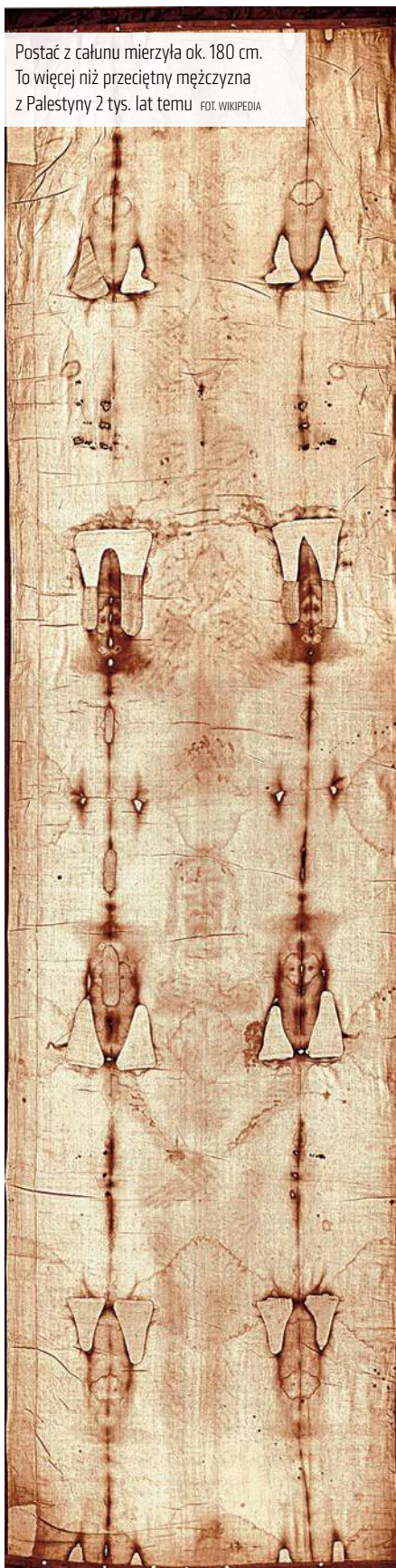
Kościół katolicki nigdy wprawdzie nie potwierdził jednoznacznie i oficjalnie, że Całun Turyński faktycznie jest płótnem, w które zawinięte zostało po śmierci ciało Jezusa Chrystusa, ale kolejni papieże z wielką czcią odnosili się do tej relikwii i odbywali w tym celu pielgrzymki do Turynu.

„Dla człowieka wierzącego istotne jest przede wszystkim to, że całun to zwierciadło Ewangelii – mówił w 1998 r. Jan Paweł II. – Refleksja nad całunem każe bowiem uświadomić sobie, że widniejący na nim wizerunek jest tak ściśle związany z tym, co Ewangelie opowiadają o męce i śmierci Jezusa, że każdy człowiek wrażliwy, kontemplując go, doznaje wewnętrznego poruszenia i wstrząsu”.

Całun po raz pierwszy wyłonił się z mroku dziejów w 1354 r. we Francji za sprawą templariusza Gotfryda de Charnaya. Od tamtej pory przez kolejne dwa wieki przechowywany był w tym kraju. W 1532 r. został uratowany z pożaru, ale nie wyszedł z niego bez uszczerbku – do dziś widać na nim nadpalone fragmenty i plamy po zalaniu brudną wodą. Od 1578 r. Całun Turyński przechowywany jest w katedrze pw. św. Jana Chrzciciela w Turynie.

Postać z całunu mierzyła ok. 180 cm, czyli była o ok. 15 cm wyższa od przeciętnej mężczyzny żyjącego dwa tysiące

Postać z całunu mierzyła ok. 180 cm.
To więcej niż przeciętny mężczyzna
z Palestyny 2 tys. lat temu FOT. WIKIPEDIA



lat temu w Palestynie. Człowiek ten musiał przejść przed śmiercią nieprawdopodobne tortury – całe jego ciało pokryte było ranami od bicia, głowa pokłuta była kolcami, prawy bok przebity ostrym narzędziem, a ofiara dodatkowo miała zwichnięty prawy bark.

– Na całunie doliczyłem się 370 ran powstałych wskutek biczowania. Do tego trzeba dodać rany boczne, które nie odcisnęły się na płótnie, ponieważ przykrywało ono ciało tylko z przodu i z tyłu. Możemy zatem założyć, że w sumie było przynajmniej 600 uderzeń – twierdzi prof. Giulio Fanti z Uniwersytetu w Padwie, który kierował zespołem przygotowującym trójwymiarowy model na podstawie wizerunku z całunu. – Ponadto trójwymiarowa rekonstrukcja wykazała, że w chwili śmierci mężczyzna z całunu osunął się na prawo, ponieważ prawe ramię było zwichnięte na tyle poważnie, że doszło do uszkodzenia nerwów.

W 1988 r. Kościół katolicki zezwolił na kolejne badanie całunu – tym razem trzy renomowane laboratoria dostały do analizy fragmenty płótna, by przebadać je, wykorzystując izotop węgla C-14. Wynik był szokujący. Naukowcy stwierdzili, że materiał ten pochodzi z lat 1260–1390. Sceptycy – jak się wówczas wydawało – zyskali koronny argument za tezą, że relikwia jest fałszerstwem.

Szybko jednak się okazało, że badanie całunu za pomocą izotopu C-14 ma niewiele sensu – materiał został przez stulciecia bardzo zanieczyszczony, a ponadto już w średniowieczu był wzmacniany poprzez doszycie elementów bawełnianych.

Żaden z rozsądnych badaczy nie kwestionuje jednak tego, że sposób tkania płótna był typowy dla Bliskiego Wschodu w początkach naszej ery, ani tego, że odnaleziono na nim pyłki roślin, które kwitną wiosną w okolicy Świętego Miasta. Z kolei w miejscu stóp badacze ze STURP stwierdzili obecność drobin ziemi, której skład jest bardzo charakterystyczny dla jerozolimskiej gleby.

Dlaczego ślady krwi na całunie wciąż są czerwone? Dlaczego nie szczeniały jak zwykle się to dzieje ze starą krwią? Odpowiedzią na tę zagadkę jest bilirubina. Wątroba wydziela ten enzym w momentach zapaści organizmu, np. podczas okrutnych tortur. Za sprawą bilirubiny krew pozostaje na zawsze czerwona.

Piotr Włoczyk

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIGO

Grupa Enea pomaga w czasach pandemii

Grupa Enea przeznacza 2,6 mln zł na pomoc placówkom medycznym walczącym z koronawirusem. Przekazane pieniądze są przeznaczane m.in. na sprzęt medyczny, środki higieny i ochrony osobistej

Kierujemy naszą pomoc tam, gdzie jest ona najbardziej potrzebna. Do placówek medycznych, które są na pierwszej linii w walce z wirusem. Podejmujemy aktywne działania w trosce o zdrowie naszych klientów, pracowników i wszystkich, z którymi współpracujemy – mówi Mirosław Kowalik, prezes Enei. Za pośrednictwem Fundacji Enea do ośmiu szpitali trafiło 2,1 mln zł. Pomoc otrzymały placówki w Bydgoszczy, Busku-Zdroju, Grójcu, Koźlenicach, Poznaniu, Radomiu, Szczecinie i Zielonej Górze. Wyboru trzech dokonało Ministerstwo Zdrowia, placówki ze swojego terenu działania wskazały również Enea Operator oraz Enea Wytwarzanie. Należąca do Grupy Enea kopalnia Bogdanka, przeznaczyła 0,5 mln zł na pomoc dla szpitali i sanepidu w woj. lubelskim. – Szpitale pracują w trudnych, szczególnych warunkach. Chcemy wesprzeć te działania, by w najtrudniejszych chwilach zapewnić wszystkim potrzebującym niezbędną pomoc i opiekę. Jednocześnie z zaangażowaniem i odpowiedzialnie pracujemy na rzecz zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego kraju – podkreślił Antoni Józwiowicz, prezes Enei Wytwarzanie.

Bezpośrednia pomoc finansowa to jednak tylko część działań podjętych przez Eneę w obliczu epidemii. Grupa konsultantów, na co dzień obsługujących klientów Enei, wspiera teraz pracę infolinii NFZ, usprawniając obsługę w tym kanale kontaktu. Część służbowej floty samochodowej ze spółek Grupy będzie udostępniona szpitalom i laboratoriom, by wesprzeć obsługę logistyczną i zapewnić szybki oraz sprawny transport. Enea Połaniec przekazała 3 tys. maseczek szpitalom w Staszowie i Kielcach.

POWSTRZYMAĆ WIRUSA

W trosce o zdrowie klientów i pracowników, aby zminimalizować ryzyko rozprzestrzeniania się koronawirusa, w marcu Enea podjęła decyzję o tymczasowym zamknięciu wszystkich biur obsługi klienta w północno-zachodniej Polsce.

Klienci mogą bezpiecznie załatwić wszystkie sprawy związane z energią elektryczną bez wychodzenia z domu. Opłacić faktury, zaktualizować swoje dane czy zgłosić inne sprawy, które trzeba zrealizować, można poprzez elektroniczne biuro obsługi ebok.enea.pl. Elektroniczne biuro otwarte jest 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Z konsultantami Enei można też porozmawiać na czacie (dostępny na stronie www.enea.pl) lub za pośrednictwem infolinii 611 111 111.

Większość pracowników Grupy Enea pracuje zdalnie. W przypadkach, gdy nie ma takiej możliwości, został wprowadzony podział na grupy, które pracują w systemie rotacyjnym i są rozproszone po różnych lokalizacjach. Inkasenci sprawdzają

odczyty liczników energii elektrycznej, nie wchodząc do domów i mieszkań, kontrolując jedynie stan ogólnodostępnych urządzeń pomiarowych. – Aktualne stany liczników można podawać zgodnie z wywieszanymi przez inkasentów komunikatami: poprzez infolinię lub e-mailowo. W przypadku nieprzekazania stanu licznika zużycie energii elektrycznej będzie szacowane na podstawie wcześniejszych odczytów – tłumaczy Andrzej Kojro, prezes Enei Operator.

PEWNOŚĆ DOSTAW

Zarówno osoby pracujące w domach zdalnie, jak i dzieci uczące się przed domowymi komputerami mogą być spokojne o swoje bezpieczeństwo energetyczne. Grupa Enea szczególnie dba bowiem o zapewnienie ciągłości ciągłości wytwarzania i dostaw energii elektrycznej.

Wprowadzone zostały dodatkowe środki ostrożności w elektrowniach w Koźlenicach oraz Połańcu i instalacjach produkujących ciepło dla mieszkańców w Pile i Białymstoku, a także procedury awaryjne, by zachować ciągłość zarządzania siecią energetyczną i produkcji oraz dostawy energii elektrycznej. Prace eksploatacyjne na sieci prowadzone są głównie w technologii pod napięciem lub z wykorzystaniem agregatów, a także z zastosowaniem innych środków organizacyjnych, tak aby nie powodować istotnych ograniczeń w dostawie energii elektrycznej do klientów.

W Grupie działa Sztab kryzysowo-koordynacyjny, który na bieżąco monitoruje sytuację i czuwa nad zapewnieniem ciągłości działania kluczowych obszarów w Grupie.



Polska zdaje egzamin



Z prezydentem RP

Andrzejem Dudą

na Skype

rozmawia Marcin Makowski



MARCIN MAKOWSKI: Panie prezydencie, rozmawiamy w wyjątkowych okolicznościach, za pomocą łączenia internetowego, bo czasy są również wyjątkowe. Donald Trump nazwał się nawet „prezydentem czasu wojny”, mówiąc, że skala zagrożenia pandemią przypomina konflikt zbrojny. Czy pan też dzisiaj czuje na barkach taką odpowiedzialność?

ANDRZEJ DUDA: To ogromna odpowiedzialność sprawujących władzę. Przy czym ona spoczywa nie tylko na moich barkach, lecz zwłaszcza na rządzie, premierze, ministrach i służbach, które każdego dnia troszczą się o to, aby państwo dla obywateli realizowało swoje podstawowe zadania. Chciałbym wyrazić moje wielkie uznanie dla wszystkich, którzy pracują po kilkanaście godzin na dobę. Jestem w stałym kontakcie z premierem Mateuszem Morawieckim oraz ministrem zdrowia Łukaszem Szumowskim, od których dostaję raporty na temat postępów w walce z koronawirusem. Oczywiście jako prezydent czuję ciężar wyzwania, które stoi przed nami i de facto przed całym światem.

Czy państwo polskie przygotowało się wystarczająco do powstrzymania koronawirusa?

Oczywiście zawsze można powiedzieć, że czegoś zabrakło, coś zrobiono za wolno, niewystarczająco, że gdzieś brakuje sprzętu medycznego albo personelu.

Wiele osób dziś tak mówi, nie tylko politycy opozycji.

To prawda, każdego dnia musimy robić więcej i działać skuteczniej, ale uważam, że Polska zdaje ten trudny egzamin. Po sześciu dniach od pojawienia się wirusa za naszymi granicami ograniczyliśmy imprezy masowe, dwa dni później zamknęliśmy szkoły, a trzy dni później także granice. Po trzech tygodniach zdecydowaliśmy się na jeszcze bardziej rygorystyczne rozwiązanie, czyli zakaz wychodzenia z domów. Szybkość naszego działania była początkowo przyjmowana z niedowierzaniem, a nawet krytykowaną. Dzisiaj widać, że to jedyna odpowiedzialna droga zapewnienia obywatelom bezpieczeństwa. Nasi zachodni sąsiedzi,



FOT. JAKUB SZYMCIUK



■ Niemcy czy Francja, wprowadzili te same rozwiązania, ale niestety wówczas, gdy chorych było tam już dużo więcej. Musimy sobie jednak powiedzieć uczciwie – nie ma na świecie państwa, które byłoby przygotowane na pojawienie się pandemii koronawirusa. Jesteśmy na początku epidemii w Polsce. Ona zaczęła się u nas później, ale liczba chorych stale rośnie.

Czy w takim razie – widząc, co się dzieje – uważa pan, że wybory prezydenckie powinny się odbyć 10 maja?

Jeżeli wybory miałyby sprowadzać powszechne niebezpieczeństwo dla życia i zdrowia obywateli, to ich termin musiałby być odłożony o taki czas, aby to niebezpieczeństwo zniknęło, lub przeprowadzić trzeba by je w taki sposób, aby to niebezpieczeństwo maksymalnie zminimalizować.

Panie prezydencie, czy myśli pan już nad planem B, gdy wybory nie zostaną przeprowadzone w terminie? Wicepremier Jarosław Gowin sugerował, że należy je przesunąć o rok, opozycja z kolei nawołuje do wprowadzenia stanu wyjątkowego, co siłą rzeczy odroczyłoby termin przynajmniej na okres jesienno-zimowy, czyli do możliwego nawrotu pandemii.

Tak jak powiedziałem, jeżeli wybory miałyby być przesunięte, to powinny zostać przesunięte na taki czas, aby – jak podają eksperci – niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Pamiętajmy jednak, że są eksperci, którzy twierdzą, iż rok to za mało, bo niebezpieczeństwo zniknie dopiero wtedy, gdy szczepionka będzie powszechnie dostępna.

Pana do tej pory najgroźniejsza kontrkandydatka, marszałek Małgorzata Kidawa-Błońska,

Jeśli wprowadzenie stanu nadzwyczajnego będzie niezbędnym narzędziem, które może pomóc, to zostanie on wprowadzony

już poinformowała o zawieszeniu swojej kampanii i wezwała do bojkotu wyborów. Jak pan ocenia jej stanowisko?

Decyzje pani marszałek Kidawy-Błońskiej są przedmiotem tylu uwag i komentarzy, że proszę mnie zwolnić z obowiązku odpowiedzi na to pytanie.

Chciałbym w takim razie poprosić o odpowiedź na inne. Jak o kluczowych instytucjach demokracji świadczy wprowadzanie bez konsultacji poprawek

do Tarczy Antykryzysowej? Prawo i Sprawiedliwość wbrew sprzeciwowi całej opozycji wpisało do dokumentu gospodarczego m.in. rozszerzenie głosowania korespondencyjnego. Czy to uczciwe postępowanie?

Każda inicjatywa, która zmierza do umożliwienia udziału w głosowaniu jak największej liczbie obywateli, jest generalnie pozytywna. W końcu bez względu na to, czy panuje pandemia, czy nie, wszystkim nam zależy, żeby frekwencja w wyborach była jak najwyższa.

Słyszał pan o tych zmianach, zanim trafiły do Sejmu?

Tak, słyszałem o możliwych zmianach i poprawkach kodeksu wyborczego.

Nie miał pan wątpliwości od strony konstytucyjnej? Ustawa zasadnicza mówi bowiem, że nie można wprowadzać istotnych modyfikacji w procesie głosowania krócej niż pół roku przed wyborami.

Bez dwóch zdań należy się im przyrzec. O ile sama idea ułatwienia udziału w wyborach budzi moje uznanie, o tyle moim zdaniem to Trybunał Konstytucyjny w trybie następczym – tak, aby nie blokować Tarczy Antykryzysowej – powinien ocenić możliwość wprowadzenia zmian kodeksu w taki sposób.

Pytam o to, ponieważ już raz, jako minister w 2009 r., wraz z prezydentem Lechem Kaczyńskim, oproteutowywał pan w Trybunale projekt Platformy Obywatelskiej, który zakładał dwudniowe głosowanie w eurowyborach. Również wprowadzone wcześniej niż pół roku przed wyborami.

To prawda, prezydent Lech Kaczyński zgłosił takie uwagi, dlatego dzisiaj również chciałbym, aby ich konstytucyjność została

cji uchwalił specustawę koronawirusową oraz wprowadza takie ograniczenia w aktywności społecznej, aby walczyć z pandemią, nie paraliżując jednocześnie całego państwa i nie ograniczając bez potrzeby innych swobód obywatelskich. Rządzący, którzy dziś biorą pełną odpowiedzialność za stan kraju, zadają sobie tylko jedno pytanie: Co zrobić, aby uchronić Polaków przed najgorszym? Jeśli wprowadzenie stanu nadzwyczajnego będzie niezbędnym narzędziem, które może pomóc, to z pewnością zostanie on wprowadzony. Decyzja w tej sprawie należy do Rady Ministrów.

A czy pan, panie prezydencie, prowadzi w tej chwili kampanię? Kontrkandydaci podnoszą tę kwestię jako argument za tym, że wybory nie będą uczciwe. Oni nie mają takich możliwości, jakie ma głowa państwa.

Ograniczenia dotyczą nas wszystkich. Ja również znacznie ograniczyłem swoją kampanię, a przede wszystkim jej format. Od lat spotykałem się przecież nieustannie z Polakami, słucham, co ich niepokoi, wyciągam później z tych rozmów wnioski. Dzisiaj nie mogę tego robić, nie ma spotkań wyborczych, nie jeździ kampanijny dudabus, większość aktywności odbywam za pomocą łączeń internetowych. Oczywiście, wykonuję obowiązki wynikające z mandatu prezydenta. Tak było zawsze w historii. Urzędujący prezydent miał takie same prerogatywy i zawsze jego konkurenci narzekali, że to daje przewagę. Tyle że, jak pokazał rok 2015, ona sama z siebie nikomu nie gwarantuje zwycięstwa.

Panie prezydencie, wspominał pan o Internecie. Niedawno założył pan konto na portalu społecznościowym TikTok. Czym podyktowana była ta decyzja?

To pomysł, do którego przekonało mnie Ministerstwo Cyfryzacji. Chodziło o promocję portalu grantanna.pl, przygotowanego specjalnie dla dzieci i młodzieży, które siedzą teraz w domach, uczą się zdalnie i to również od ich odpowiedzialności zależy, jak szybko wygramy z epidemią w naszym kraju.

Wielu dziennikarzy oraz polityków opozycji zarzuciło panu, że forma aktywności na tym portalu społecznościowym – delikatnie mówiąc, swobodna i żartobliwa – nie przystoi prezydentowi. Zwłaszcza w chwilach tak dramatycznych jak obecna.

Nie zgadzam się. Powtórzę: istotą tej aktywności było zareklamowanie turnie-



Briefing prasowy prezydenta RP Andrzeja Dudy dotyczący funduszu medycznego. Na zdjęciu: z ministrem zdrowia Łukaszem Szumowskim

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

ju gier komputerowych „Garantanna”, który zachęci młodzież do pozostawiania w domach. Da jej jakąś rozrywkę, zaproponuje coś pozytywnego. TikTok to platforma wideo bardzo popularna wśród najmłodszych uczniów i dlatego została wykorzystana do komunikacji z nimi. To pomysł, jak w najprostszy sposób dotrzeć do jak największej grupy w tym wieku.

„Ze względu na uderzenie koronawirusa w gospodarkę światową, której jesteśmy częścią, spodziewamy się niestety wzrostu bezrobocia, bo 80 proc. naszego eksportu ukierunkowane jest na Zachód, gdzie nastąpiło zamrożenie gospodarek” – mówił podczas jednej z niedawnych konferencji prasowych premier Morawiecki. Czy obawia się pan realnego zatrzymania wzrostu PKB, fali zwolnień i stagnacji w polskiej gospodarce?

Wszyscy musimy się dzisiaj przygotować z jednej strony na wyrzeczenia, z drugiej konieczne będą solidarne działania i maksymalna mobilizacja w celu możliwie szybkiego „restartu” polskiej gospodarki. Dlatego tak istotne jest natychmiastowe wprowadzenie w życie Tarczy Antykrzysowej. Warto, by wszy-

scy politycy mieli świadomość, w jakiej niepewności żyją dziś miliony Polaków. Niektórzy właśnie tracą pracę, niektórzy obawiają się, że stracą ją niebawem. Inni, nawet jeśli ją mają, boją się znacznego spadku dochodów. To są dziś powszechne, codzienne troski ludzi.

Czy Tarcza odpowie na te zagrożenia? Wielu pracodawców mówi, że jest co najmniej dziurawa i nie będzie w stanie powstrzymać fali upadłości, która dopiero nas czeka.

Najważniejsze, że pakiet pomocy dla polskiej gospodarki powstał w najkrótszym możliwym czasie, że jest natychmiast wprowadzany w życie. I w miarę tego wprowadzania w życie będą wychodzić miejsca, które wymagają poprawy. Tarcza na bieżąco będzie modyfikowana.

Pamiętajmy jednak, że nie jesteśmy Stanami Zjednoczonymi, które na program pomocy przeznaczyły ponad 2 bln dol. Nasze 212 mld zł, czyli ok. 10 proc. całego PKB, to dla polskiej gospodarki ogromne pieniądze. W Tarczy znalazły się już zgłoszone przeze mnie poprawki – to m.in. te ułatwiające zwol-

nienia z ZUS-u, KRUS-u czy uproszczenie zbyt skomplikowanych procedur. Nadal będę w tym kierunku działać.

A co, jeśli okaże się niewystarczający? Bierze pan pod uwagę aktywne zadłużanie państwa?

Jak powiedział premier, deficyt budżetowy to nie jest Święty Graal. Chociaż wszyscy wiemy, jak bardzo był dumny z tego, że tegoroczny budżet był zrównoważony i prorozwojowy. To był wielki sukces. Dziś musimy patrzeć realistycznie na sytuację, która niestety zmieniła się diametralnie. Ale to właśnie dzięki odpowiedzialnej polityce rządu i samego premiera możemy pozwolić sobie teraz na największy w historii Polski pakiet antykrzysowy.

Wiele osób pyta w tych trudnych czasach, czy skala spowolnienia gospodarczego nie przełoży się na gwarantowane przez PiS świadczenia socjalne – zwłaszcza na program „500+” i 13. emeryturę. Czy pana zdaniem te benefity są obecnie zagrożone?

Rozmawiałem na ten temat wielokrotnie z premierem i uzyskałem zapewnienie, że 13. emerytura nie jest zagrożona, że nie ma planów ograniczenia świadczeń socjalnych, takich jak „500+”. ■



■ Na naszych oczach zmienia się nie tylko gospodarka, lecz także globalny układ sił. Czy Polska ma dzisiaj pana zdaniem jakąś szczególną rolę do odegrania? Czy może wyrosnąć na faktycznego lidera Europy Środkowo-Wschodniej, wykazując się np. solidarnością i wsparciem wobec partnerów z Trójmorza i Grupy V4?

Ta sytuacja wymaga nie tylko solidarności między ludźmi, lecz także solidarności międzynarodowej. Przykładem może być program „LOT do domu”, który umożliwił bezpieczny powrót kilkudziesięciu tysiącom Polaków. Pomogliśmy również obywatelom wielu innych krajów, m.in. Węgier, Czech, Litwy, Estonii, Słowenii. Po mojej rozmowie z prezydentem Słowenii Borutem Pahorem grupę Słoweńców ewakuował do Warszawy samolot LOT, skąd szczęśliwie wrócili do

są na pierwszej linii walki z pandemią. To Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania czy Polska muszą sobie jakoś radzić.

Panie prezydencie, zapytam w takim razie wprost: Czy nie obawia się pan, że podobne rozczarowanie przyczyni się do powolnego rozpadu Unii Europejskiej, gdy uporamy się już z koronawirusem? Premier Włoch w jednym z wywiadów zasugerował, że jego kraj rozpatrzy pójście w ślady Wielkiej Brytanii.

Nie wiemy dzisiaj, co będzie za miesiąc, a co dopiero za pół roku czy rok. W którym kierunku pójdą świat, Unia i poszczególne państwa. Wierzę jednak, że każdy będzie mógł już po wszystkim i na spokojnie podjąć racjonalną oraz suwerenną decyzję. Stanowisko Polski jest tutaj jasne – bez względu na to, czy Unia daje sobie dzisiaj radę, czy nie, jesteśmy jej częścią.

Stanowisko Polski jest jasne – bez względu na to, czy Unia Europejska daje sobie dzisiaj radę, czy nie, jesteśmy jej częścią

domów. Jestem w kontakcie z przywódcami państw inicjatywy Trójmorza.

Czy prowadzone są również rozmowy z szefami państw spoza naszego regionu?

Będę rozmawiał z prezydentem Korei Południowej Mun Jae-inem. Minister Szumowski prosił mnie o pomoc w uzyskaniu szybkich testów na wykrycie koronawirusa. Jestem po dobrej rozmowie z prezydentem Chin Xi Jinpingiem, którego efektem są ułatwienia w transporcie do Polski niezbędnego sprzętu medycznego oraz środków sanitarnych z Chin.

Jak na tym tle wygląda pana zdaniem wsparcie Unii Europejskiej? Premier stwierdził w Sejmie przy okazji dyskusji o Tarczy, że Polska nie otrzymała z Brukseli ani złotówki na walkę z koronawirusem, a dzisiaj walkę z chorobą prowadzą zwłaszcza państwa narodowe. Zgadza się pan z taką diagnozą?

Jeśli pyta mnie pan o słowa premiera Morawieckiego, to ma rację.

Przekierowano jednak miliardy euro z funduszy spójnościowych, rozpisano wspólne przetargi na sprzęt.

To prawda, ale my mówimy o nowych środkach, a nie o tych, które wcześniej zostały Polsce przyznane na inne cele. Dobrze, że Bruksela dzisiaj próbuje mierzyć się z kryzysem, ale spójrzmy prawdzie w oczy – to państwa narodowe

Polska, w kontekście swojego bezpieczeństwa, postawiła również wiele na kartę strategicznej współpracy z USA. Dzisiaj to jednak Ameryka stanowi największe ognisko choroby i wielu ekonomistów mówi wprost – kraj staje przed widmem recesji, która znacznie przerosła skalą kryzys roku 2008. Co, jeśli cięcia obejmą flankę wschodnią NATO? Już zawieszono ćwiczenia „Defender 20”.

Ćwiczenia wojsk NATO w Polsce zostały siłą rzeczy ograniczone, ale nie zawieszono ich całkowicie. Stany Zjednoczone to największa na świecie gospodarka, która podniesie się również po obecnych problemach. To także nasz kluczowy sojusznik i tutaj nic się nie zmienia. Mamy bardzo dobre relacje z Ameryką. Sukcesy ostatnich lat pokazały, że te relacje mają charakter długofalowy.

Czy zakup F-35, a mowa o miliardach złotych, jest dzisiaj w ogóle realny?

Szczegóły tych kontraktów zależą od MON. Należy podkreślić, że bezpieczeństwo jest ważne zawsze, a może przede wszystkim w czasach tak niespokojnych jak obecne. Dzisiaj priorytetem dla mnie i rządu jest walka z koronawirusem oraz gospodarczymi skutkami epidemii. Przyjdzie czas na ocenę wpływu pandemii na wydatki wojskowe.

Co ze współpracą energetyczną z USA? Ona również w przypadku globalnej recesji może ulec

spowolnieniu, a w ten sposób uniezależnił się od Rosji.

Polska konsekwentnie buduje swoją suwerenność energetyczną, a nasze działania na tym polu są odporne na dzisiejsze zaburzenia. Inwestycje i wszelkie działania w tym obszarze są pomyślane nie na lata, ale dekady. Poza tym łatwiej wyjść z kryzysu, gdy podstawy gospodarki są zdrowe, np. dzięki zdywersyfikowanemu źródłom energii. Dzięki temu Polska w chwili kryzysu jest bardziej odporna na wszelkie zawirowania. Staramy się być także oparciem dla swoich sąsiadów.

Panie prezydencie, przed nami inne trudne wydarzenie, które wiąże się z Rosją – 10. rocznica katastrofy smoleńskiej. Jak będzie ją pan przeżywać w momencie największej w historii naszego kraju społecznej izolacji?

W tych okolicznościach to będzie szczególnie trudny dzień. Chcieliśmy podczas oficjalnych uroczystości uczcić pamięć prezydenta Lecha Kaczyńskiego, jego małżonki Marii i wszystkich ofiar, z których wielu było moimi znajomymi i przyjaciółmi. Tymczasem ta rocznica będzie inna niż dotychczasowe. Będziemy musieli ją przeżyć w samotności.

Po dekadzie od tego feralnego kwietniowego poranka nadal nie jesteśmy jednak bliżej defini tywnego zamknięcia śledztwa smoleńskiego.

Dopóki w kraju nie będzie kluczowego dowodu, dopóki Rosja nie zwróci wraku tupolewa, dopóty nie zbliżymy się do zamknięcia śledztwa.

Jak spędzi pan te Święta Wielkanocne? Dla milionów Polaków będą one być może najsamotniejsze w ich życiu. A może – paradoksalnie – właśnie po tym okresie zaczniemy powoli stawiać na nogi?

Dla nas wszystkich ta Wielkanoc będzie inna. Zamiast rodzinnych spotkań będziemy się łączyć przez Internet. Składać sobie życzenia na Skypie, FaceTimie czy WhatsAppie. Nie sprawi to jednak, że mniej szczerze. Każdy z nas dzisiaj – kierując te słowa do polityków, do siebie samego i naszych rodaków – może wykorzystać ten czas na swoisty rachunek sumienia, osobistą refleksję.

Świat, w którym żyjemy, zmienia się bezpowrotnie, może właśnie dzięki takim doświadczeniom, już po wszystkim, zaczniemy bardziej doceniać prawdziwy kontakt z bliskimi. Może – paradoksalnie – odnowimy relacje z tymi, którzy są gdzieś daleko.

Potrzebujesz pomocy PZU? Chcesz opłacić składkę? Nie musisz wychodzić z domu!

**Informacje i pomoc można uzyskać
pod numerem infolinii 801 102 102
albo za pośrednictwem serwisu internetowego
moje.pzu.pl**

Nie ma nic ważniejszego niż zdrowie. Dlatego w okresie epidemii PZU zachęca klientów, by korzystali z jego usług na odległość – przez telefon i Internet.

W ten sposób mogą kupić lub wznowić ubezpieczenie, wystąpić o wypłatę odszkodowania, umówić się z lekarzem czy wezwać pomoc assistance. Co ważne, konsultanci PZU służą też pomocą i odpowiedzą, jak opłacić składkę bez konieczności wizyty w oddziale ubezpieczyciela czy banku.

BEZPIECZNIE I WYGODNIE

Według prognoz szczyt epidemii dopiero przed nami. Koronawirus jest szczególnie groźny dla osób starszych. Dlatego PZU stara się im i wszystkim klientom zapewnić możliwie wszechstronną pomoc na odległość.

– Zależy nam, by dotrzeć do nich z informacją, że większość spraw mogą załatwić z domu. Mogą skontaktować się z infolinią, zadzwonić do agenta PZU lub odwiedzić serwis moje.pzu.pl – mówi prezes PZU Życie Aleksandra Agatowska. – Dzięki temu unikną np. podróżowania komunikacją miejską i innych sytuacji, które mogłyby ich narażać na kontakt z zarażonymi osobami. Stawką jest zdrowie klientów i ich bezpieczeństwo – dodaje prezes PZU Beata Kozłowska-Chyła.

Pomocą klientom służy infolinia 801 102 102, gdzie mogą np. zgłosić szkodę, zawrzeć umowy ubezpieczenia albo je przedłużyć. W razie potrzeby

przekazania PZU dokumentów mogą je dostarczać, wysyłając pod adres: kontakt@pzu.pl. Ubezpieczyciel zachęca też klientów do kontaktu za pośrednictwem serwisu internetowego i aplikacji mobilnej mojePZU oraz formularza na stronie pzu.pl. Pomocą, telefonicznie i online, służy ponadto 5600 agentów PZU w całej Polsce. Kontakt do nich można znaleźć pod internetowym adresem: agentpzu.pl.

JAK OPŁAĆĆ SKŁADKĘ

Bez wychodzenia z domu można również opłacić składkę ubezpieczenia. – Najprostszą metodą jest przelew internetowy. Osoby starsze, które mogą mieć problem w korzystaniu z bankowości internetowej, zachęcamy do skorzystania z pomocy rodziny i bliskich. Dodatkowo pomocą służą też nasi konsultanci pod numerem telefonu 801 102 102 – mówi Dyrektor Zarządzający ds. Strategii Produktowej PZU Krzysztof Szypuła.

Jak zapewnia, dyżurujący pod numerem infolinii konsultanci pomogą znaleźć optymalne rozwiązanie i klienci nie mają powodu do niepokoju, że stracą ubezpieczeniową ochronę. – Sytuacja jest wyjątkowa i wymaga wyjątkowych działań. Robimy, co w naszej mocy, by w trudnym okresie zapewnić klientom wszechstronną pomoc i poczucie bezpieczeństwa – podkreśla prezes Agatowska.

Piotr Bugajski

Gdzie i jaką pomoc można uzyskać

infolinia 801 102 102

- pomoc w opłaceniu ubezpieczenia bez wychodzenia z domu
- zawieranie i przedłużanie umów z PZU
- zgłoszenie szkody i roszczenia
- wezwanie assistance

serwis i aplikacja mojePZU.pl

- umówienie wizyty lekarskiej, stacjonarnej bądź telemedycznej
- sprawdzenie wysokości składki oraz numeru konta do wpłat
- zakup polis, m.in. PZU Auto i PZU Dom
- zgłoszenie szkody i roszczenia oraz sprawdzenie ich statusu
- inwestycje

www.pzu.pl

- zgłoszenie szkody i roszczenia – adres: zgloszenie.pzu.pl
- wezwanie pomocy assistance – pomoc.pzu.pl
- zamówienie wizyty lekarskiej, w tym telekonsultacji

telefonicznie i mailowo za pośrednictwem agentów PZU

- zakup i wznowienie ubezpieczenia
- informacje o ofercie
- informacje o zgłaszaniu szkód i innych kwestiach związanych z obsługą ubezpieczonych

Kontakt do agentów: agentpzu.pl

SMS wysłany pod numer 4102

- zgłoszenie szkody i uzyskanie informacji o zgłoszonej szkodzie (treść: „Szkoda”)
- uzyskanie pomocy na drodze, w domu lub w firmie (treść: „Pomoc”)

infolinia PZU Zdrowie 801 405 905

- umówienie wizyty lekarskiej, stacjonarnej bądź telemedycznej
- wystawianie recept i zwolnień lekarskich w czasie telekonsultacji

inPZU.pl

- zakup jednostki udziału w funduszach pasywnych inPZU
- kontrolowanie rachunku PPK

Więcej informacji: pzu.pl/zdalnie



Piotr Semka

Skoro koronawirus zmienił tak wiele na tyłu polach, to nic dziwnego, że zmienia też układ sił w polskiej polityce

Po stronie opozycji – dominacja Platformy Obywatelskiej jako lidera „antykacyzmu” wali się na naszych oczach. Po stronie partii rządzącej – Jarosław Kaczyński staje wobec problemu terminu wyborów i coraz bardziej samodzielnej polityki Porozumienia Jarosława Gowina, która w PiS wywołuje oskarżenia o nielojalność. Jak wyglądają oba procesy i jak zmienić mogą układ sił po obu stronach politycznej barykady?

PLATFORMA BEZ LIDERA

Najbardziej znanym zjawiskiem jest psychiczne załamanie się Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Już od paru tygodni jej publiczne wystąpienia były katastrofą – kandydatka Koalicji Obywatelskiej co rusz się myliła i nie potrafiła odpowiadać na bardziej skomplikowane pytania w wywiadach medialnych. Jednak deklaracja z niedzieli 29 marca o wycofaniu się z kampanii była już krzykiem rozpaczy. Krok ten był z punktu widzenia politycznej taktyki dziwny, gdyż tylko wspólna deklaracja przynajmniej trzech najważniejszych kandydatów opozycji miałaby jakieś polityczne znaczenie. Nie jest jasne, czy ten krok był konsultowany z liderem partii Borysem Budką. Jeśli tak, to decyzja ta mogła być wyrazem chęci przykrycia sejmowej kompromitacji KO w czasie głosowań nad Tarczą Antykryzysową, kiedy to opozycja dała się rozegrać Jarosławowi Kaczyńskiemu. Jeśli jednak odejście Kidawy-Błońskiej z kampanii nie było konsultowane z Budką, to wystawia to jeszcze gorsze świadectwo jego kontroli nad sytuacją. Tak czy inaczej można już stwierdzić, że leadership Budki nic Platformie nie dał.

Co więcej, o kondycji tej partii świadczy to, że nie posiada nawet kandydata na zastępstwo, jeśli nie liczyć prowadzącego nieczytelną listą politykę Donalda Tuska. W tej sytuacji zadeklarowany właśnie powrót Kidawy-Błońskiej do kampanii nie ma już specjalnie dużego znaczenia.

Skoro PO chwije się na glinianych nogach, to PSL i lewica ruszają do walki



Wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego Włodzisław Woźniak (z lewej) i wicepremier Jarosław Gowin FOT. ARTUR SZCZEPAŃSKI/REPORTER

Nowy podział tortu

o nowy podział opozycyjnego tortu. Kpiny Włodzisława Kosiniaka-Kamysza z nie-dawnej koalicjantki pokazują, jak wiele się tu zmieniło. Żaden z kandydatów nie przyłączył się też do hasła bojkotu wyborów 10 maja. W peletonie następują dalsze przetasowania. Małgorzata Kidawa-Błońska według ostatnich sondaży ma już tylko 14 proc., a Włodzisław Kosiniak-Kamysz – 10 proc. Szymon Hołownia, który odnalazł się w roli agresywnego, wrzeszczącego przeciwnika Kaczyńskiego, zabiera elektora leniwemu Biedroniowi, ale traci na rzecz Kosiniaka-Kamysza.

Jednak cała opozycja na razie robi wszystko, by kupić czas i wybory odsunąć jak najdalej. I jak zawsze najlepiej odnajduje się w akcji negatywnej, w straszeniu Polaków „wyborami śmierci” i naciskach na samorządy, by odmawiały organizowania elekcji. Wraca to, co opozycja lubi najbardziej – histeryczny ton i hejt przeciw prezydentowi. Borys Budka głosi, że kto zorganizuje wybory, ten „będzie miał krew na rękach”. Mentor Hołowni, Michał Kobosko, ogłasza, że w orędziu marszałek Elżbiety Witek „nie było ani jednego zdania prawdy”. Równie agresywnie kpiono z prezydenta Dudy za występ w aplikacji TikTok, choć próbe

dotarcia do młodych z przestrogią na temat pandemii w innym przypadku uznawano by za mądry pomysł.

Jednak opozycja oprócz powrotu do radykalnego języka poczuła się silna, wy-czuwając strach Polaków przed eskalacją zarazy i tym samym obawy przed wyborami 10 maja.

Szybko wskrzeszono tradycyjne strasz-dło medialne, czyli Jarosława Kaczyńskiego jako oderwanego od rzeczywistości dyktatora PiS, który gardzi bezpieczeństwem ludzi. Te klisze ochoczo podchwyciła część publicystów i mediów.

GOWIN W POPRZEK

„Rzeczy niemożliwe robimy od ręki, cuda zajmują nam nieco czasu” – ta dewiza pasowała przez ostatnich pięć lat do polityki PiS, który wychodził z wielu ciężkich kryzysów dzięki determinacji jej lidera.

Tak PiS przeprowadził reformę sądów i wyszedł w sumie cało ze sporu z Komisją Europejską. W podobny sposób Kaczyński chciał podejść do wyborów 10 maja. Założył, że do Wielkanocy szczyt pandemii minie, i przy zapewnieniu bezpiecznych wyborów drogą korespondencyjną dla seniorów elekcja będzie mogła się odbyć. Tyle że z czasem pojawiły się wątpliwości,



czy zaraza osłabnie w okolicach świąt, a opozycja swoją frustrację ograniczeniem w Sejmie odebrała mobilizacją kontrolowanych przez siebie samorządów do deklaracji odmowy udziału w organizacji wyborów.

Kaczyński nie docenił też, że po trzech tygodniach koronawirusowego szoku ludzie skłonni są raczej do obaw niż do wspólnotowego działania i zorganizowania wyborów w nadzwyczajnych warunkach. Jednak dopiero w tym kontekście można zrozumieć, jakim problemem dla prezesa PiS stały się kolejne demonstracyjne deklaracje Jarosława Gowina. Pierwsza z nich ogłaszała, że wybory powinny być przełożone o rok. Taki scenariusz wymagałby zmiany konstytucji, a to skazywałoby PiS na długie negocjacje z opozycją, która nie omieszczałaby wykorzystać swojej pozycji przetargowej do upokarzania rządzącej partii. Zmiana konstytucji wymagałaby 307 głosów, czyli więcej niż ma PiS i PSL – najmniej zajadły przeciwnik obecnego rządu. A Lewica i KO w zamian za zgodę mogłyby żądać wiele. Oznaczałoby to trwające długo negocjacje, w których opozycja by się nie spieszyła. Dla niej, przynajmniej do momentu, kiedy wykreuje własnych silnych kandydatów, taki stan zawieszenia byłby czymś bardzo wygodnym.

Jako pierwszy problem Kaczyńskiemu sprawił niedysydyszy doradca Gowina, obecnie wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego Wojciech Maksymowicz. O ile minister zdrowia Łukasz Szumowski w sposób dający PiS pole manewru zaznaczał, że o tym, czy pandemia zacznie słabnąć, będzie można wiarygodnie orzec dopiero po świętach, o tyle Maksymowicz ogłosił już w piątek 28 marca: „Nie będzie możliwości, aby wybory prezydenckie odbyły się 10 maja”. I powtórzył linię Gowina: „Myślę o wyborach za rok”. Swoje trzy grosze tego samego dnia dorzuciła minister Jadwiga Emilewicz, mówiąc: „Wiele osób mówi, że to może okazać się bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe”.

Gdy PiS zapowiedział ustawę umożliwiającą głosowanie korespondencyjne dla wszystkich, we wtorek 31 marca poseł Kamil Bortniczuk z Porozumienia w czasie wywiadu dla „Faktów po Faktach” TVN24 mówił: „Nasi sojusznicy ze Zjednoczonej Prawicy usłyszeli, że takim absolutnym warunkiem poparcia tego typu daleko idących zmian w Kodeksie wyborczym jest uzyskanie konsensusu całej sceny politycznej w Polsce. To jest nasz warunek.

Jeżeli będzie powszechna zgoda, to nasza zgoda również będzie. Jeżeli nie będzie powszechnej zgody, to my nie zagłosujemy”.

Ta wypowiedź wskazuje już na duży dystans Porozumienia wobec PiS w trakcie obecnego kryzysu. Uzależnienie swojej decyzji od porozumienia z obozem opozycji, który jest akurat w fazie ostrej kampanii przeciw PiS, odbiera Kaczyńskiemu inicjatywę i pośrednio skazuje go na łaskę opozycji.

Gowin tak jest przekonany do swej koncepcji wyborów za rok, że odrzuca ideę wyborów 10 maja w trybie korespondencyjnym, bez lokali wyborczych. Tak jak wybory przeprowadzono niedawno w Bawarii. Można dyskutować, jak logistycznie podołać takiemu wyzwaniu, ale to już zupełnie inna, o wiele bezpieczniejsza forma elekcji niż narażanie ludzi na groźbę zarażenia się w lokalach wyborczych.

Sam Gowin jest zresztą w kwestii wymogów czasu zarazy niekonsekwentny. Z jednej strony faktycznie odrzuca wybory 10 maja, z drugiej – wzywa do oswojenia się z myślą o rychłej „drugiej fazie”, w której Polacy muszą masowo wrócić do pracy, aby nie doprowadzić do załamania ekonomicznego kraju.

Na atmosferę narastającej nieufności między PiS oraz ziołbrystami a grupą Gowina ma pewien wpływ także coraz ostrzejszy wobec Kaczyńskiego styl publicystyki Piotra Trudnowskiego, lidera Klubu Jagiellońskiego, który w coraz ostrzejszym tonie potępia politykę PiS. W rządzącej partii padają pytania, w jakim stopniu Klub Jagielloński głosi to, czego Porozumienie nie chce na razie mówić na głos.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji opozycja mówi o Gowinie w ciepłym tonie. Do stworzenia koalicji z KO zachęcał go już w październiku zeszłego roku Radosław Sikorski, sugerując, że w razie stworzenia koalicji z PO mógłby otrzymać funkcję premiera. Władysław Kosiniak-Kamysz chwali „mocne” i „rozsądne” stanowisko Jarosława Gowina, sprzeciwiającego się głosowaniu korespondencyjnemu dla wszystkich. A poseł Krzysztof Mieszkowski wprost apeluje: „Przed politykami i rządem PiS duże wyzwanie. Odsunięcie Kaczyńskiego od władzy, zanim będzie za późno. Człowiek kierujący się zemstą i odwetem nie może decydować o losach polskiego społeczeństwa. Zróbcie to. Odwagi”.

KACZYŃSKI KONTRA PIŚ

Apel Mieszkowskiego pokazuje, jak silnie opozycja uwierzyła w stworzony

przez wiele mediów wizerunek „tracącego kontakt z rzeczywistością starca, który ciągnie PiS na dno”. Jeden z publicystów pisze: „O przerażeniu polityką Prezesa mówią wszyscy politycy PiS, z jakimi rozmawiałem”.

Problem w tym, że najchętniej w takim stylu wypowiadają się politycy z Porozumienia. Jednak nie mniej liczni są ci, którzy nie otwierają swej duszy przed dziennikarzami Onetu czy Polityki Insight. A ci potrafią zrozumieć raczej Kaczyńskiego i niełatwe dylematy, które musi rozstrzygać. Wybory 10 maja są dla PiS trudne z racji nastrojów społecznych – według ostatniego sondażu Social Changes 56 proc. respondentów jest zdecydowanie „przeciw” i „raczej przeciw” udziałowi w wyborach przy 35 proc. zdecydowanych „za” i „raczej za” pójściem do urn 10 maja. Ale to była reakcja na wizję odwiedzania komisji wyborczych. Głosowanie korespondencyjne może budzić znacznie mniejsze opory.

Jednakże przesunięcie wyborów o rok to kolejne 12 miesięcy agresywnej kampanii wyborczej. Teraz politycy opozycji chętnie mówią o takim pomysle, ale kiedy tylko wejdzie on w życie, natychmiast zaczną odmawiać legitymacji Andrzejowi Dudzie, gdy w sierpniu zakończy się jego formalna kadencja. A na zarzut, że PiS przełoży wybory, bo akurat poparcie prezydentowi Dudzie wzrosło, odpowiadają – idąc tym tropem myślenia – „opozycja nie chce wyborów, bo Kidawa-Błońska okazała się katastrofą”.

Jeśli liczba zachorowań i ofiar znacząco spadnie do Wielkanocy, to Kaczyński może myśleć o powrocie do idei wyborów 10 maja. Jeśli sytuacja znacząco się nie polepszy, to być może przychyli ucha głosom zachęcającym do wyborów w sierpniu. Na razie PiS skupiać się będzie na jak najlepszym organizacyjnym przygotowaniu się na ewentualne wybory korespondencyjne 10 maja. A sam Gowin pod koniec zeszłego tygodnia wysłał sygnały chęci załagodzenia konfliktu z PiS.

Prezes PiS na pewno zapamięta Gowinowi postawienie go teraz pod ścianą. Polisa ubezpieczeniową dla Gowina jest to, że bez jego 18 posłów PiS nie będzie miał większości w Sejmie. Pytanie, w jakim kierunku będzie ewoluował lider Porozumienia. Na pewno będzie to pilnie obserwować zarówno opozycja, jak i obóz rządowy. Każdy z nich z innych powodów.



JACEK PRZYBYLSKI: Trybunał Arbitrażowy w Sztokholmie orzekł na korzyść PGNiG w sprawie z Gazpromem, dzięki czemu polska spółka odzyska ponad 6 mld zł. Ten wyrok oznacza kres rosyjskich gazowych szantaży? I czy w czasach globalnego kryzysu wywołanego koronawirusem nadal realny jest plan uniezależnienia Polski od rosyjskiego gazu?

JACEK SASIN: Informacja o stanowisku trybunału to jedna z lepszych wiadomości, jakie do nas ostatnio dotarły. Oby w tym trudnym czasie więcej takich docierało. Oczywiście, że plan uniezależnienia się od rosyjskiego gazu jest realny. I niezwykle konsekwentnie zmierzamy w tym kierunku. Wyrok Trybunału Arbitrażowego w Sztokholmie jest elementem dochodzenia do normalnych relacji, jeśli chodzi o import do Polski paliwa gazowego. Aby uniezależnić się od rosyjskiego szantażu gazowego, poczyniliśmy w ostatnich latach ogromne inwestycje infrastrukturalne. Dzięki nim gaz do Polski może trafiać również z innych źródeł niż tylko rosyjskie. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie strategiczna decyzja prezydenta Lecha Kaczyńskiego o budowie gazoportu w Świnoujściu. I chociaż nasi poprzednicy z koalicji PO-PSL realizowali tę inwestycję dosyć ospale, udało się ją już w dużej mierze zrealizować. Mamy dwa zbiorniki gazowe, a już planujemy rozszerzenie tej inwestycji o kolejny zbiornik. To będzie ważny element, umożliwiający sprowadzanie do Polski surowca z całego świata, z krajów Bliskiego Wschodu czy ze Stanów Zjednoczonych.

Dodatkowo bezpieczeństwo dostaw gazu zwiększy też budowany przez nas gazociąg Baltic Pipe, który pozwoli nam korzystać z gazu norweskiego. Jeśli do tego wszystkiego dołożymy jeszcze nasze krajowe wydobywanie, to wszystko wskazuje na to, że po roku 2022, gdy wygaśnie zawarty jeszcze przez poprzedni rząd kontrakt jamalski, Polska będzie w stanie obyć się zupełnie bez rosyjskiego gazu.

Chce pan powiedzieć, że po 2022 r. już nigdy nie kupimy gazu od Rosji?

Nawet jeśli mielibyśmy podpisać jakiś nowy kontrakt z Rosjanami, to będziemy zabezpieczeni przed szantażem – nie tylko cenowym, lecz także politycznym – który zawsze pojawiał się podczas negocjacji kolejnych umów z Gazpromem. Przez ostatnie 20 lat zdarzało się to wielokrotnie. Podobnie jak to, że rosyjski partner wielokrotnie i to w sposób

FOT. ALEKSANDRA SZMIGIEL/REPORTER



**Z Jackiem Sasinem, wicepremierem,
ministrem aktywów państwowych**
rozmawia Jacek Przybylski

Koniec z rosyjskim szantażem gazowym

zupełnie nieuzasadniony nagle zmniejszał ilość gazu dostarczonego do Polski. Jednym słowem – nie jest to wiarygodny partner.

Nasi poprzednicy z PO-PSL, którzy negocjowali obowiązujący obecnie kontrakt, byli bardzo mało asertywni w rozmowach z Rosjanami, przez co zawarli niezwykle niekorzystną umowę po bardzo wysokich cenach. Wyrok Trybunału Arbitrażowego w Sztokholmie stanowi najlepsze potwierdzenie tego, że Rosjanie, wykorzystując swoją pozycję monopolisty, narzucili nam zawyżone ceny, przez co Polska jest jednym z krajów, który za gaz płaci bodaj najwięcej w Unii Europejskiej.

To, że znajdujemy rozwiązania pozwalające na sprowadzanie gazu z innych źródeł, jest więc kwestią nie tylko bezpieczeństwa energetycznego, lecz także bezpieczeństwa ekonomicznego, czyli możliwości kupowania gazu po cenach rynkowych, a nie po cenach jednostronnie narzucanych przez dostawcę. Te 6 mld zł,

które po wyroku trybunału ma otrzymać PGNiG, pokazuje skalę tego, jak bardzo przepłacamy teraz za otrzymywany gaz, i skalę łupienia Polski i Polaków. Otrzymane pieniądze chcemy więc spożytkować na przyspieszenie inwestycji umożliwiających dywersyfikację dostaw.

PGNiG ma powody do radości, ale wiele sektorów polskiej gospodarki znalazło się nagle w dramatycznej sytuacji. Niektórych uratuje rządowa tarcza, ale wielu nie otrzyma żadnej pomocy. Czy polski rząd, wzorem np. władz amerykańskich, przewiduje wypłatę wszystkim Polakom np. jednorazowego 1000+?

Mam wątpliwości, czy rozdanie wszystkim Polakom po 1000 zł rzeczywiście byłoby dobrym sposobem na wydawanie publicznych pieniędzy. Nie wpłynęłoby to bowiem na to, czy polskie firmy rzeczywiście dałyby radę przetrwać i wrócić do normalnej działalności, gdy epidemia już minie.

W rządowym pakiecie, który został już podpisany przez prezydenta,

zawarliśmy wiele rozwiązań wychodzących naprzeciw oczekiwaniom małych, średnich przedsiębiorców oraz mikroprzedsiębiorców. Są to różnego rodzaju ulgi, ale też możliwość niepłacenia przez trzy miesiące składek emerytalnych. Jest wśród tych rozwiązań również pożyczka 5 tys. zł z możliwością jej umorzenia. Wprowadziliśmy więc mechanizm gotówkowego wsparcia przedsiębiorców, i to w pięciokrotnie wyższym wymiarze niż wspomniane przez pana 1000 zł.

Ani Polska, ani żaden inny kraj – nawet tak bogaty jak Stany Zjednoczone – nie są jednak w stanie sprawić, aby przedsiębiorcy w wyniku tego kryzysu nie ponieśli żadnych strat. Próbuje ratować istnienie firm i ratować miejsca pracy. Stąd tak wielki nacisk położyliśmy na zatrzymywanie pracowników i zaproponowaliśmy dopłaty do pensji w wysokości 40 proc. Chcemy, aby firmy zachowały pracowników na moment, gdy gospodarka znów ruszy do góry. ■

REKLAMA

Cal Newport dokonuje analizy problemu rosnącego uzależnienia ludzi od mediów cyfrowych. Formuluje pogląd o celowej manipulacji ze strony internetowych gigantów, wpisujących w swoje algorytmy dążenie do uzależnienia użytkowników. Z tej analizy wyprowadza wniosek o celowości popularyzowania cyfrowego minimalizmu. Nie idzie o całkowitą rezygnację z nowych technologii, a ograniczenie ich użytkowania.



**WYDAWNICTWO
Studio
Emka**

studioemka.com.pl
tel. 22 628 08 38
f StudioEMKA



David Bach po mistrzowsku tłumaczy skomplikowany świat finansów. „Efekt latte” to opowieść o młodej redaktorze z Brooklinu. Zoey nie radzi sobie z pieniędzmi i własnym życiem. Na szczęście spotyka ludzi, których praktyczne, mądre rady odmieniają jej los. „Efekt latte” jest swoistą mapą drogową do spełnionego życia. Książka sprzedała się jak dotychczas w nakładzie ponad jednego miliona egz.



Mówi się wiele o małych firmach. A co z dużymi spółkami Skarbu Państwa? Czy nie ma ryzyka, że niedługo to państwo będzie musiało ratować np. LOT, PKP, Poczta Polska?

Pracujemy już nad wsparciem dla dużych firm. Będą to m.in. instrumenty płynnościowe i gwarancje finansowe. Chcemy również dać im instrumenty do bardziej elastycznego działania, chociażby w zakresie bardziej elastycznego kształtowania wymiaru czasu pracy.

Te firmy, które znajdują się w szczególnie trudnej sytuacji, np. Polskie Linie Lotnicze LOT, przez najbliższych kilka miesięcy będą wymagać szczególnej uwagi. Pomoc może być potrzebna również w innych branżach gospodarki. Nie mam wątpliwości, że wsparcia rządu będzie wymagało wiele spółek.

Będą wśród nich kopalnie i spółki energetyczne?

Obserwujemy mniejsze zapotrzebowanie na energię i spadek ten, ze względu na kryzys gospodarczy, może utrzymywać się również po zakończeniu pandemii. Za tym idzie niższe zapotrzebowanie na węgiel, przez co kryzys w górnictwie będzie bardzo głęboki. W najbliższym czasie chcemy więc przedstawić propozycję planu ratunkowego dla górnictwa, aby ta branża mogła nadal zapewniać Polsce bezpieczeństwo energetyczne.

Przewidujemy też pomoc dla branży energetycznej, a zwłaszcza pilne wprowadzenie instrumentów ułatwiających pozyskiwanie kapitału. Energetyka wymaga bowiem dużych inwestycji.

Pomoc publiczna jest trudna ze względu na regulacje unijne. Ale Unia Europejska też dostrzega konieczność niestandardowych działań i myślę, że taka pomoc będzie oficjalnie dopuszczona. Wiele krajów UE już zapowiedziało zresztą pomoc publiczną dla swych linii lotniczych, które bez takiej pomocy po prostu nie dałyby rady przetrwać. Podobna pomoc może być też konieczna dla kolei czy innych spółek, które cierpią z powodu wprowadzonych ograniczeń w poruszaniu się.

Wspomniał pan o pozyskiwaniu kapitału. Czy w czasach, gdy koronawirus przyhamował np. akcję kredytową, polskim przedsiębiorcom łatwiej będzie uzyskać kredyt w zrepolonizowanych bankach?

Tak. To, że dużo większa część sektora bankowego znajduje się obecnie w polskich rękach, daje o wiele większą ela-

Chcemy dać firmom instrumenty do elastycznego działania, chociażby w zakresie bardziej elastycznego kształtowania wymiaru czasu pracy

styczność w planowaniu przedsięwzięć wspierających polską przedsiębiorczość.

Pandemia jednoznacznie udowodniła, że kapitał ma narodowość. Wystarczy spojrzeć, z jakim zaangażowaniem spółki Skarbu Państwa włączyły się w pomoc w walce z epidemią. Poza 100 mln zł przekazanymi w gotówce na zakupy niezbędnego sprzętu medycznego, które spółki te przekazały, prowadzą one również wiele innych działań. To choćby wsparcie infolinii medycznej czy inspekcji sanitarniej. W kryzysie spółki pokazują społeczną odpowiedzialność. Identyfikują się z polskim państwem i z obywatelami, jako ich własnymi klientami. Orlen nie tylko produkuje płyn dezynfekujący, lecz także obniża ceny paliw. Sektor bankowy również wiele robi. To wszystko pokazuje, że bez tych spółek byłoby o wiele trudniej.

Czy to oznacza, że po opanowaniu epidemii repolonizacja strategicznych sektorów jeszcze przyspieszy?

To będzie zależało od możliwości, jakie będą na rynku. Kryzys sprawił bowiem, że niektóre plany biznesowe będą musiały zostać zrewidowane.

Chcemy jednak kontynuować repolonizację, szczególnie w sektorze bankowym. Polskie instytucje finansowe nadal prowadzą rozmowy dotyczące warunków odkupienia mBanku od niemieckiego Commerzbanku. Nie porzucamy tego planu. Wchodząc w tak trudny okres dla gospodarki, trudno jednak określić, jakie jeszcze przedsięwzięcia będziemy realizować.

Czy kryzys oddali plany budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego?

Nie sądzę. CPK to epokowa inwestycja, która może bardzo pomóc w wychodzeniu z kryzysu. Może dać Polsce potężny impuls inwestycyjny. Proszę pamiętać, że w ramach projektu Centralnego Portu Komunikacyjnego zakładamy nie tylko budowę olbrzymiego lotniska. To gigan-

tyczna inwestycja infrastrukturalna obliczona na stworzenie nowoczesnej sieci komunikacyjnej w skali całego kraju. Nie jest zagrożona. Absolutnie nie chcemy z CPK rezygnować. Jeśli tylko sytuacja finansowa Polski na to pozwoli, będziemy ten projekt realizować. Zwłaszcza że w dużej mierze byłby on realizowany z pieniędzy dużych prywatnych inwestorów. A tacy inwestorzy są. Zrobimy wszystko, by CPK mógł być zrealizowany w planowanym wcześniej wymiarze.

Rząd wprowadza kolejne ograniczenia, m.in. w poruszaniu i w sposobach robienia zakupów. Wicepremier Gowin mówi, że złagodzenie obostrzeń po Wielkanocy jest wątpliwe, a ekonomiści stwierdzają wprost: pierwsza od 1989 r. recesja już się w Polsce zaczęła. Jak wysokiego bezrobocia spodziewa się polski rząd?

Na szczęście w Polsce tuż przed wybuchem pandemii mieliśmy do czynienia z niedoborem rąk do pracy, który niwelowali cudzoziemcy. Teraz jednak priorytetem muszą być miejsca pracy dla naszych obywateli.

Dlatego już teraz podejmujemy wiele działań zmierzających do ograniczenia fali zwolnień zarówno w sektorze publicznym, jak i w sektorze prywatnym. Mam więc nadzieję, że choć eksperci szacują, iż bezrobocie może sięgnąć nawet 10 proc., to w rzeczywistości ta skala nie będzie tak duża. Mamy również nadzieję, że gdy już minie zagrożenie epidemiologiczne, szybko uda się uzyskać efekt szybkiego odbicia gospodarczego. Dlatego tak ważne jest, by w tym krytycznym okresie przetrwało jak najwięcej firm i by ochronić jak najwięcej miejsc pracy. Chodzi o to, by tuż po zakończeniu pandemii firmy mogły znów ruszyć pełną parą.

Czy będzie to możliwe, zależy od wielu czynników. W tym od sytuacji w innych krajach czy od postaw Polaków, np. od zachowań konsumpcyjnych. Zmiennych jest wiele. Nie chcę dziś rysować scenariuszy ani zbyt optymistycznych, ani zbyt pesymistycznych. Wiem natomiast, że trzeba zrobić wszystko, by przejść przez ten kryzys jak najszybciej. Dlatego już teraz pracuje powołany przez premiera gospodarczy sztab kryzysowy, którego jestem członkiem. Nie czekamy z założonymi rękami i uruchamiamy wszelkie możliwe narzędzia. Mam nadzieję, że nie będzie tak źle, jak obawiają się pesymiści.



Maj 2015 r., wieczór wyborczy sztabu Pawła Kukiza. Popularny rockowy muzyk, kandydat popierany głównie przez młodych ludzi, ma powody do zadowolenia. Startując w prezydenckich wyborach bez zorganizowanych struktur, bez poparcia partii politycznych, bez medialnego zaplecza, często też przez media wyśmiewany i bagatelizowany, okazał się jednym z najpoważniejszych kandydatów do prezydenckiego fotela. Na scenę wchodzi w towarzystwie żony i córek. – Potrafisz Polsko. Polska jest nasza. To jest wasz wynik. To idziemy my. Już wygraliśmy, bez pieniędzy, bez struktur, popychani i pogardzani – mówi, nie skrywając radości, Paweł Kukiz.

Ostatecznie zdobywając ponad 3 mln głosów, zajął trzecie miejsce wśród 11 kandydatów. W dodatku, jak pokazały późniejsze analizy, zdobył też największe ze wszystkich poparcie wśród uczniów i studentów – czyli tej części elektoratu, która dopiero wchodząc w dorosłe życie, może stanowić poważny potencjał wyborczy na przyszłość.

– To były czasy, kiedy Paweł był jeszcze bardzo otwartym człowiekiem. Miałem pełną swobodę działania, a cała kampania była oparta na emocjach, stąd niezwykle emocjonalny Kukiz był jej mocnym elementem. Można powiedzieć, że to była tylko powłoka dla niego – wspomina Miłosz Łodowski, w 2015 r. prowadzący internetową kampanię rockowego muzyka. – To był kandydat kontrkulturowy, więc ludzie wybaczały mu drobne wpadki. Poważne problemy zaczęły się dopiero jesienią, podczas kampanii parlamentarnej, i to one koniec końców przyczyniły się do jego upadku – dodaje nasz rozmówca.

Dwa tygodnie po pierwszej turze wyborów prezydenckich to właśnie Kukiz i jego ludzie – już nieoficjalnie – pomogli wygrać wybory prezydenckie Andrzejowi Dudzie, zachęcając wyborców, by nie zostali w domach, ale mimo wszystkich zastrzeżeń poparli rywalizującego z Bronisławem Komorowskim kandydata PiS. Wówczas Kukiz zapowiadał się na polityka, który będzie się liczył na polskiej scenie: miał ciekawe postulaty, poczynawszy od zmiany konstytucji do wprowadzenia jednomandatowych okręgów wyborczych. Miał też już pewne polityczne osiągnięcia, pracował jako radny, zjechał całą Polskę, tworząc podwaliny społecznego ruchu, który już później nazwie Ruchem Pawła Kukiza.

– Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że współpraca z Pawłem zawsze była skomplikowana. Jako artysta był specyficzny. Ciężko było planować coś na dłuższy czas, z reguły to były działania ad hoc. Jednego nie można mu było wtedy odmówić. Na pewno olbrzymiej charyzmy i swobody mówienia bezpośrednio do ludzi. To w mojej opinii było autentyczne i szczerze – wspomina w rozmowie z „Do Rzeczy” Patryk Hałaczkiwicz, działacz Ruchu Obywatelskiego na rzecz Jednomandatowych Okręgów Wyborczych, wówczas szef sztabu Pawła Kukiza.

krytykowaną przez dotychczasowych wyborców koalicję z PSL: Koalicję Polską, i do Sejmu startuje z list partii, którą przez lata nazywał „mafią i zorganizowaną grupą przestępczą”, zdobywając 23 tys. głosów i sejmowy mandat. Dzisiaj z dawnych współpracowników nie ma już przy nim prawie nikogo, stracił też sporą część swoich niedawnych wyborców, a jego wpisy w mediach społecznościowych wywołały taką falę krytyki internautów, że w końcu skasował konto. Nie walczy już z partiokracją, ale zapowiada, że założy własną partię. Pytany przez „Do Rzeczy”, jak znajduje się obecnie na scenie politycznej, ucina krótko:

Czy Kukiz jeszcze zagra



Wojciech Wybranowski

W nadchodzących wyborach zabraknie kandydata, który w 2015 r. był jedną z największych gwiazd kampanii. Wydawało się, że odegra znaczną rolę w polskiej polityce. Czy Paweł Kukiz roztrwonił to bezpowrotnie?

Charyzma i naturalność, pchają Pawła Kukiza do kolejnych sukcesów. Zakłada komitet wyborczy wyborców Kukiz'15, co według jego słów ma oznaczać „koniec układu korupcji i złodziejstwa”. Tu już zaczynają się poważne problemy, konflikty w jego otoczeniu, spór z Januszem Korwin-Mikkem i odejście wspierających go dotąd środowisk Ruchu Narodowego. Mimo to w jesiennych wyborach parlamentarnych z okręgu podwarszawskiego zdobywa 76,6 tys. głosów, a jego komitet 8,8 proc. poparcia i 42 sejmowe mandaty. Później jednak jest już tylko gorzej. Traci posłów i współpracowników, rozsypuje się jego klub poselski, on sam ostatecznie z garstką ludzi w 2019 r. zawiera mocno

– W obecnych czasach znacznie łatwiej odnaleźć się na scenie politycznej, bo muzyczne pozamykali.

WZLOTY I UPADKI

Początki parlamentarnej kariery Pawła Kukiza są jednak obiecujące. Staje się liczącą polityczną siłą. O współpracy z nim chcą rozmawiać zarówno PiS, jak i Porozumienie Jarosława Gowina tworzące wspólnie obóz Zjednoczonej Prawicy, Polskie Stronnictwo Ludowe i Platforma Obywatelska. Sam Kukiz ma głowę pełną planów, myśli o wspólnej z PiS zmianie konstytucji, zapowiada działania na rzecz wprowadzenia JOW. – Ustrój RP daje partii rządzącej władzę absolutną. Gdy partia



otrzymuje większość parlamentarną, może robić, co jej się żywnie podoba. Tak jak w czasach PZPR zawłaszcza wszystkie obszary: ustawodawczy, wykonawczy i sędziowski – mówił Kukiz w 2017 r. w rozmowie z „Do Rzeczy”.

Miał też pomysł spektakularnej akcji „Stop imigrantom” – zbiórki podpisów pod projektem obywatelskiego projektu referendum w sprawie przyjęcia uchodźców do Polski. Podpisy zebrano, ale ustawa nigdy nie trafiła do Sejmu.

Niestety, Paweł ma jedną cechę, która doprowadziła go do obecnej sytuacji. Bardzo często jest lustrem swojego ostatniego rozmówcy. To było widać po wyborach prezydenckich w 2015 r., gdzie nowi „doradcy” popchnęli go w stronę radykalizmu i narodowców, pozbawiając się działaczy Ruchu JOW i Bezpartyjnych Samorządowców – ocenia Patryk Hałaczekiewicz. I dodaje: – To też przekonanie o własnej nieomyślności doprowadziło go do tego, że zamiast dużego ruchu społecznego, na co byliśmy umówieni, Paweł stworzył, jak ja to nazwałem, RPSS, czyli Ruch Poparcia Samego Siebie, z którego przez lata odeszli wszyscy wartościowi ludzie.

EMOCJE I KONFLIKTY

Podstawowym problemem Pawła jest emocjonalność. Ona generowała wiele konfliktów. To świetny człowiek, zakochany w Polsce, ale wydaje mu się, że ma na nią jedynie słuszną receptę. I wybucha, kiedy ktoś ma inne zdanie – dodaje inny z niedawnych współpracowników Kukiza.

Konfliktów w Kukiz’15 nie brakowało. Pierwszy poważniejszy wybuch wokół jednego z jego najbliższych współpracowników – Dariusza Pitasia, którego część działaczy jego ruchu uważała za skompromitowanego ze względu na jego problemy z prawem w przeszłości.

Kukiz szybko wszedł w konflikt również z narodowcami, którzy systematycznie wykruszali się z jego klubu. Odeszli też z gronem swoich współpracowników Kornel Morawiecki, wreszcie Marek Jakubiak, uważany za gospodarcze ramię ruchu Kukiza. A pośia Piotra Liroya-Marca po konflikcie z Kukizem wykluczono z klubu. Do końca kadencji z klubu Kukiz’15 odeszli niemal wszyscy medialnie znani parlamentarzyści.

Politycznie Kukiz zaczął poruszać się od ściany do ściany. W ważnych dla PS sprawach klub muzyka głosował tak jak Prawo i Sprawiedliwość (np. w sprawie małej ustawy medialnej, ustawy o sys-



Ostatnim politycznym ruchem Pawła Kukiza było zawiązanie koalicji z PSL i wsparcie Władysława Kosiniaka-Kamysza jako kandydata na prezydenta

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

temie oświaty czy ustawy o prawie bankowym), a jednocześnie sam Kukiz w mediach krytykował PiS, co nie budziło zaufania do niego w gronie współpracowników Kaczyńskiego. – Paweł miał taką wizję, że musi być w kontrze do PiS, bo w ten sposób zagospodaruje część elektoratu antysystemowego i będzie atrakcyjnym partnerem dla partii Kaczyńskiego, ale jednocześnie w klubie PiS rosla nieufność do Kukiza – mówi jeden z jego dawnych współpracowników.

Parlamentarna aktywność lidera Kukiz’15 pokazała, że to, czego ludzie się po nim spodziewali, czyli zorganizowania, próby budowy nowego stronnictwa, przekracza jego możliwości i kompetencje. Współpracownicy i sympatycy Kukiza boleśnie zdążyli się z własnym wyobrażeniem jego osoby i było to bolesne zderzenie – ocenia Miłosz Lodowski.

Lider Kukiz’15 wielokrotnie spotykał się na nieoficjalnych rozmowach i towarzyskich naradach z Jarosławem Kaczyńskim. Bywał często też nieformalnym gościem w pałacu prezydenckim, gdzie w dobrej atmosferze rozmawiał z prezydentem Andrzejem Dudą. Jeszcze w 2018 r. w otoczeniu muzyka panowało przekonanie, że Kukiz jest praktycznie dogadany z obozem „dobrej zmiany” i nie wystartuje w wyborach prezydenckich, poprze Dudę, a w zamian za to PiS „pomocze” mu w wyborach do europarlamentu i parlamentu, dzięki czemu jego

ugrupowanie stanie się częścią koalicji i będzie dla nich ważną rządową teka.

– Dzisiaj mogę mówić: „Andrzej Duda to mój prezydent” – ogłaszał Kukiz w rozmowie z Radiem RMF FM w 2018 r. Ostatecznie jednak z politycznych planów współpracy z PiS nic nie wyszło. „Możemy nawet czuć do siebie sympatię, ale skoro Jarosław Kaczyński nie czuje potrzeby demokratyzacji państwa, to dla mnie rozmowa polityczna jest skończona” – powiedział Kukiz tygodnikowi „Wprost” w czerwcu 2019 r., po spotkaniu z liderem PiS. „Zawiodłem się na prezydencie. Wcześniej byłem u niego dość częstym gościem, ale co najmniej od roku przestałem mieć z nim jakikolwiek kontakt. To strata czasu” – twierdził.

W wyborach do PE w 2019 r. Kukiz odrzucił pomysł współpracy z Polską Fair Play Roberta Gwiżdowskiego i skończył wybory z poparciem na poziomie 3,7 proc. To był już koniec jego klubu. Próbował jeszcze porozumieć się co do wspólnego startu z PiS, ale przestał być potrzebny, bo poparcie dla niego zanikało. Jeden ze współpracowników Kukiza z poprzedniej kadencji mówi nam, że rozmowy z Kaczyńskim były nawet zaakceptowane, ale propozycja „miejsce dla muzyka i ośmiu jego ludzi na listach, bez żadnych warunków ze strony Kukiza” nie została przez lidera Kukiz’15 zaakceptowana.

– Na wielki mur niechęci trafiałem w tamtej kadencji ze strony tzw. zakonu PiS. Oni są niereformowalni, traktowali



mnie jak wroga od samego początku i ta opcja w dużej mierze przyczyniła się do takiego kształtu sceny politycznej, jaki mamy obecnie – mówi „Do Rzeczy” Paweł Kukiz.

SOJUSZ Z PSL

W sierpniu 2019 r. Kukiz ogłosił, że on sam i niedobitki jego klubu wejdą w sojusz z Polskim Stronnictwem Ludowym, tworząc Koalicję Polską. Wraz z grupą posłów znalazł się na listach wyborczych ugrupowania, o którym wcześniej mówił tak: „Widziałem zachowania PSL – nie powiem tego publicznie, nie będę zgłaszał tych spraw do prokuratury – ale byłem świadkiem sytuacji takich, gdzie ewidentnie można powiedzieć, że to jest zorganizowana grupa przestępcza”. – Skoro nikogo nie zatrzymano, nikt nie siedzi, to znaczy, że się bardzo mocno myliłem w tej ocenie. Jeszcze raz przepraszam – mówił potem.

Sojusz z ludowcami przez wielu sympatyków Kukiza został odebrany jako zdrada ideałów i haseł, szczególnie „walki z partiokracją”, którymi muzyk w swojej politycznej karierze szermował. Dzisiaj on sam deklaruje się jako gorący zwolennik szefa PSL. – O wspólnym starcie z PSL w ogromnej mierze zdecydowała właśnie

postać Władka Kosiniaka-Kamysza. Jestem przekonany, że gdyby szefem PSL był człowiek o mentalności, powiedzmy – nie chce ich skłócać wewnętrznie – starszego partyjnego kolegi Władka, to ja bym pewnie żadnej umowy nie podpisał – mówi nam Kukiz.

Lider Polskiego Stronnictwa Ludowego też sobie bardzo współpracę z Kukizem chwali. – Ujmując w nim jest to, że jest wierny swoim ideałom. Mógł się porozumieć z PiS, mieć pewne miejsce w Sejmie, a wybrał trudną drogę wspólnie ze mną i to jest dla mnie godne pochwały i podziwu – mówi Kosiniak-Kamysz. – Dzięki współpracy z Pawłem mogę też zmieniać swoje środowisko polityczne, mieć zupełnie nową refleksję nad nowymi kwestiami. To pokazuje, że można zbudować coś między PO a PiS.

Część propozycji Kukiza (m.in. pakiet obywatelski) została przyjęta przez Koalicję Polską do zapisów statutowych. Mieszana ordynacja wyborcza, za którą opowiada się Kukiz, znalazła się w programie wyborczym Władysława Kosiniaka-Kamysza. A jak lider ludowców radzi sobie z niepokornym, wybuchowym charakterem Kukiza? – Mamy

swoje emocje, to prawda, ale one się często uzupełniają. Mamy różne charaktery z Pawłem i może nam się dzięki temu łatwiej porozumieć – twierdzi szef PSL.

– Kosiniak-Kamysz jest stonowany, bardzo praktyczny, a u mnie działają za bardzo emocje, czemu wielokrotnie dałem wyraz, a on to świetnie równoważy. Ja natomiast swoją emocjonalnością ten jego spokój koloruję – uważa z kolei Paweł Kukiz.

Czy koalicja z PSL jest już ostatecznym przystankiem w karierze rockowego muzyka? Niekoniecznie. Nadal jego nazwisko stanowi pewien kapitał na scenie politycznej. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że polityk wciąż utrzymuje dobre relacje z Jarosławem Gowinem, rozmawia też z częścią Konfederacji. Czy to może oznaczać, że wróci jeszcze do wielkiej politycznej gry?

– Przegrana jest nie tylko jego karta, lecz także cała idea „kandydata z zewnątrz”. Trudno będzie przekonać ludzi, widać to po postaci Hołowni, do projektów, które sprawiają wrażenie pewnej oddolności i spontaniczności. Po Kukizie potencjalni kandydaci społeczni nie mają już takiego potencjału zaufania – ocenia Miłosz Łodowski, współautor dawnych sukcesów Kukiza. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

GAJOS SEWERYN
NIERADKIEWICZ MAŁĘCZUK STENKA STRAMOWSKI

SOLID GOLD

PRZESZŁOŚĆ CZYHA ZA ROGIEM

SOLID GOLD

FILM TWÓRCY „ZABIJ MNIE GLINO”

JUŻ NA DVD





Pod koniec lutego ks. abp Henryk Hoser, emerytowany biskup diecezji warszawsko-praskiej, został uhonorowany Nagrodą im. bp. Andrzejewskiego za rok 2019. Ta kościelna nagroda jest przyznawana osobom zasłużonym dla polskiej wsi. Jej przyznanie abp. Hoserowi to dobra okazja, by przypomnieć sylwetkę jednego z najciekawszych, zarówno intelektualnie, jak i pod względem biograficznym, hierarchów polskiego Kościoła.

– Nie ukrywam, że wiadomość o mianowaniu mnie do tej nagrody przyjąłem ze zdumieniem. Nie jestem profesjonalnym rolnikiem ani ogrodnikiem. Z zawodu jestem lekarzem, z powołania kapłanem. Po zastanowieniu dostrzegam jednak pewne cechy promujące do decyzji Kapituły – zauważył abp Hoser podczas gali w siedzibie Konferencji Episkopatu, gdzie wręczono nagrody.

I rzeczywiście, wielu z nas postrzega abp. Henryka Hosera jako biskupa misjonarza, który do Warszawy przyjechał z Rwandy. Jeśli się zagłębić w losy jego rodziny i jego osobiste losy, to zobaczymy, że mamy do czynienia z warszawianinem z krwi i kości, a co do usytuowania społecznego – z przedstawicielem prawdziwego warszawskiego mieszczaństwa.

Jakie zatem „cechy promujące do decyzji Kapituły” mógł mieć na myśli ksiądz arcybiskup w swojej mowie? Spróbuję się temu przyjrzeć. Zacznę jednak od pewnego osobistego wspomnienia. Przez kilka lat przyjaźniliśmy się razem z żoną z rodziną Hoserów mieszkających w pruszkowskim Żbikowie. Wiedzieliśmy, że są jakoś spokrewnieni z warszawsko-praskim ordynariuszem. Nigdy z tego jednak nie wyciągnąłem żadnych ciekawych wniosków dotyczących losów rodziny. Nie zastanawiałem się, dlaczego nasi przyjaciele żyją w niepraktycznej XIX-wiecznej willi w stylu szwajcarskim i utrzymują się z prowadzenia szkółki drzew i roślin ozdobnych. O stylu szwajcarskim przeczytałem zupełnie niedawno w książce „Bóg jest większy”, w której znany prawnik, a w przeszłości też wiceminister sprawiedliwości Michał Królikowski, przepytował abp. Hosera o biografię, losy rodzinne, a także o stanowisko Kościoła w sprawach bioetycznych. Dodam na marginesie, że zgadzam się zupełnie z rekomendacją, którą napisał na okładkę książki redaktor „Gościa Niedzielnego” Bogumił Łoziński: „Momentami miałem wrażenie, że czytam kardynała Ratzingera. Arcybiskup Hoser



Ogrodnik duszy



Tomasz Rowiński

Rodowity warszawiak, wywodzący się z rodziny słynnych ogrodników, jest jednym z najciekawszych ludzi polskiego Kościoła



FOT. GRAŻYNA WSKAŹKOWSKA

Prawdopodobnie wynikało to z tego, że był do swojej funkcji bardzo dobrze przygotowany, zarówno jako lekarz z wykształcenia, jak i etyk. Swoje kwalifikacje pokazał we wspomnianej już książce „Bóg jest większy” (jej tytuł wziął się od biskupiego zawołania Henryka Hosera), gdzie przekonująco i wyczerpująco uzasadniał moralną niezgodę Kościoła np. w sprawie zapłodnienia in vitro. Ze znacznym rozeznanie odpowiadał też arcybiskup Michałowi Królikowskiemu w sprawie ideologii gender.

ATAK KŁAMSTWEM

W tym samym roku, w którym ukażała się książka rozmowa z arcybiskupem, w mediach pisano nieprawdziwe teksty na temat arcybiskupa. Najbardziej wierutną z tych nieprawd było przypisywanie pallotyńskiemu misjonarzowi przez Aleksandrę Pawlicką na łamach „Newsweeka” współodpowiedzialności za rwandyjskie ludobójstwo. Opinię tę wspierał znany reportażysta związany z „Gazetą Wyborczą” Wojciech Tochman. Przed oskarżeniem o pomówienie chronił się on, zastrzegając, że słyszał, iż tak się mówi w Rwandzie. Tymczasem rzeź miała miejsce w tym kraju w lipcu roku 1994, a Hoser opuścił Rwandę we wrześniu 1993 r. Nie przeszkodziło to „Newsweekowi” podpisać zdjęcia arcybiskupa słowami: „Arcybiskup Henryk Hoser w czasie ludobójstwa był w Rwandzie nuncjuszem apostolskim”. Sugestia polegała na tym, że miał wpływ na obsadę kościelnych stanowisk i że swoją polityką wzmocnił międzyplemienny konflikt. Arcybiskup Hoser jednak nigdy nie był w Rwandzie nuncjuszem, nie był w czasie konfliktu nawet biskupem.

Jedna z opinii pochodząca z czasu medialnego ataku na abp. Henryka Hosera mówi, że oprócz przedmiotu pracy arcybiskupa, czyli kwestii etycznych, złość powodowała rozczarowanie nim w kręgach liberalnych. Ponoć liczone, że ten obyty w świecie lekarz i misjonarz, znający nie tylko Afrykę, lecz także kraje Europy Zachodniej, stanie na czele „postępowego” skrzydła w naszym episkopacie. Nadzieje te jednak – jeśli faktycznie takie były – można porównać do analogicznych oczekiwań pewnej części liberalnej inteligencji, że kard. Ratzinger zrewolucjonizuje Kościół, „ponieważ jest intelektualistą”.

BRACIA W WARSZAWIE

W rodzie Hoserów – jak mówił arcybiskup Michałowi Królikowskiemu –

mu – prawdopodobnie nigdy wcześniej żadnego księdza nie było. Hoserowie pojawili się w Polsce w latach 40. XIX w. i przybyli z Czech – ze wsi Szwojka pod Czeską Lipą. Wcześniej losy tej ubogiej rodziny prowadzą dalej w głąb Niemiec do Augsburga. Jej polskie dzieje zaczyna się, gdy trzej bracia – Piotr, Wincenty i Paweł – przybywają do Warszawy.

Piotr Hoser (1818–1904) zajmował się w latach 30. ogrodnictwem, najpierw w dobach Kinsky’ego w Burgstein, a potem w Pradze, aż wreszcie w Wiedniu u znomomego znawcy i zbieracza roślin Karola Hügela. Jak czytamy w „Polskim słowniku biograficznym”, u Hügela spotkał się on w roku 1844 z Brujewiczem, który ściągnął go do Polski. Rajcy warszawscy potrzebowali kogoś, kto mógłby być odpowiedzialny za rekultywację ogrodu Saskiego, przeciągającą się jeszcze od powstania listopadowego. W ten sposób Piotr od roku 1846 do roku 1853 pełnił funkcję głównego ogrodnika ogrodu Saskiego. Z jego inicjatywy powstały szklarnie i rozwijana była hodowla kwiatów, co znacznie podnosiło dochody Hoserów.

W roku 1848 Piotr sprowadził do Polski swojego brata Pawła, rok później drugiego z braci – Wincentego. Tak zaczął się nowy etap w życiu rodziny Hoserów, czyli przedsiębiorstwo Zakład Ogrodniczy „Bracia Hoser”. Paweł był administratorem w firmie, Wincenty zaś rozwijał szkółkę drzew owocowych, których różne odmiany przeszczepił do polskiej kultury rolniczej. Klucz do nagrody dla arcybiskupa jest już właściwie jasny.

„Firma funkcjonowała do II wojny światowej. Zakład wrastał coraz bardziej w życie Warszawy, szybko stając się jednym z charakterystycznych obiektów stolicy. [...] W okresie międzywojennym stał się jedną z największych firm ogrodnich w Polsce. Nie można zapomnieć o wątku międzynarodowym, czyli uczestnictwie w wystawie światowej w 1925 roku w Paryżu [...]. Wspomnieniem czasów świetności jest ocalała po wojnie piękna, secesyjna kamienica przy Alejach Jerozolimskich 51. Pośród zdobień do dziś możemy znaleźć symbolikę nawiązującą do tradycji rodziny. Niektóre z nich sięgają do tematyki florystycznej, choćby kartusz z owocami i konewką czy zdobione metalowymi kwiatami poręcze” – czytamy we wprowadzeniu do pierwszego rozdziału książki „Bóg jest większy”. Fragment ten dotyczy już jednak kolejnego pokolenia, ponieważ

potwierdził w książce, że jest wybitnym intelektualistą, o wielkim doświadczeniu Kościoła, który niewątpliwie kocha”.

Przyznam, że zupełnie nie skojarzyłem ani swoich znajomych, ani księdza arcybiskupa z ogrodnikiem Hoserem, o którym Bolesław Prus wspominał w „Lalce”, że „dostarcza kwiatów”. A w tym właśnie rodzinnym skojarzeniu znajduje się klucz, który pozwolił kapitule Nagrody im. bp. Andrzejewskiego wręczyć rodowitemu warszawiakowi nagrodę skierowaną do ludzi zasłużonych dla wsi. Można bowiem śmiało powiedzieć, że dzieje rodu Hoserów są nie mniej interesujące niż osobista biografia abp. Henryka Franciszka. Zanim do tych losów jednak przejdę, w pełni wyjaśniając ów klucz do nagrody, powinniśmy przypomnieć, że sam książdz arcybiskup był jedną z mężniejszych postaci polskiego episkopatu w czasach swojego aktywnego uczestnictwa w jego pracach.

MĘSTWO I ATAKI

Męstwa wymagała funkcja, którą pełnił, a był przecież przewodniczącym Zespołu Ekspertów ds. Bioetycznych, czyli wysuniętej placówki Kościoła bezpośredniego narażonej na starcia z liberalną opinią. Za swoje jednoznaczne stanowisko w sprawie nauczania moralnego Kościoła właściwie od początku swoich prac spotykał się ostrymi i bezpardonowymi atakami.



■ Piotr i Wincenty Hoserowie – o których możemy przeczytać w „Polskim słowniku biograficznym” – odeszli z tego świata w pierwszej dekadzie XX w. Słownik wspomina jeszcze Piotra Hosera, jednego z dziewięciorga dzieci Piotra, zmarłego na początku roku 1939, ogrodnika.

Powiedzieć, że był to po prostu ogrodnik, to jednak powiedzieć niewiele, ponieważ mamy tu do czynienia z naukowcem, badaczem i akademikiem (związany z SGGW), specjalizującym się w dziedzinie dendrologii. Od 1896 r. przejął on kierownictwo nad przedsiębiorstwem Hoserów i rozwinął szkołę drzew owocowych i ozdobnych w Żbikowie. Piotr Hoser umarł właśnie w tej posiadłości, która przetrwała wojnę oraz komunizm i do dziś jest prowadzona przez naszych znajomych.

To moment dla naszej opowieści zasadniczy, w roku 1942 bowiem urodził się syn Janusza Hosera, ostatniego prezesa przedsiębiorstwa „Bracia Hoser” – Henryk Franciszek. Wojna zniszczyła przedsiębiorstwo, ojciec dzisiejszego arcybiskupa zginął podczas powstania

Śląsk do nowicjatu, by zostać kapłanem” – wspomina abp Hoser.

Moment powołania przyszedł palotyński misjonarz wspomina bardzo prosto. Ta myśl uderzyła go gwałtownie, ale od razu ją odrzucił, mówiąc sobie, że do tego trzeba mieć powołanie, a on go przecież nie ma. Jednak ostatecznie związał się ze zgromadzeniem św. Wincentego Pallottiego, którego seminarium znajduje się niedaleko Żbikowa – w Ołtarzewie. Księża stamtąd przyjeżdżali często do tej dzisiejszej dzielnicy Pruszkowa, aby odprawiać msze w domu sióstr westiarek. Stąd ich znał. Pierwszy impuls, aby zaangażować się w misję, przyszedł już w seminarium od przełożonych, którzy polecieli swojemu lekarzowi-klerykowi reaktywować studenckie kółko misyjne. W końcu misje były i są ważną częścią charyzmatu apostolskiego pallotynów. Potem już była osobista decyzja po spotkaniu z bp. Jeanem Baptiste'em Gahamanyim, który na początku lat 70. w imieniu Konferencji Episkopatu Rwandy szukał w Europie misjonarzy. Już następnego

później pierwszym superiorem nowo utworzonej regii, obejmującej Rwandę, Zair i Belgię (1988–1991). Był także przewodniczącym Konferencji Wyższych Przełożonych Zakonnych w Rwandzie. Po rwandyjskim ludobójstwie został administratorem apostolskim i wizytował diecezje, mianował administratorów apostolskich, pomagał biskupom i duchowieństwu organizować na nowo pracę duszpasterską.

BÓG JEST WIĘKSZY NIŻ KRYZYSY

Gdy wrócił do Europy, służył swojemu zgromadzeniu we Francji, jako przełożony Regii Miłosierdzia Bożego. Sakrę biskupią otrzymał w roku 2005 od Jana Pawła II, który powołał ks. Henryka Hosera na funkcję sekretarza pomocniczego w Kongregacji ds. Ewangelizacji Narodów oraz przewodniczącego Papieskich Dzieł Misyjnych. Swoje biskupie zawołanie „Deus est Maior” wyjaśniał w taki sposób: „Bóg jest większy niż kryzysy naszej ludzkiej tożsamości, większy niż nasza słabość również wtedy, gdy my wątpimy w samych siebie. Bóg jest większy niż zło i Zły”.

O czasach, gdy pełnił zadania biskupa warszawsko-praskiego, już nieco powiedzieliśmy, poza tym ta misja abp. Henryka Hosera jest znana najlepiej i po prostu wciąż pamiętana. Od lipca 2018 r. 77-letni dziś arcybiskup pełni swoją ostatnią posługę, której nie został wyznaczony żaden przewidywalny koniec. Jest teraz wizytatorem apostolskim o charakterze specjalnym dla parafii w Medjugorje, na czas nieokreślony i ad nutum Sanctae Sedis.

Medjugorje to specjalny teren z nieuznanymi (przynajmniej na razie) objawieniami maryjnymi i jednocześnie milionami pielgrzymów, którzy odnajdują tu nawrócenie i Boga poprzez proste środki zalecane przez Kościół – sakramenty, modlitwę w ciszy, post.

Posługujący w Medjugorje franciszkanie nie zawsze radzili sobie w tym miejscu zarówno z duszpasterstwem, jak i pilnowaniem dyscypliny w sprawach wiary czy moralności. Te wszystkie okoliczności sprawiają, że Kościół nie może porzucić Medjugorje, nawet jeśli autentyczność objawień zostałaby ostatecznie podważona. Tę delikatną misję stróża i ogrodnika nieco dzikiego duchowego ogrodu otrzymał syn ogrodników ze Żbikowa, misjonarz z Rwandy i biskup z Warszawy, jeden z najciekawszych ludzi współczesnego polskiego Kościoła.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Na misjach spędził 21 lat, co podsumowywał słowami: „Nigdy nie żałowałem, że zostałem lekarzem, i nigdy nie miałem wątpliwości co do mojego powołania kapłańskiego i do życia konsekrowanego”

warszawskiego, rozstrzelany w fabryce Franaszka, znajdującej się tuż za ówczesnym szpitalem zakaźnym na warszawskiej Woli.

POWOŁANIE I MISJA

Po wojnie przez kilka lat matka z synem tułali się po Polsce, by w końcu znaleźć schronienie właśnie w Żbikowie, gdzie mieszkał wtedy, pod koniec lat 40., kolejny z Piotrów, stryj Henryka Franciszka. „Posiadłość w Żbikowie stała się moim domem na dziesięć lat. Po tym czasie mama uzyskała czterdziestometrowe mieszkanie na Rakowcu, gdzie spędziłem kolejne dziesięć lat. Tam też mieszkałem, gdy skończyłem szkołę im. Tomasza Zana w Pruszkowie, którą zacząłem jeszcze w Żbikowie. Następnie dostałem się na Akademię Medyczną w Warszawie, gdzie pracowałem także po uzyskaniu dyplomu aż do roku 1968, kiedy to w dniu inwazji na Czechosłowację wyjechałem na Dolny

dnia Henryk Hoser SAC wyraził zgodę na podjęcie misji. Pallotyni trafili do Rwandy właśnie wtedy i choć byli przygotowani do tego „niezbyt skutecznie”, stali się jednym z najbardziej dynamicznie rozwijających się zgromadzeń tego kraju. Opiekowali się sanktuariami, prowadzili własne wydawnictwo, do ich sukcesów można zaliczyć m.in. pierwsze święcenia przyjęte przez Afrykańczyka już w roku 1985, czyli zaledwie 12 lat po rozpoczęciu misji.

Ksiądz Hoser na misjach spędził 21 lat, co podsumowywał słowami: „Nigdy nie żałowałem, że zostałem lekarzem, i nigdy nie miałem wątpliwości co do mojego powołania kapłańskiego i do życia konsekrowanego”. Choć przyznaje, że „obydwie te dziedziny są »zachłanne« i »zazdrośne«, domagają się wyłączności i nie sposób im się oddawać we wzajemnej separacji”. W 1981 r. ks. Hoser został przełożonym Delegatury Misyjnej Księża Pallotynów w Rwandzie, a siedem lat

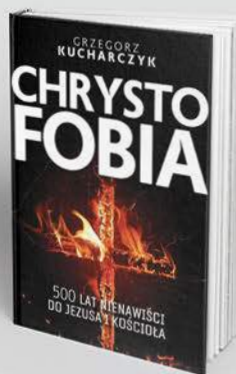
PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY** TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

GRZEGORZ KUCHARCZYK
„CHRYSTOFobia.
500 LAT NIENAWIŚCI
DO JEZUSA I KOŚCIOŁA”

~~347~~ zł



139,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
208 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



Agnieszka Niewińska

W Aleppo życie wciąż jest bardzo ciężkie, a chrześcijanom najtrudniej jest o wsparcie organizacji pomocowych. Rękę wyciągnęły do nich polskie rodziny. W ramach programu „Rodzina Rodzinie” przekazały już 54 mln zł

Yola Ashij z syryjskiego Aleppo, matka 7-letniej Maritt, 11-letniego Jacka i 16-letniego Adela, już tak bardzo się nie boi, kiedy dzieci idą do szkoły. – Wcześniej za każdym razem, kiedy słyszałam wybuch, dzwoniłam do szkoły z pytaniem, czy wszystko w porządku. Pewnego dnia bomba spadła tuż przed szkołą, całe szczęście nie eksplodowała. Teraz jest bezpiecznie, ostrzał słychać z daleka, ale tylko Bóg wie, przez co przeszliśmy w czasie oblężenia – wspomina. Jej dzieci nie znają innego życia. – Kiedy się boją, chcą spać przy nas w nocy – mówi Yola.

MASZYNA NA WAGĘ ZŁOTA

Chociaż w Aleppo działania wojenne ustały, a miasto powoli się odradza, rodzinie nie jest łatwo wrócić do normalności. Najstarszy syn cierpi na porażenie mózgowie i potrzebuje wiele uwagi. Ojciec rodziny, Bashir, jest tokarzem. Często brakuje prądu i nie może uruchamiać maszyn, w dodatku wiele z nich spłonęło, gdy doszło do pożaru w warsztacie.

O pracę w Aleppo jest bardzo trudno. Bezrobocie przekracza 50 proc. Aż 80 proc. Syryjczyków żyje w biedzie, za mniej niż 2 dol. dziennie. Yoli i Bashirowi udaje się związać koniec z końcem dzięki wsparciu, które otrzymują z parafii. Należą w Syrii do mniejszości, są chrześcijanami z Kościoła greckokatolickiego. To m.in. do tej parafii docierają fundusze zbierane przez Caritas Polska w ramach programu „Rodzina Rodzinie”. Yola i Bashir co miesiąc otrzymują pieniądze, za które mogą zapłacić za ogrzewanie, żywność, leki czy ubrania.

Z takiego wsparcia korzystają też 65-letnia Marine i 72-letni Jean. Przez większość życia mieszkali w zabytkowej części Aleppo, w tradycyjnym arabskim domu. – Byliśmy pewni, że doczekamy



Tylko Bóg wie, przez co przeszliśmy

tam spokojnej starości – wspomina Marine. – To było w 2012 r. Niedziela, kilka dni po święcie Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, 19 sierpnia. Usłyszeliśmy hałasy na ulicy. Sąsiedzi mówili, że to uzbrojone bojówki wkroczyły do naszej dzielnicy. Radzili, by jak najszybciej uciec. Mąż nie chciał opuszczać domu, ale nie było innego wyjścia.

Do swojej dzielnicy mogli wrócić dopiero po czterech latach. Okazało się, że ich dom jest kompletnie zniszczony. Zniknęły meble, pamiątki rodzinne, wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Dzisiaj wynajmują niewielkie mieszkanie. Gdyby nie pomoc z programu „Rodzina Rodzinie”, trudno byłoby im przetrwać, zwłaszcza że Jean choruje.

Marine stara się nawet o najmniejszy dochód. Z programu „Rodzina Rodzinie”

otrzymała maszynę do szycia, która pozwala trochę zarobić. – Każdego dnia dziękuję Bogu za dobroczyńców, którzy udzielają nam pomocy. Modłę się za nich, proszę dla nich o zdrowie i pomyślność – mówi Marine.

TRZY LATA, PONAD 54 MLN ZŁ

Program Caritas Polska „Rodzina Rodzinie” działa od ponad trzech lat. W tym czasie wsparciem objętych zostało 9 tys. rodzin. W pomoc włączyło się 22 tys. darczyńców, którzy łącznie przekazali syryjskim rodzinom kwotę ponad 54 mln zł.

– To największy program humanitarny w historii Polski – mówi Maciej Dubicki z Caritas Polska. Zwraca uwagę, że to, co angażuje darczyńców w pomaganiu, to to, że deklarują systematyczną pomoc konkretnej rodzinie. Po wybraniu



Elias i Silvana mieszkają w Aleppo wraz z czworgiem dzieci. Gdyby nie wsparcie w programie „Rodzina Rodzinie” straciliby dach nad głową

FOT. CARITAS

rodzaju wsparcia na stronie darczyńca programu otrzymuje o niej krótką informację. Kwota miesięcznego wsparcia dla jednej rodziny to 180 zł. Można zadeklarować wpłatę od 50 zł i wtedy na pomoc składa się kilka osób. – Darczyńcy organizują się także w ramach zbiorów wielkopostnych. W program angażuje się prawie tysiąc polskich parafii. Wśród darczyńców są także małe i średnie firmy. Nie brakuje też wolontariuszy, którzy z własnej inicjatywy organizują zbiórki, mówią o programie, tworzą wspólnotę darczyńców – wylicza Maciej Dubicki.

– Syryjczycy są bardzo wdzięczni za tę pomoc i zdają sobie sprawę, że to konkretne rodziny z Polski im pomagają, że być może sobie czegoś odmówiły – opowiada s. Brygida Maniurka, franciszkanica posługująca w parafii rzymskokatolickiej w Aleppo. I dodaje: – Zdarza się, że ludzie, którzy mnie nie znają, zaczepiają mnie na ulicy, pytają, z którego jestem kraju. Kiedy mówię, że z Polski, to od razu dziękują za program „Rodzina Rodzinie”.

Sylwia Hazboun, koordynatorka programu „Rodzina Rodzinie”, przyznaje, że do miasta wróciła tylko pozorna normalność. – Jeszcze niedawno Aleppo było uznawane za najniebezpieczniejsze miasto na świecie i faktycznie takim było. Oblężenie skończyło się, kiedy siły rządo-

we odzyskały miasto. Linia frontu przesunęła się 15 km za Aleppo. W centrum nie ma w tej chwili zagrożenia militarnego, ale wybuchy nadal słyszą. Nigdy nie wiadomo też, kiedy sytuacja się zaostrzy. Pod koniec lutego doszło do eskalacji konfliktu w prowincji Idlib. Aleppo znowu zostało ostrzelane, pociski spadły na cywilów – opowiada Hazboun. – Mieszkańcy Syrii żyją w zawieszeniu, niepewności. Ciężko jest im myśleć o przyszłości.

W Syrii jest 6 mln dzieci w wieku szkolnym. Co trzecie nie chodzi do szkoły. – Powody są różne. Tam, gdzie jeszcze toczą się działania wojenne, rodzice boją się posyłać dzieci do szkoły. Części z nich zwyczajnie nie stać na edukację potomków. Ze względu na biedę część dzieci musiała przejąć na siebie obowiązki dorosłych, muszą pracować. Zajmują się uliczną sprzedażą, są tragarzami, pomagają w pracy rodzicom – wskazuje Sylwia Hazboun. – Są też i takie dzieci, które mogłyby wrócić do szkoły, ale nie chodziły do niej przez kilka lat. Nie ma programów, które pozwoliłyby im nadrobić stracone lata nauki. Szkoły, które udało się reaktywować, też nie działają najlepiej. Klasy są przepełnione, uczy się w nich 50–60 dzieci. Brakuje nauczycieli.

Poważnym problemem jest galopująca inflacja. Elias, który wraz z żoną Silvaną wychowuje czworo dzieci, przed wojną pracował jako malarz pokojowy i dostawca żywności. Zarabiał równowartość ok. 3 tys. zł. Rodzinie udało się nawet uzyskać kredyt na mieszkanie. Po wybuchu wojny Elias stracił pracę, nową znalazł po roku. Zarabiał 7 tys. funtów syryjskich. Na początku była to równowartość 380 zł. Dzisiaj już zaledwie 56 zł. Gdyby z pomocą nie przyszła parafia syriacko-katolicka z programem „Rodzina Rodzinie”, straciliby dach nad głową. W ramach pomocy dla przedsiębiorców Elias otrzymał też wsparcie na zakup używanej taksówki. Dzięki pracy i wsparciu z parafii udaje się utrzymać sześciuosobową rodzinę.

Caritas Polska w ramach programu „Rodzina Rodzinie” uruchomiła bowiem oprócz pomocy humanitarnej również moduł pomocy rozwojowej – wsparcie dla małych, rodzinnych przedsiębiorstw. Biznesplan mikrofirm, które mają szansę na powodzenie, mogą liczyć na dotację. Moses, ojciec czworga dzieci, dzięki wsparciu „Rodzina Rodzinie” otworzył warsztat samochodowy, który nazwał Al-Farah, czyli „radość”. Zatrudnił nawet pracownika.

Samaa Saboni prowadzi własną pracownię. Projektuje ulotki, szyldy, opakowania. – Marzę o tym, że z czasem moja firma się rozrośnie, że będę zatrudniać pomocników – mówi.

– 90 proc. dofinansowanych firm działało po roku od założenia. Cieszymy się, że małymi krokami udaje się odbudować gospodarkę Aleppo – mówi Sylwia Hazboun.

NAJSTARSZE WSPÓLNOTY CHRZEŚCIJAŃSKIE

97 proc. osób, które korzystają z bezpośredniego wsparcia z programu „Rodzina Rodzinie”, to chrześcijanie.

– Zdecydowaliśmy się na intensywniejsze wspieranie mniejszości chrześcijańskiej, bo ze względu na warunki stawiane w wielu innych organizacjach pomocowych w ogóle nie trafiało do niej wsparcie – ze względu np. na to, że ich rodziny są mniej liczne niż rodziny muzułmańskie. W pierwszej kolejności chcemy pomagać tym, którzy nie otrzymują żadnej pomocy – tłumaczy Dubicki.

Sylwia Hazboun wyjaśnia, że w Aleppo istnieje ogromna różnorodność chrześcijan. – Są wyznawcami różnych denominacji chrześcijańskich. Mamy różne Kościoły katolickie i różne Kościoły prawosławne. Nie akcentuje się jednak podziałów, a raczej zwraca uwagę na bogactwo tradycji. To najstarsze wspólnoty chrześcijańskie na świecie. Wielu księży zostało w Aleppo, bo nie wyobrażają sobie, że Bliski Wschód, gdzie przecież narodziło się chrześcijaństwo, mogłoby pozostać bez chrześcijan.

15 marca minęło dziewięć lat od wybuchu wojny w Syrii. – Zainteresowanie mediów sytuacją tego kraju wygasa. Zapominamy o tym konflikcie, a Syryjczycy wciąż potrzebują naszej pomocy. Nie chcemy zawieść rodzin, dla których wsparcie programu „Rodzina Rodzinie” to często jedyne pieniądze, jakie widzą. Chcemy przypominać Polakom o Syryjczykach, którzy wciąż potrzebują naszego wsparcia – mówi Dubicki.

W mieszkańcach Aleppo nie gaśnie wiara, że nadejdą dla nich lepsze dni. – Modlimy się o to, możemy tylko mieć nadzieję – mówi Yola Ashij.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Program „Rodzina Rodzinie” można wesprzeć, deklarując regularną pomoc na stronie rodzinarodzynie.caritas.pl lub wpłacając datkę na konto nr 77 1160 2202 0000 0000 3436 4384 z dopiskiem SYRIA.



Piotr Gociek

Serial „Mesjasz” pokazuje bezradność popkultury wobec kwestii wiary. A jego twórcy tylko udają, że stawiają ważne pytania

Znacie ten chwyt z książek, filmów, seriali – tajemniczy przybysz pojawia się pewnego dnia wśród nas, wygląda niby-normalnie, ale czasem zdradza wiedzę nie z tej ziemi. W zależności od inwencji autora może być to domniemany gość z gwiazd albo z przyszłości, może nawet duch. Żeby suspens utrzymany był do końca, autorzy myślą tropy, oferując zwykle odbiorcy dwa wytłumaczenia: są odpowiedzi, że wszystko da się wytłumaczyć racjonalnie, są i sugestie, że jednak nasz bohater jest kimś niezwykłym. I jakże często unik w finale: „A jak było naprawdę, któż to wie...” i puszczenie oka do czytelnika czy widza.

Dokładnie tą drogą poszli twórcy serialu „Mesjasz” („Messiah”, 2020), tyle że podbili stawkę, próbując odpowiedzieć na pytanie: „A co byłoby, gdyby w naszych czasach objawił się Jezus?”. Lub ktoś w każdym razie za Jezusa się podający. Długowłose i lekko zarośnięty osobnik w żółtej szacie pojawia się w oblężonym przez ISIS Damaszku. W chwili, gdy zrozpaczeni mieszkańcy czekają na ostateczny cios i szturm wroga, przybysz podnosi ich na duchu dobrym słowem i obiecuje ratunek. Chwilę potem nadchodzi potężna burza piaskowa, która trwa – bagatela – 43 dni. Osobnik słyszy z ust zachwyconych mieszkańców: „Imam, Isa (Jezus), al-Masih (mesjasz)”.

Al-Masih nie zagrzewa miejsca w Damaszku. Wyrusza ku Ziemi Świętej, a za nim tysiące wyznawców. Podążają za nim przez pustynię, by utknąć na granicy Izraela. Tutaj domniemany mesjasz zostaje aresztowany. Wydarzenia z jego udziałem są bowiem bacznie obserwowane przez potęgę tego świata, wywiad izraelski i amerykański CIA. Dla nich sprawa jest jasna – oto kolejny fanatyk, który doprowadzi do eskalacji przemocy. Amerykanie sugerują wprost, że może to być nowy Al-Baghdadi (charyzmatyczny samozwańczy kalif Państwa Islamskiego).

Tajemniczy



Mamy więc w pewnym sensie powtórkę z serialu „Homeland”, tyle że tam zagadka nie miała nic wspólnego z religią i była ewidentną wariacją na temat znany z „The Manchurian Candidate” (1962, idiotyczny polski tytuł „Przeżyliśmy wojnę”). Pół świata emocjonowało się zagadką Nicholasa Brody’ego – czy jest żołnierzem, który bohatersko przetrwał w kazamatach terrorystów i któremu należą się medale, czy jeńcem o wypranym umyśle zaprogramowanym, aby dokonać w USA aktu terroru. Tropem Brody’ego podążała agentka Mathison, z kolei za mesjaszem/oszustem (niepotrzebne skreślić) ugania się agentka Geller (Michelle Monaghan). Nie jest jedyna. Weteran izraelskich służb Aviram Dahan (Tomer Sisley) jako pierwszy przesłuchuje podejrzanego. Ze zdumieniem odkrywa, że ten wie o rzeczach, których Aviram nikomu i nigdy nie zdradził. Czyżby obdartus z pustyni dysponował jakimiś nadnaturalnymi mocami? Nie, zdaniem Szin Bet to jedynie dowód na to, jak dobrze przygotowano spisek. Tylko kto lub co jest celem tej operacji?

BRAK ODPOWIEDZI

Akcja przenosi się do Stanów Zjednoczonych. Tutaj nękany kryzysem wiary (oraz poważnymi kłopotami finansowymi)

pastor Felix Iguero (John Ortiz) uznaje w osobie przybysza mesjasza i oddaje się służbie jego sprawie. Czy to dzięki tajemniczemu mężczyźnie mały kościół ocalał jako jedyny z tornada, które zrównało z ziemią miasteczko? Czy al-Masih potrafi uzdrowić? Opowieść nieustannie biegnie dwoma torami, a scenarzyści raz przekonują, że główny bohater to ktoś nie z tego świata, a innym razem, że zwykły oszust, za to doskonale do oszustwa przygotowany.

Nie dowiemy się, jaki miał być finał tej historii, bo Netflix ogłosił 26 marca, że następnych sezonów nie będzie. Śmiem podejrzewać, że czekało nas jeszcze więcej tego samego: jeszcze bardziej spektakularne zakręty fabuły i wyczyny głównego bohatera z nieustannym podważaniem prawdziwości jego dokonań. Przedsmak tego mamy pod koniec sezonu pierwszego (i jedynego) – ocean może wyrzucić na brzeg tony martwych ryb z powodu nadchodzącego huraganu, ale równie dobrze może być to plaga, którą Pan Bóg zesłał na ludzi, którym niespieszno do słuchania słów nowego mesjasza.

„Czasem najlepszą odpowiedzią na brak odpowiedzi” – dowiadują się młodzi uchodźcy koczujący przy granicy izraelskiej z lektury „Małego Księcia” Antoine’a de Saint-Exupéry (swoją drogą jedna



przybysz



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

z bardziej absurdalnych scen w serialu). To jednak, co może być chwytliwym cytatem dla egzaltowanego nastolatka, nie powinno być wymówką dla poważnych ludzi pragnących dyskutować o poważnych sprawach. A za takich twórcy „Mesjasza” chcą być uważani. Australijczyk Michael Petroni, główny twórca serii, opowiada w wywiadach, że nie zamierzał kwestionować niczyjej wiary, że to nie domniemany zbawiciel jest najważniejszy, ale opowieść o tym, jak rozmaici ludzie różnych kultur wierzą. I musi się tłumaczyć z potencjalnego „chrześcijańskiego przechyłu”, bo zatrudnił do pracy przy serialu Marka Burnetta i Romę Downey, którzy nie dość, że są katolikami, to jeszcze mają w dorobku takie seriale jak „Dotyk anioła”, „Biblia” czy „Syn Boży”.

RELIGIA W POPKULTURZE

Prawda jest taka, że prezentowany jako zmuszający do myślenia i stawiający poważne pytania serial tak naprawdę do myślenia nie zmusza ani poważnych pytań nie stawia. Jest za to dowodem na to, jak bezradna bywa popkultura w kwestiach wiary. Spójrzmy, jak scenarzyści bardzo ułatwili sobie robotę. Tajemniczy przybysz nie spotyka tak naprawdę żadnych godnych siebie sparingpartnerów. Ku granicy

Izraela prowadzi grupę wygłodniałych szytów, a wśród nich najważniejsza jest para młodzianków, którzy chyba jeszcze za bardzo nie wiedzą, w co wierzą i z jakiego powodu. W USA jego charyzma podbija serce pastora-baptysty z małego miasteczka w Teksasie, który ewidentnie z wiarą ma problem.

Kolejni przeciwnicy to agentka CIA, która zamiast w Boga wierzy właśnie w CIA, i izraelski osiłek, który w nic nie wierzy. A także prezydent USA, który jest mormonem. (A propos tej ostatniej kwestii, uwaga na napisy w polskiej wersji, zupełnie prze-gapiono tę informację, przez co zachowanie prezydenta jest niezrozumiałe dla tych, którzy nie wychwycili, że w rozmowie pada sformułowanie „Latter-day Saints”. Tymczasem jest to wiadomość kluczowa dla politycznego wątku ostatnich epizodów „Mesjasza”, wszak Kościół, do którego należy fikcyjny prezydent Young, nie bez powodu zwie się Kościołem Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, a w centrum jego nauk jest odpowiednie przygo-

towanie ludzkości na drugie przyjście Jezusa. Nazwisko też nieprzypadkowe, Brigham Young był historycznie drugim przywódcą mormonów i pierwszym gubernatorem Utah).

Sceny, w których domniemany mesjasz chce zacząć naprawę świata od wycofania amerykańskich wojsk zza granicy, są karykaturalne. A dlaczego nie rosyjskich z Syrii i Ukrainy? Dlaczego nie chińskich z Tybetu? Czy podliczając grzechy ludzkości, naprawdę nie zauważymy różnicy między liczbą chrześcijan zabitych przez system Lenina i Stalina a tych, którzy zginęli wskutek działań generałów Pentagonu?

A gdyby mesjasz nie tylko rzekł: „Nie zabijaj”, lecz także przypomniał: „Nie zabijaj także dziecka w łonie matki”, to czy serialowa CNN nadal relacjonowałaby jego wyczyny pod tytułem „Cud w Teksasie”, czy może jednak zaczęła przebąkiwać coś o ciemnogrodzie, aborcji jako podstawowym prawie człowieka itd.? Gdyby zamiast przed kościołem wielebnego Felixa w Teksasie pojawił się w Szwajcarii u drzwi kliniki, która oferuje klientom wspomagane samobójstwo? Gdyby kwilącym radośnie: „Kochajmy się” osobnikom w hipisiarskich bluzach przypominał, że miłość, wybaczenie i miłosierdzie obejmują także tych, którzy głosowali na Trumpa albo na Kaczyńskiego? A nadej-tym prezydentem Fox News, że Bóg kocha także wyborców Hillary Clinton i Berniego Sandersa? Gdyby mesjasz oświadczył, że śmiertelnie poważnie traktował będzie tych, którzy zapomnieli, iż nie należy cudzołożyć, dawać fałszywego świadectwa

przeciw bliźniemu i mieć innych bogów? Gdyby spotkał głęboko wierzących, dobrych ludzi? Ich kapłanów? To są poważne pytania, tyle tylko, że – jak widać – stawiać je musi recenzent.

„Mesjasz” pokazuje, jak bardzo religia w popkulturze traktowana jest jako wszechograniający kicz dobrosąsiedzki, jak coś w rodzaju serduszek Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy przypinanych do klapy marynarki. Ja sobie nakleję „Jezus”, ty sobie nakleisz „Mahomet”, ktoś inny „Joseph Smith” i wszystko jest cool, bo różnice nieważne dopóty, dopóki tylko jesteśmy dla siebie mili. Nie takie to proste.



★★★★★

MICHAEL PETRONI
„MESJASZ”
 („MESSIAH”)
USA 2020

wyst. Michelle
Monaghan, Mehdi
Dehbi, Tomer Sisley,
dyst. Netflix

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Zmarły 29 marca Krzysztof Penderecki cieszył się w świecie sławą jednego z najwybitniejszych twórców muzyki współczesnej, co nie znaczy, że nie miał poważnych konkurentów, także na krajowym podwórku. W ogóle zacząć trzeba od tego, że w muzyce, tak jak w poezji, w drugiej połowie XX w. staliśmy się prawdziwą potęgą. Dość powiedzieć, że jeśli w pierwszej połowie zeszłego stulecia mieliśmy jednego kompozytora światowego formatu, a mianowicie Karola Szymanowskiego, to w drugiej połowie aż pięcioro, bo przecież i Witolda Lutosławskiego, i Mikołaja Góreckiego, i Grażynę Bacewicz, i Wojciecha Kilara, no i oczywiście Krzysztofa Pendereckiego, będącego niekwestionowanym numerem jeden muzyki polskiej, choć – przypominano – gdyby mierzyć rangę i popularność liczbą sprzedanych płyt, to fonograficzny rekord w kategorii współczesnej muzyki klasycznej należy do Henryka Mikołaja Góreckiego i jego „III Symfonii”.

Najbardziej znane instrumentalne utwory Pendereckiego to, oczywiście, „Pasja według św. Łukasza” (1962–1965), skomponowana z okazji 700-lecia katedry w Münster, gdzie odbyło się jej prawykonanie, oraz „Dies irae” na głosy solowe, chór i orkiestrę (1967) – oratorium poświęcone pamięci zamordowanych w obozie w Auschwitz.

W Münster przed prawykonaniem „Pasji według św. Łukasza” Zygmunt Mycielski stwierdził krótko: „Jestem zmiażdżony wielością tego dzieła”.

A 25 września tegoż samego 1966 r., w niedzielę o godz. 5, pisał jakże pięknie: „Nie mogę zasnąć po »Pasji« Pendereckiego w Sali Filharmonii Narodowej. Tak pełnej, jakby się miała zawalić. Ludzie się bili przy wejściu, żeby wejść. Wykonanie z orkiestrą i chórem krakowskim pod dyktando Czyża, z Ładyszem i Hiolskim, jak w Münster i w Krakowie, zamiast Woytowiczówny Dorothy Dorow. Słyszę to szósty raz, licząc próby w Münster. Wrażenie nie słabnie. Znam dobrze każde chromatyczne »Christe«, powtarzane »Domine«, statyczną monumentalność, półtonowe wejścia głosów i figury instrumentalne. Wszystko, co wykonano na 16 koncertach festiwalu, staje się nieważne, wszystko małe, niemal głupie i niepotrzebne. Ta »Pasja« pojawiła się nagle, w roku naszego tysiąclecia. Jest



FOT. JUSTINA ROJEK/STYX NEWS

Dał Polsce wielkie formy



Krzysztof Masłoń

Po gigantycznym sukcesie „Pasji według św. Łukasza” młodzi kompozytorzy – cytując Zygmunta Mycielskiego – pozdrawiali Pendereckiego na ulicy: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. A on im odpowiadał: „Na wieki wieków amen”



sza», »Nowy Testament« czy »Apokalipsa«. »Co jest bardziej współczesne? Może Ionesco czy Beckett?«. Igor na to nie replikował, ale popatrzył na mnie, szukając u mnie oparcia. Ale go u mnie nie znalazł, bo ja też uważam, że nie ma u nas bardziej współczesnych tekstów niż »Lamentacje Jeremiasza«. Penderecki ma rację. Ale co napisze po »Pasji«?».

ROBIĆ SVOJE

Dzisiaj, gdy wielkość Krzysztofa Pendereckiego nikt nie śmie kwestionować, zdumiewające wydają się sprzeczne opinie na jego temat, a nawet odżegnywanie go od muzycznej czci i wiary. Daleko nie szukając, nawet »Dzienniki« Stefana Kisielewskiego dowodzą charakterystycznej ewolucji poglądów tego autora, kompozytora przecież, na osobę i twórczość Krzysztofa Pendereckiego. Do pewnego czasu wydziwiał nad »Penderecjuszem«, podszczypując go z lekka, by w końcu z ulgą poddać się czarowi jego muzyki. Chociaż jeszcze w sierpniu 1970 r. obawiał się, by powodzenie kompozytora nie okazało się sukcesem »w typie Siemiradzkiego, Styki lub w najlepszym wypadku »Quo vadis«. Szkoda by było!». No, zawrzcę w jednym zdaniu tyle głupstw to spora sztuka!

Nie minął jednak rok, a w styczniu 1971 r. napisał Kisiel o Pendereckim: »[...] lubię go dosyć, bo jest odmienny od innych kompozytorów – nie mądrzy się, tylko robi swoje, nie jest małostkowy ani zawistny – zresztą nie potrzebuje. Ma swój spryt, ale nie kłuje nim w oczy, zwłaszcza mnie. Można z nim gadać jak z człowiekiem, to już jak na kompozytora jest coś».

A w roku kolejnym, na jesieni, Stefan Kisielewski otrzymał od Krzysztofa Pendereckiego propozycję wykładania w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie, czym ujął go niesłuchanie: »[...] po latach ktoś sobie o mnie przypomniał? Trudno to urządzić z dojeżdżaniem, zresztą partia na pewno się nie zgodzi, tak czy owak jednak propozycja jest przyjemna – jako fakt. A jednak ten Pender to niezależny facet – chi!».

WRAŻENIE ARCYDZIEŁA

Nawiasem mówiąc, był Krzysztof Penderecki bezpartyjnym wyjątkiem wśród PRL-owskich magnificencji, a nominowany został, zamiast wskazanego przez władze Tadeusza Machla, dopiero po

prosta. Woła »O Crux«, »Deus meus – quare me derelinquisti?«, »Jerusalem« za Jeremiaszem, »Judica me, Deus« i »Miserere mei, Deus, quoniam conculcavit me homo« – »Zmiłuj się nade mną, Boże, bo depcze mnie człowiek: każdego dnia poniża mnie«. Wszystko jest dzisiejsze i wstrząsające.

Nie chcę mnożyć cytatów. Ten wielki fresk wyraża nasz los, wołanie, rozpacz i nadzieję. [...] »Pasja« kończy się psalmem nadziei: »In te, Domine, speravi« – »Ty mnie, Boże, uwolnisz, wyzwolisz«. Nie wymyśliłszy niczego więcej».

TO SIĘ SKOŃCZYŁO?

Pamiętam tamten czas i fascynację młodego pokolenia Pendereckim. Postrzegany był jako twórca awangardowy, łamiący przyzwyczajenia i konwenanse, wpuszczający świeże powietrze

do zatęchłych sal koncertowych. Nie zdawaliśmy sobie sprawy ze znaczeń tkwiących w »Pasji...«, a na pewno nie ze wszystkich.

W grudniu 1966 r. do Warszawy przyjechał Igor Markevitch, zamieszkały w Szwajcarii włoski dyrygent ukraińskiego pochodzenia, by dyrygować dwoma koncertami w filharmonii. Podczas obiadu w warszawskim Grandzie zaniepokojony słowami Pendereckiego, głośno zastanawiającego się, co ma pisać po »Pasji»: mszę prawosławną czy utwór dla ofiar Auschwitz z tekstami »Apokalipsy», powiedział: »Przecież nie ma już dziś ludzi religijnych, to się skończyło«. »A Penderecki – opisywał całą sytuację Zygmunt Mycielski – na to, że to u nas jest inaczej. »Tu nie istnieje tekst bardziej współczesny niż teksty biblijne, psalmy, »Lamentacje Jeremia-



■ interwencji w Ministerstwie Kultury grupy wykładowców uczelni, co samo w sobie było w tamtych latach ewenementem. Warto o tym pamiętać, trafiając w podziemnej „bibule” na wyrazy oburzenia, gdy Penderecki w 1982 r. spotkał się z gen. Jaruzelskim. Na miejscu jest tu komentarz Zygmunta Mycielskiego, który 16 kwietnia 1982 r. zanotował w swoim „Niby-dzienniku”:

„Patrioci mają za złe Pendereckiemu, że był u Jaruzelskiego, Holskiemu itp., że występowali w telewizji – małe szaleństwa i duża »postawa« czy też »duża postawa« i małe szaleństwa... Będą mnie pytać, jak się zachować ma Polak – ja zaś myślę ciągle, że Polak powinien się starać o zarobek, handel, przemysł, rolnictwo, powinien pracować – a Rosja i komunizm są tu najgorszym z możliwych... profesorów. Więc też wieszamy chorągiewki, odprawiamy msze, rocznice, pomniki, gesty – ten naród zawsze był »teatralny« – straszliwie mnie to tutaj niecierpliwi – niecierpliwiły mnie już hasła przed wojną 1939: »silni, zwarci, gotowi« (teraz są msze za Rydza-Śmigłego)... A już, tuż-tuż, i zacnie mnie niecierpliwić cywilizacja zachodnia, głupie pytania tam, lewicowości i komunizujące stare, bogate baby i członkowie Akademii Francuskiej. Ich demokracja, zarcie i pierdolenie, filozofie i egoizmy”.

18 marca 1984 r. zwrócił uwagę Mycielski na wywiad Pendereckiego: „[...] mówił, że daje Polsce wielkie formy, których Polska nie miała. Mówił o Karłowiczu, większym talencie niż Szymanowski. O swoim »Polskim Requiem«, którego części poświęcone są ofiarom Gdańska (1970, »Lacrimosa«), prymasowi Wyszyńskiemu, ofiarom Katynia (puścił to słowo w telewizji!), ofiarom powstania... Mówił, że pisze tak »o narodzie, który tyle przecierpiał«”.

Na „Polskie Requiem” Zygmunt Mycielski narzekał jednak, choć – pisał – „wchodząc na próbę, a potem słysząc początek – Kyrie – miałem wstrząsające wrażenie arcydzieła – tak jak kiedy się usłyszy fragment z Wagnera czy z najlepszych rzeczy Verdiego”.

Generalnie jednak, w przeciwieństwie do Kisiele, który w ocenie Pendereckiego do aprobaty dochodził od daleko posuniętego sceptycyzmu, Mycielski, zaczynając od uwielbienia, doznał – w 1987 r. – do zadziwienia, jak muzyk tej klasy mógł się tak „zma-

hleryzować”. Cokolwiek by to ostatnie określenie znaczyło.

ESTETYK I KOLORYSTA

Edward Pałasz ze swego pierwszego pobytu w Domu Pracy Twórczej ZAiKS-u w Krynicy zachował symboliczny obraz Krzysztofa Pendereckiego, któremu „siedzącemu gdziekolwiek, w przejściu, przy jakimkolwiek stoliku, mimo gwaru i ruchu nic nie przeszkadzało w kreśleniu falistych i zygzakowatych linii na papierze o licznych pionolinach i okraszaniu ich pojedynczymi nutami lub ich grupkami. Zapewne komponował wtedy »Fluorescencje« lub »Polimorphię«, ale ponieważ nie znałem go jeszcze bliżej, więc nie śmiałem zapytać, czym znowu zaskoczy muzyczny świat. Ale i tak wzbudził natychmiast mój najwyższy podziw (i zdrową szczyptę zazdrości jednocześnie) dla niebywałej umiejętności skupienia się na komponowaniu muzyki w takich warunkach. Podziw ten, obok oczywistego zachwytu dla niezwyklej siły twórczej Krzysztofa, pozostał bez konkurencji”.

Kompozytor pisał dużo, żartując, że jest w stanie poradzić sobie z nawałem pracy, gdyż przy pisaniu korzysta z obu rąk. A przypisywaną mu przez lata awangardowość traktował wyrozumiale. W końcu to on, zamykając już w 1961 r. „Polimorphię” czystym akordem C-dur, a później podobnie stawiając inny czysty akord na finał włączonej w „Pasję według św. Łukasza” lamentacji „Stabat Mater”, rzucił hasło powrotu w muzyce do tonalności. Czym oburzył awangardowych ortodoksów, ale zdobył serca rzesz melomanów, przede wszystkim poszukujących w muzyce piękna. Nie zmienia to faktu, że wielu historyków muzyki wciąż umieszcza „Pasję...” czy „Polskie Requiem”, jak również opery Krzysztofa Pendereckiego – „Diabły z Loudun” i „Czarną maskę” – wśród najwybitniejszych dzieł XX-wiecznej awangardy. Swoją drogą przed wieloma laty, bo na początku lat 60. zeszłego wieku, Bohdan Pilarski, zestawiając na łamach „Współczesności” (ech, były pisma!) twórczość Krzysztofa Pendereckiego i Bogusława Schaffera, zauważył, że o ile u tego drugiego „ekspresje mają charakter ekstatycznych pulsacji”, o tyle Penderecki jest „impresjonistą, pozostaje zawsze wrażliwym, acz powściągliwym estetą”. Problemy konstrukcyjne – powiedział Pilarski – kompozytor ten traktuje powierzchownie. Jego „Tren” jest „rodzajem improwizacji, w której pasma

smyczkowych szumów nie mają mocnego ugruntowania formalnego. Natomiast fascynująca i odkrywczą jest kolorystyka”. Zresztą „Tren” na Warszawskiej Jesieni w 1961 r. przyjęty został entuzjastycznie.

PAN NA LUSŁAWICACH

Był Krzysztof Penderecki człowiekiem wielomiarowym. Żył w świecie wielkiej sztuki, ale przecież w równym stopniu zajmował się niezwyklej Europejskim Centrum Muzyki, które stworzył w Lusławicach, i równie niezwyklej ogrodem dendrologicznym w tym samym miejscu, gdzie posadził 200 gatunków drzew, pamiętając o tym, żeby za każdym razem do przygotowanych na drzewo czy krzew dołów wrzucić kopę jaj. Był człowiekiem rodzinnym – jak wcześniej dziećmi, tak ostatnio zajmował się wnuczką Marysią.

Był bardzo bogaty, co z pewnością kłuło w oczy potencjalną konkurencję. Dłuższymi okresami pomieszkiwał w Niemczech i Stanach Zjednoczonych, a jednak zawsze wracał, podkreślając, że nie mógłby na stałe żyć gdzie indziej. A ten jakże polski twórca korzenie miał i ormiańskie, i niemieckie.

Pierwszego mercedesa kupił sobie za pierwsze większe zarobione pieniądze i potem pozostawał wierny tej marce. W młodości przywiązywał wagę do ubioru, nie stroniąc od strojów wysoce ekscentrycznych. Duchem pozostawał młody. W końcu wystąpił w 2012 r. na... Open’erze, dyrygując orkiestrą grającą utwory jego, a także zafascynowanego jego muzyką Johnny’ego Greenwooda z Radiohead. Związki Pendereckiego z popkulturą objawiły się również w filmach. W „Łśnieniu” Stanleya Kubricka czy „Egzorcystie” Williama Friedkina cytowana jest jego muzyka; nie tylko w „Katyniu” Andrzeja Wajdy.

Dwukrotnie żonaty, z drugą żoną – Elżbietą z Soleckich – przeżył ponad pół wieku. Z pewnością z roku na rok w coraz większym stopniu organizowała jego życie i twórczość. Lusławice, stworzone wokół starego dworu należącego niegdyś do polskich arian, stały się w ogromnej mierze wspólnym ich dziełem.

Tyleż razy przywoływany już w tym artykule Kisiel po przeczytaniu książki Ludwika Erhardta o Pendereckim orzekł: „Fantastyczna to kariera, żaden polski artysta w XX wieku takiej nie zrobił – chyba Sienkiewicz. Facet wie, czego chce”.

Wiedział, do końca swego 86-letniego życia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



*Zdrowych i spokojnych Świąt Wielkanocnych,
pełnych nadziei i miłości.
Niech Zmartwychwstanie, które niesie odrodzenie,
otuli Państwa serca pokojem i wiarą.*



Polaku, spójrz w lustro



Wiesław Chełminiak

Gdyby o sile państwa stanowiła sztuka portretu, Rzeczpospolita Obojga Narodów utrzymałaby mocarstwowy status co najmniej do czasów Napoleona

W 1679 r. w Grodnie poseł na Sejm Aleksander Weryha-Darowski, mając nieźle w czubie, porąbał szablą konterfekt Jana III Sobieskiego. W tamtych czasach atak na wizerunek władcy traktowano jak zamach na niego samego. Szlachcicowi nie pomogło, że pochodził z kniaziowskiego rodu. Najpierw ucięto rękę, która targnęła się na majestat, a następnie głowę, w której ohydny zamiar się zrodził. Część historyków wątpi w prawdziwość tej historii, inni przekonują, że król jegomość niechybnie ułaskawił raptusa.

Wiek później, gdy autorytet monarchy sięgnął dna, Polska zaś stanęła nad przepaścią, mieszkańcy Warszawy stali się świadkami zastosowania wobec zdrajców narodu formuły in effigie. 29 września 1794 r. w zastępstwie najważniejszych targowiczian na szubienicach zawisły ich portrety. Symboliczną egzekucję, uwiecznioną pędzlem Jana Piotra Norblina, można uznać za klasyczny objaw niemocy

naszego wymiaru sprawiedliwości. Politycy pozostali bezkarni, ucierpiały tylko wizerunki.

WSPÓŁCZUCIE DLA TCHÓRZA

Na Zachodzie historycy sztuki lekceważą domowe kolekcje, jeśli brakuje wśród nich dzieł sławnych malarzy. Nad Wisłą i Niemnem od autora zawsze ważniejszy był model. Ściany dworu w Soplicowie, udekorowane konterfektami Rejtana i bohaterów insurekcji kościuszkowskiej, świadczyły o patriotyzmie gospodarza. Poziom artystyczny był kwestią drugorzędną. Liczyło się przesłanie. Ceniono też malowidła alegoryczne.

W obliczu katastrofy państwa strapiony Stanisław August Poniatowski zamówił u Marcello Bacciarellego portret z klepsydrą. Wdział strój filozofa, na palec włożył pierścień z podobizną carycy Katarzyny. Tęskny wzrok zwrócił w stronę okna, lecz niestety burzowa chmura zasłoniła słońce. „Kiedyś rozjaśni

się niebo nad Polską” – odgadywali rodacy, nie wyczuwając fałszu bijącego od płótna. Może nawet współczuli władcy, który chciał dobrze, tylko mu nie wyszło.

Malowidło, powstałe gwołi wybielenia tchórzliwego króla Stasia, znalazło się na pamiętnej wystawie „Polaków portret własny”. Entuzjastyczny odbiór krakowskiej ekspozycji był jednym ze zwiastunów solidarnościowego przełomu. Przypieczętował też fiasko polityki historycznej PRL. Rzeczpospolita szlachecka, oskarżana przez wyznawców marksizmu-leninizmu o wszystkie grzechy, doczekała się pośmiertnej rehabilitacji. Dziesięć lat później Jan K. Ostrowski – historyk sztuki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, a wkrótce dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu – rozpoczął cykl wykładów o staropolskim portrecie. Taka jest geneza erudycyjnej, liczącej 496 stron i 589 ilustracji książki, którą wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego Jarosław Sellin uznał za „lekturę niemal obowiązkową dla



Stefan Batory na portrecie z początków panowania prezentuje fryzurę godną Kozaka

FOT. KUNSTHISTORISCHES MUSEUM

miłośników wszelkich nauk humanistycznych”.

Ramy specjalistycznego studium okazały się dla autora „Portretu w dawnej Polsce” za ciasne. Konterfekty z epoki uznawanej za zamierzchłą potraktował jako „zwierciadło życia indywidualnego i zbiorowego”, źródło informacji o wyglądzie, stylu życia, systemie wartości i aspiracjach ludzi, którym zawdzięczamy nasz kod kulturowy. Aleksander Gieysztor zapewne powtórzyłby ocenę wyrażoną we wstępie do katalogu wystawy z roku 1979: „Album do bacznego oglądania, teksty do uważnego czytania i całość do zastanawiania się w spokoju lub emocji nad losem i samowiedzą Polaków”.

WYGRAĆ ZE ŚMIERCIĄ

Jakość staropolskich wizerunków pozostawia sporo do życzenia. Z reguły są warsztatowo słabe i płasko namalowane, powielają najprostsze rozwiązania kompozycyjne. No cóż, Rzeczpospolita leżała na

artystycznych peryferiach Europy. Nie istniała u nas żadna akademia ani rynek dzieł sztuki, choć zdarzali się wybitni malarze, tacy jak gdańszczanin Daniel Schultz (który przy okazji był wytrawnym psychologiem). Królewskie i magnackie dwory stawiały na import z Włoch, Niemiec i Francji. Potrzeby prowincjuszy zaspokajały dzieła rzemieślników samouków, których personalia już na zawsze pozostaną tajemnicą.

Nie zmienia to faktu, że w sztuce portretu (obejmującej także nagrobki) byliśmy czołgowcami. Rozkwitła ona za ostatnich Jagiellonów jako charakterystyczny dla epoki nowożytnej objaw afirmacji doczesności oraz człowieka jako króla stworzenia. Do łask wróciło antyczne pojęcie sławy, „która urąga czasowi i trwa wieki”, jak to ładnie napisał historyk Jean Delumeau. Polscy szlachcice, tak samo jak włoscy humaniści, chcieli żyć również po śmierci – w pamięci potomnych. W Italii ważniejsze od podobieństwa było wyobrażenie, które pozujący mieli na własny temat. Nad Wisłą dominował weryzm, po części spowodowany nieporadnością portrecistów.

Te twarze robią wrażenie. Szeroko uśmiechnięte, świdrujące widza uważnym spojrzeniem, często sterane wiekiem, pokryte bliznami albo śladami po przebytych chorobach, opuchnięte od alkoholu i tłustych potraw. Defekty urody musiały być wówczas na tyle powszechne, że się ich nie wstydzono. Megalomania wyrażała się w pozie i stroju. Mówiono złośliwie, że jaśniepanowie do ozdobienia czapek, szabel i koni używali więcej złota oraz szlachetnych kamieni, niż nosiły na sobie ich żony i córki.

Historycy sztuki serio zaczęli się interesować sarmacką sztuką, gdy po reformie rolnej do muzeów napłynęło wyposażenie z upaństwowionych prawem kaduka dworów i pałaców. „Odkryto” fenomen w postaci portretu trumennego. Wizerunki nieboszczyków zdobione były również chorągiewkami nagrobnymi, wieszanymi w kościołach. Tańsze od kamiennych monumentów, lecz niestety mniej trwałe, bo wykonane z jedwabiu, ze skóry lub z blachy, padły ofiarą burz dziejowych. Zachowało się zaledwie kilkanaście sztuk, w tym jedna poświęcona kobiecie (Katarzyna Żarczyńska, zmarła w 1625 r. i pochowana u krakowskich franciszkanów).

WOJNA FRAKA Z KONTUSZEM

Podobizny naszych monarchów rozszyfrować łatwo: im mniej znaczyli, tym chętniej dodawali sobie dostojen-



W obliczu katastrofy państwa Stanisław August Poniatowski zamówił u Marcello Bacciarellego portret z klepsydrą

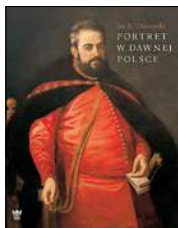
FOT. MNW

stwa. Stefan Batory wzbudzał respekt, więc mógł pozować bez korony i berła. Na portrecie z początków panowania, mało znanym, bo zalegającym w magazynie wiedeńskiego Kunsthistorisches Museum, król prezentuje fryzurę godną Kozaka (gładko wygolona czaszka, z wyjątkiem wąskiego pasa włosów biegnącego od czoła ku tyłowi głowy).

Wojowniczy image z pewnością działał na wyobraźnię poddanych i skłaniał do naśladownictwa. Zresztą polski strój narodowy był niezwykle podobny do węgierskiego, a malarstwo portretowe bratanek wykazuje pokrewieństwo stylistyczne z naszym. Madziarzy też sprawiali sobie galerie przodków, prawdziwych i wydumanych, przybierali pańskie pozy, zapuszczali wąsy i ulegali wpływom Orientu. Tak samo jak Polacy znali łacinę, niemieckich mieszczuchów oraz słowiańskich chłopów mieli zaś w pogardzie.

Wojskowy rodowód z pewnością sprzyjał popularności sarmackich fryzur i ubioru. Każdy hreczkosiej chciał wyglądać na rębajłę broniącego ojczyzny. Nie każdy jednak dobrze prezentował się w kontuszu, delii i żupanie. Takie ciuchy wymagały odpowiedniej sylwetki. „Osobnik zbyt szczupły wyglądał w stroju polskim mało poważnie” – zauważa prof. Ostrowski, co każe nieco inaczej spojrzeć na brzuchatych karmazynów. Oni po prostu podążali za modą. Wysoko podgolona czupryna również rozpowszechniła się z praktycznych powodów: wielki futrzany kołnierz nie pasował do długich włosów.

Za panowania Wazów utrwalił się rozłam. Elity, czyli królewski dwór i magnaci,



JAN K. OSTROWSKI
„PORTRET W DAWNEJ POLSCE”
WYD. MUZEUM PAŁACU KRÓLA JANA III W WILANOWIE

preferowały modę zachodnioeuropejską. Naród szlachecki cudzoziemszczyzny nie znosił. Zdarzały się nawet przypadki wydziedziczenia. Imć pan Golejewski, gdy synowie wrócili z zagranicznych wojaży w strojach francuskich, „każdego uraczył zwykłą porcją: stoma odlewanych bizunami, fraki popalił, fryzury kazał pogolić, długo ich w domu o chlebie i wodzie trzymał i w końcu w kontusze przebrał”. Tak objawiał się kulturowy spór, który po dziś dzień dzieli Polaków na dwa zwalczające się plemiona: zwolenników swojszczyzny i entuzjastów nowinek obcej proveniencji. Wojna fraka i kontusza trwa.

KONIEC ŚWIATA PERUKARZY

Jedynym królem Sarmatą był Jan III Sobieski. Za jego panowania moda na portrety w naszym stroju narodowym zapanowała w Rosji, skąd dotarła na Kaukaz – dowodem konterfekt gruzińskiego carewicza Aleksandra Bagrationa-Imereckiego, który można oglądać w muzeum sztuki w Tbilisi. Kres tej polonofilii położył car Piotr Wielki, zmuszając bojarów do pozowania w perukach i zbrojach na zachodnioeuropejską modłę.

W żupanach kazali się uwiecznić florency Medyceusze i śmiertelny wróg Rzeczypospolitej, władca Szwecji Gustaw II Adolf. Wschodnioniemiecka szlachta ulegała sarmackiej estetyce nie tylko z racji bliskiego sąsiedztwa. Rekwizyty w postaci kontusza i karabeli wskazywały, że portretowany jest przeciwnikiem absolutyzmu i zazdrości naszym ziemianom przywilejów oraz niskich podatków.

Polscy królowie przebierali się za szlachciców, gdy wymagały tego racja stanu i opinia publiczna. Z jednym znamienym wyjątkiem. Stanisław August, który miał obsesję na punkcie swego wyglądu, już podczas obrzędów koronacyjnych dał jasno do zrozumienia, że nadeszła epoka oświecenia. Zlekceważywszy wezwania, by wzorem swych poprzedników upodobał się na tę okazję do poddanych, obstał u krawców cudaczny strój pseudohiszpański. Zadbał też o świadectwo siedmiu (!) medyków, że zdjęcie peruki zagroziłoby jego zdrowiu, a może nawet życiu.

W otoczonej przez rosyjskie wojsko Warszawie Poniatowski czuł się pewnie, więc złamał tradycję koronacji na Wawelu. Z polskimi obyczajami w ogóle nie było

mu po drodze i kiedy stronnictwo patriotyczne pokochało sarmacki look, musiał cierpieć straszne męki. Publicznym postrzyżynom poddał się orędownik Konstytucji 3 maja Kazimierz Nestor Sapieha. Z sejmowej ławy padały zaś propozycje, by gardzących „strojem rodowitym” nie dopuszczać do sprawowania urzędów.

Zaniepokojony hetman Branic-ki czym prędzej pozbył się peruki. Ten współsprawca zagłady Rzeczypospolitej do końca życia nosił się po polsku, a portretować się kazał z Orderem Orła Białego na piersi. Rosyjskie medale trzymał w szufladzie.

Strój narodowy przetrwał katastrofę państwa, choć w zaborze rosyjskim za ostentacyjne paradowanie w kontuszu groziły represje. Znany jest przypadek Wilhelma Radziwiłła, który w pełnym rynsztunku Sarmaty złożył wizytę generałowi-gubernatorowi Kijowa. Został oddany pod sąd, skonfiskowano mu majątek, a w więzieniu zwariował. Co prawda złe języki twierdziły, że książę już wcześniej wykazywał objawy pomieszania zmysłów.

LOKAJ W KONTUSZU

W połowie XIX w. patriotę poznawało się po nakryciu głowy. Powstańcy nosili (przynajmniej na portretach i zdjęciach) czamary i konfederatki. Moda sarmacka odrodziła się w autonomicznej Galicji. Kontusze, w nieco zmodyfikowanej wersji, stały się strojem świątecznym, używanym także przez mieszczan i profesurę. Młodzi sztydziłi jednak z tych przebieranek. Staropolskie tradycje, podmywane przez nowoczesność, odchodziły do lamusa, ostateczny cios zadała im druga wojna światowa.

W 1930 r. Tadeusz Okoń namalował portret prezesa Towarzystwa Rolniczego w Krakowie Jana Gumińskiego, który został właśnie odznaczony krzyżem Polonia Restituta. Można go było nosić do munduru, fraka, stroju narodowego albo ludowego. Pan Gumiński w wojsku nie służył, chłopem nie był, źle się czuł we fraku, sprawił więc sobie żółty żupan i czarny kontusz. Ubiór sarmaty najlepiej leżał jednak na lokaju Ficku i to on został modelem Okonia. W końcu i tak wszyscy, szukając podobieństwa, patrzą na twarz. A ta bez wątplenia należała do prezesa.

Staropolskie portrety są wyzwaniem dla historyka sztuki, bo często nie wiadomo, kogo przedstawiają. Jedyny zachowany

wizerunek hetmana Wincentego Gosiewskiego jest łudząco podobny do wawelskiego konterfektu Jana Ferdynanda Sapiehy. Kto komu użyczyl rysów, Bóg jeden raczy wiedzieć. Zdaniem prof. Ostrowskiego ob-raz, na wystawie „Polaków portret własny” prezentowany jako podobizna Janusza Radziwiłła, w rzeczywistości przedstawia jego śmiertelnego wroga, Bohdana Chmielnickiego.

Skoro już o antybohaterze z „Potopu” mowa – przyzwyczailiśmy się do jego sarmackiego wizerunku. Tymczasem książę Radziwiłł hołdował zachodniej modzie, dopiero zostawszy hetmanem, przepoczwarzył się we wzorcowego szlachciurę w żupanie, z podgoloną czupryną i obwisłymi wąsami. Nie zdążył się zestarzeć, zmarł w wieku 43 lat z piętnem zdrajcy. Wcześniej jednak dał się namalować Danielowi Schultzowi. Płótno, znajdujące się w białoruskim Mińsku, poddano ostatnio konserwacji. Usunięcie XIX-wiecznych przeróbek ujawniło pełnię jego artystycznych walorów. To bez dwóch zdań arcydzieło.

W identyfikacji i datowaniu powstania wizerunku pomaga obsesja, którą dawni Polacy mieli na tle tytułów, godności i urzędów, nawet tych honorowych. Jak to godzono z deklarowanym przywiązaniem do idei równości, pozostaje zagadką. Postacie z portretów z dumą prezentują atrybuty władzy (hetman buławę, kanclerz pieczęć, marszałek laskę, podkomorzy klucz, podskarbi dwa klucze skrzyżowane) i ordery otrzymane nie tylko od polskich królów.

Zwyczaj uwieczniania się w rynsztunku bojowym przyszedł z Zachodu i hołdowano mu nawet wtedy, gdy armia Rzeczypospolitej znalazła się w stanie rozkładu. Magnaci, którzy nigdy nie powąchaliby prochu, chcieli uchodzić za rycerzy. Zbroja husarska nie była pożądanym rekwizytem, chętniej pozowano w zbroi łuskowej, czyli karacenie, spopularyzowanej przez Sobieskiego. Ciekawostką są mundury przyjacielskie, modne na przełomie XVIII i XIX w. Zielone nosili przyjaciele księcia Józefa Poniatowskiego, uczestnicy hulanki w pałacu Pod Blachą.

Kultura staropolska, z powodu swej oryginalności, zawsze intrygowała cudzoziemców. Wypada więc liczyć, że książka prof. Ostrowskiego zostanie przetłumaczona na języki obce, a jej intensywną promocją zajmą się instytucje deklarujące wsparcie dla polityki historycznej państwa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Hity „Do Rzeczy” z 2013, 2014 i 2015 r.



10 najlepszych tekstów z 2015 r.

- **Niewińska** o bajkach nie dla dzieci
- **Marine Le Pen**: zakazę homoślubów
- **Semka** o Tusku-kamerdynerze
- **Lisicki** o ostatnich chwilach Jezusa i Mahometa
- Rozmowa z **Andrzejem Dudą**
- **Gmyz** odkrywa tajemnicę spalonej budki
- **Zychowicz** o hekatombie Polaków
- **Michnik** traci władzę
- **Ziemkiewicz**: to najeżdźcy, nie uchodźcy
- **Wybranowski** o Grossie, siewcy nienawiści

ISSN 2300-2034

do kupienia na prenumerata.dorzeczy.pl/



Wystarczy kilka pierwszych dźwięków gitary zagranych przez Jimiego Page'a, by prawie każdy rozpoznał „Stairway to Heaven”. Utwór po raz pierwszy pojawił się na albumie „Led Zeppelin IV” wydanym w 1971 r. przez Atlantic Records. I do dziś jest jedną z najpopularniejszych rockowych piosenek wszech czasów (choć – to ciekawostka – ta ballada nigdy nie została wydana jako singiel).

Dlatego dla niektórych wstrząsającą wiadomością musiało być to, że charakterystyczny gitarowy wstęp zabrzmiał trzy lata wcześniej, gdy swój utwór skomponował gitarzysta zespołu Spirit – Randy California. Grupa rockowa założona w Los Angeles w listopadzie 1967 r. zarejestrowała instrumentalną wersję kompozycji „Taurus” na swojej debiutanckiej płycie. Album zyskał popularność i w zestawieniu Billboard 200 wspiął się wówczas na 31. miejsce.

Gdy wysłucha się obu kompozycji – Spirit oraz Led Zeppelin – trudno nie dostrzec pokrewieństwa następujących po sobie gitarowych dźwięków. Dostrzegał je i Randy California. Gdy w 1996 r. wypuszczano reedycję debiutanckiej płyty Spirit, napisał w notkach na okładce, że ludzie zawsze pytają go o podobieństwo „Stairway to Heaven” i „Taurus”. Dodał, że Led Zeppelin w 1968 r., podczas swojej pierwszej amerykańskiej trasy, otwierali koncerty Spirit. Wiedział też, że grali z pewnością inny utwór Spirit – „Fresh Garbage”.

Wspólne koncerty w latach 1968–1969 wspominał też inny muzyk Spirit – Mark Andes. Twierdził, że „Taurus” był wówczas stałym elementem ich występów. I że publiczność świetnie go przyjmowała.

Zdaniem Bloomberg Businessweek California miał się kiedyś zaliczyć magazynowi „Listener”, że Led Zeppelin skopiowali jego piosenkę. „Faceci zarobili na tym miliony dolarów i nigdy nie powiedzieli: »Dziękuję«, nigdy nie spytali: »Czy możemy ci coś za to zapłacić?«”.

Randy California utonął w 1997 r. na Hawajach, gdy popłynął ratować syna. Jednak spadkobierca jego praw po ponad 40 latach postanowił walczyć w sądzie.

MIT WIEJSKIEJ CHATY

Dziennikarz Michael Skidmore, opiekun praw majątkowych Californi, nie miał łatwego zadania. I nie chodzi o to, że 38-sekundowa sekwencja gitarowa brzmi tak bardzo podobnie do instrumentalnego utworu „Taurus”. Trudno było przede wszystkim

Schody do sądu



Łukasz Zboralski

Wielki rockowy hit „Stairway to Heaven” nie został skradziony innemu zespołowi – orzekł sąd. Wyrok w sprawie Led Zeppelin może zmienić całą sferę sporów o kopiowanie muzyki



FOT. GEORGE DE SOTA/REDFERNS, GETTY IMAGES



przekonać innych, że dopiero po 45 latach ktoś się zorientował, iż skopiowany został element jego utworu. Była też oczywiście groźba przedawnienia się roszczeń.

A jednak w 2014 r. sprawa się rozpoznała. I szło o ogromne pieniądze. Według szacunków autor muzyki Jimi Page i Robert Plant zarobili na tym przeboju ponad 550 mln dol. Chociaż należy zauważyć, że Skidmore nie domagał się pieniędzy z przeszłości. Chciał jedynie tantiem od momentu wygrania sprawy. A pozew wpłynął akurat, gdy przygotowywano reedycję nagrań Led Zeppelin.

W 2016 r. rozpoczął się pięciodniowy proces w tej sprawie. Na przesłuchaniach stawili się nobliwi panowie w garniturach – 72-letni Jimi Page, który skomponował utwór, i 67-letni Robert Plant, który napisał do niego słowa. Sąd oddalił wówczas roszczenie Skidmore'a, ale jeden z rockowych mitów legł w gruzach. Czyli obraz tego, jak powstała legendarna piosenka.

Do tego momentu sam Page i inni muzycy podtrzymywali uroczą wersję o tym, że magiczne dźwięki przyszły gitarzyście do głowy, gdy pracował w wiejskiej posiadłości. Chodziło o Bron-Yr-Aur – czyli XVIII-wieczny dom w Walii (nazwa oznacza dosłownie „złote wzgórze”), w którym w 1970 r. Plant i Page wypoczywali po długiej trasie koncertowej w Stanach Zjednoczonych. Surowy klimat, brak wody i prądu, świece, cień celtyckich wierzeń – wszystko to miało inspirować ich do niezwykłych kompozycji. Tam miało się narodzić kilka kompozycji zarejestrowanych potem na różnych albumach Led Zeppelin (m.in. na „Led Zeppelin III”, ale i na „Houses of the Holy”, „Physical Graffiti”, „Coda”). I to tam Page miał stworzyć swoje „ukochane dziecko”, czyli „Stairway to Heaven”. Podczas procesu odtworzono wywiad, w którym gitarzysta opowiadał, że cudowny utwór powstał, gdy wraz z Plantem siedzieli przy kominku...

Jednak w trakcie zeznań Jimi Page powiedział coś, co dla wielu fanów zespołu musiało być trudne do przełknięcia – wielu z nich bowiem od lat pielgrzymowało do Bron-Yr-Aur, żeby na własne oczy zobaczyć magiczne miejsce. Gitarzysta przyznał, że piosenkę napisał inaczej i po raz pierwszy kolegom z zespołu zagrał ją w angielskim studiu nagrań Headley Garage. To miejsce, w którym od lat 60. nagrywało wiele zespołów, wśród nich były m.in. Genesis i Fleetwood Mac.

Sprawę samego autorstwa utworu muzycy Led Zeppelin wówczas wygrali.

Sąd uznał, że nie skopiowali utworu Spirit. Eksperti muzyczni dowodzili, że tego rodzaju sekwencje dźwięków używane były od 300 lat. Jednak kłamstwo o okolicznościach powstawania piosenki musiało pozostawić duży niesmak.

NUTY, A NIE NAGRANIE

We wrześniu 2018 r. trójosobowa komisja 9. Okręgowego Sądu Apelacyjnego wznowiła sprawę. Uznano, że sędzia Gary Klausner popełnił na rozprawie błędy – wydał niewłaściwe instrukcje ławie przysięgłych, niedobrze przedstawiał kwestie praw autorskich w sprawie kompozycji i że nie zaprezentowano przysięgłym utworu „Taurus”.

Adwokaci Led Zeppelin doprowadzili do ponownej oceny, w której tym razem wypowiedziała się komisja w szerszym składzie – 11 osób. Ta wydała ostateczny werdykt w marcu tego roku i przyznała rację legendarnej grupie rockowej. Uznano m.in., że utwór „Taurus” objęty jest ustawą o prawie autorskim z 1909 r., a ta chroni jedynie zapis nutowy, a nie dźwiękowy (utwory jako dystrybuowane nagrania są chronione w USA od 1976 r.), dlatego sędzia nie musiał prezentować utworu przysięgłym.

Najciekawsze jest jednak to, jak 73-stronicowa opinia potraktowała używaną często w USA w sporach o prawa autorskie „regulę odwróconego stosunku”. W skrócie to podejście orzecznictwa uznawało, że jeśli istnieją dowody na to, iż posądzony o kopiowanie autorskich treści miał dostęp do materiałów pozostającego, to zmniejszało to przed sądem wskazanie przez tego muzyka „znacznego podobieństwa” do jego utworu. Nie trzeba było więc (czasem w ogóle) wykazywać, że dzieło naruszające prawo i to pierwotne pokrywają się w wielkim stopniu.

W sprawie Led Zeppelin sędziowie zauważyli, że nieuczciwie może przynosić korzyść tym, których dzieła są powszechnie dostępne. Zaznaczono też, że w cyfrowym świecie, gdzie wszystko jest na wyciągnięcie ręki, wykazanie „dostępu” do dzieła muzycznego jest coraz bardziej rozwodnione.

To może oznaczać, że coraz trudniej będzie tym, którzy chcieliby – czasem nieuczciwie – zarobić na rzekomym podobieństwie swojego wcześniejszego pomysłu muzycznego.

A takich sporów w świecie muzycznym nie brak od dawna. Już na początku ery

rocka głośne sprawy wygrał Chuck Berry. Pozwał Beach Boys za to, że ich „Surfing USA” za bardzo przypominało jego „Sweet Little Sixteen”, i w ponownym wydaniu tego hitu w 1964 r. uznany został jako współautor. Z kolei wydawca muzyczny Morris Levy wytoczył sprawę Johnowi Lennonowi i Beatlesom za nadmierne podobieństwo „Come Together” do „You Can't Catch Me” Chucka Berry'ego. Efektem było porozumienie, na mocy którego Lennon nagrał trzy piosenki autorstwa Levy'ego.

Kopiewanie innych zarzucano zresztą wielu wielkim gwiazdom. W 2001 r. pod ostrzałem znalazł się Bob Dylan, którego oskarżano o skopiowanie w słowach piosenki fragmentów książki „Confessions of a Yakuza” autorstwa japońskiego pisarza Junichi Sagi.

Często takie spory załatwiano polubownymi rozstrzygnięciami poza sądami, a czasem nawet przyznawano się do podobieństwa, zanim nastąpił spór. Tak było np. w sprawie piosenki R.E.M. z 1998 r. zatytułowanej „Hope”. Zespół sam zauważył, że podobieństwo do piosenki „Suzanne” Leonarda Cohena z 1968 r. jest tak wielkie, iż muzycy sami przypisali Cohena jako współautora kompozycji.

Muzycy Led Zeppelin też nie po raz pierwszy zostali oskarżeni o pożyczenie sobie części czyjegoś pomysłu muzycznego. W innym swoim hicie „Whole Lotta Love” musieli po procesie jako współautora dopisać Williego Dixona, z którego kompozycji „You Need Love” (nagranej przez Muddy'ego Watersa w 1967 r.) zapożyczyli część swojej piosenki. Z kolei w rockowej wersji utworu „Babe I'm Gonna Leave You” Jimi Page przypisał sobie aranżację „tradycyjnego utworu”. W latach 80. odkryła to autorka piosenki Anne Bredon. I od lat 90. zespół uznaje jej własność oraz zapłacił jej prawa licencyjne. Z kolei „Dazed and Confused” to utwór napisany w 1967 r. przez Jake'a Holmesa, który w latach 80. próbował skontaktować się z Page'em w sprawie opisywania jego autorstwa. W 2010 r. w końcu poszedł do sądu, ale sprawa została umorzona, bo Led Zeppelin dodali przy tym utworze, że to muzyka „Jimiego Page'a zainspirowana Jakiem Holmesem”.

A jak blisko „Taurusa” jest „Stairway to Heaven”, może usłyszeć każdy, wyszukując te utwory w Internecie. Ale ostrzegam – po tym doświadczeniu „Schody do nieba” mogą już nigdy nie zabrzmieć tak samo.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Admirał Picard



★★★★★

SEZON 1
„STAR TREK: PICARD”
 USA 2020,
 DISTR. AMAZON PRIME

wyst. Patrick Stewart,
 Isa Briones,
 Michelle Hurd

Osiemnaście lat po tym, jak pożegnaliśmy się z kapitanem Picardem (kinowy „Star Trek: Nemesis”), gwiazda serialu „Star Trek: Następne pokolenie” wraca, by wziąć udział w ostatniej (?) misji. Dawny dowódca „USS Enterprise” jest już emerytowanym admirałem, którego dni płyną na doglądaniu rodzinnej winnicy. Ma psa, na którego woła Pierwszy, dużo wolnego czasu i jeszcze więcej wyrzutów sumienia.

Lata jego starości przypadły na dziwny czas: w całym znanym zamieszkanym wszechświecie obowiązuje zakaz produkcji androidów i wszelkiego sztucznego życia. Dawny druh Picarda, andro-

id Data, zginął przed laty, ratując życie swego przyjaciela. Romulanie tymczasem badają zdobyczny szescian Borgia i mieszają się z jakichś powodów (potajemnie) w sprawy Ziemi. Twarzą kłopotów jest młoda uciekinierka Dahj (a potem jej bliźniacza siostra Soji). Za sprawą grożącego im niebezpieczeństwa Picard organizuje gwiazdną wyprawę, w której towarzyszy mu mocno nietypowa załoga (a właściwie zbieranina oryginalnych typów).

Patrick Stewart, 80-latek który gra 94-latką, jest aktorem wybitnym, charyzmatycznym i kradnie każdą scenę, w której się pojawia. Twórcy nowego „Star Treka” niezbyt często korzystają



z tego skarbu. Serial najlepszy jest tam, gdzie obserwujemy interakcje Picarda z dawnymi znajomymi oraz nowymi sojusznikami. Szczególnie ciekawe są chwile, w których on sam (lub napotkani inni bohaterowie) spogląda z dystansem na dawne dokonania i próbuje je przewartościować. Tam, gdzie pojawiają się galaktyczne spiski, złowieszcze prorocstwa i groźba zagłady wszelkiego życia, zaczynamy lekko ziewać, bo po pierwsze – jest to dużo mniej interesujące, a po drugie – sensu za wielkiego nie ma.

Ta dwoistość zawsze obecna była w „Star Trekach”. Tam, gdzie serial dawał dobrym aktorom ciekawe postaci do zagrania, tam wynosił go ponad średnią. W innych chwilach ześlizgiwał się w rozważania o sensie życia na poziomie gimnazjum. Oprócz Stewarta warto pochwalić Isę Briones jako Soji oraz Michelle Hurd w roli Raffi, dawnej podwładnej Picarda. Ważna wiadomość dla fanów „ST: Następne pokolenie” – trochę się naczekać, ale zobaczycie kilka dobrze znanych postaci z serialu plus jedną z „ST: Voyager”. ©©



NOWE SERIALE: „BREWS BROTHERS”

Ośmiuodcinkowy serial komediowy o braciach, którzy na temat warzenia piwa wiedzą wszystko, nie wiedzą tylko, jak się porozumieć, by uratować rodzinny browar. Produkcja wymyślona przez doświadczonych speców od rośmieszania: Jeff Schaffer pracował m.in. przy „Kronikach Seinfelda”, a jego brat Greg przy „Różowych latach 70.”

Grający jedną z głównych ról Alan Aisenberg znany jest m.in. z „Orange Is the New Black”, partnerujący mu Mike Castle grywał dotąd głównie epizody, a piękna Carmen Flood debiutuje. ©©

Piotr Gociek

• „Brews Brothers”, sezon 1, USA 2020, dystr. Netflix, premiera: 10.04, wyst. Alan Aisenberg, Mike Castle, Carmen Flood

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- „American Woman”, reż. Jake Scott, USA 2018, Cinemax, premiera: 5.04
- „Doc Martin”, sezon 9, Wielka Brytania 2019, Netflix, od 10.04
- „Boże Ciało”, reż. Jan Komasa, Polska 2019, Canal+, od 12.04

Kowboje Pacyfiku

player

Na rozgrzewkę nałot na Pearl Harbor; potem bombardowanie Tokio i bitwa na Morzu Koralowym. „Midway” rozpędza się powoli, minie godzina seansu z hakiem, zanim rozpocznie się tytułowa batalia. „Przebudziliśmy śpiącego olbrzyma. Wpadł w straszny gniew” – martwi się adm. Yamamoto. „Dostał pan najtrudniejsze zadanie na świecie” – słyszy jego przeciwnik, adm. Nimitz. Na szczęście morale jest wysokie jak Mount McKinley. Amerykańscy lotnicy i marynarze prześcigają się w ofiarności i waleczności. „To chyba najodważniejszy czyn, jaki widziałem” – komentuje zszokowany oficer. Gdyby obejrzał cały film, dopiero by się zachwycił.

Rekordy skuteczności bije Dick Best – chwacki pilot, zarażający kolegów „kowbojską fantazją”. Sam jeden zatapia dwa lotniskowce wroga. Takie produkcje łatwo jest obśmiać, ale Emmerich wie, co robi. Kino wojenne, jeśli nie chce



★★★★★
REŻ. ROLAND EMMERICH
„MIDWAY”
USA/CHINY 2019,
DISTR. MONOLITH,
DVD/BLU-RAY,
STREAMING
CINEMAN.PL

wyst. Ed Skrein,
Patrick Wilson,
Woody Harrelson

być pacyfistycznym manifestem ani dramatem egzystencjalnym, musi stawiać na widowiskowość. „Midway” w gorszych momentach przypomina grę komputerową, w lepszych – „Najdłuższy dzień” i „Operację »Pacyfik«”. Chińczycy dołożyli się do budżetu, więc pokazano ich jako sojuszników, ale i Japończycy nie mają powodu do obrazu. Historycznych herezji brak, nauczyciele i uczniowie śmiało mogą oglądać. ©©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

HISZPAŃSKI KSIĘŻYC

Komedia romantyczna z czasów, gdy nie znano jeszcze takiego terminu. Inżynier z Detroit udaje się na pierwsze w życiu wakacje i na granicy francusko-hiszpańskiej spotyka miłość swego życia. Niestety, wybranka jest złodziejką, która oprócz serca kradnie mu samochód i podrzuca do kieszeni marynarki bezcenny naszyjnik z pereł. „Pokusę”, ogrywającą stereotyp o prostodusznych Amerykanach i zblazowanych Europejczykach, nakręcono, by 35-letnia Marlene Dietrich mogła zerwać z wizerunkiem femme fatale. To nie znaczy, że gra dziewczynę z sąsiedztwa. Fałszywa hrabina w każdej scenie pojawia się w nowej, coraz bardziej wymyślnej kreacji. Chociaż materiałem wyjściowym była stara jak świat niemiecka farsa, to dialogi brzmią zaskakująco współcześnie, zwłaszcza gdy zawierają aluzje do sytuacji politycznej z 1936 r. W pamięci pozostają też wyskubane brwi Marlene, oldskulowe auta i papierosy, które bohaterowie palą namiętnie i prawie bez przerwy.



wyst. Marlene Dietrich,
Gary Cooper, John Halliday

★★★★★
REŻ. FRANK BORZAGE
„POKUSA”
(„DESIRE”)
USA 1936,
FILMOSTRADA,
DVD

NUMER Z RYBĄ

vod.pl

Profesora literatury, który ze wschodzącej gwiazdy uniwersytetu zamienił się w meteor, nęka koszmarny sen o kobiecie padającej ofiarą rytualnego mordu. Okazuje się, że był to sen proroczy. Samuel wchodzi na ścieżkę, którą przed nim podążali Szekspir, Milton, może i sam Dante. Film najbardziej wstrząśnie fanami greckiej mitologii, wierzącymi, że muzy są słodkimi istotkami z orszaku Apollina. Balagueró demaskuje ich prawdziwą naturę: to krwiożercze wiedźmy, które wykorzystują poetów, by przeniknąć do naszego świata. Finał rozegra się – jakżeby inaczej – w opuszczonym zakładzie dla obłąkanych. Zaiście, wzruszająca jest wiara w potęgę słów, które mogą zabijać, ale i wskrzeszać (głos muzy sprawia, że śnięta ryba łapie oddech). Ogląda się ten stylowy horror całkiem dobrze, choć cała historia jest pozbawiona sensu i elementarnej logiki. ©©



★★★★★
REŻ. JAUME BALAGUERÓ
„MUZA” („MUSE”)
HISZPANIA/
IRLANDIA/BELGIA/
FRANCJA 2017,
KINO ŚWIAT

wyst. Elliot Cowan, Ana Ularu, Franka Potente

recenzuje Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „DOOM ETERNAL”

Piekłne hordy, mroczne światy oraz brutalna, pędząca w szaleńczym tempie akcja. „Doom Eternal” – bezpośrednia kontynuacja wznawienia kultowej strzelanki z 2016 r. – to fenomenalna rozrywka dla fanów gatunku, w której łatwo się zatracić. W grze poprawiono projektowanie

poziomów, dodano nowy arsenał – w tym ulepszenia pancerza i większą mobilność bohatera – oraz bardziej wymagających przeciwników, których wyeliminowanie będzie wymagało odrobiny strategii. Zwłaszcza że w nowym „trybie inwazji” można wcielić się w demona, który przeszkadza



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

innym graczom. Udany hold złożony pierwotworowi sprzed 26 lat. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Akcja/FPS
- **Platforma:** PC/XONE/PS4/Switch
- **Producent, dystrybutor:** Bethesda Softworks/Cenega
- **PEGI:** 18+



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Rok nie wyrok

Nasz nieoceniony Sejm ogłosił bieżący rok Rokiem Leopolda Tyrmanda. Za to – mogliśmy przeczytać w stosownej uchwale – że zachował niezależność intelektualną, i to w czasach najtrudniejszych. „Pisarstwo Tyrmanda i jego postawa były jak wyzwanie rzucone ideologom nowego ustroju. Był nie tylko bezlitosnym krytykiem komunizmu, ale także arbitrem warszawskiej elegancji, znawcą i namiętnym propagatorem zakazanego w czasach stalinowskich jazzu”.

Powiedziałbym: jakie czasy, taki Petroniusz. Użał się nad sobą Tyrmand, przybierając maskę nadwiślańskiego Hioba. Bez przesady; szpanując swoim oplem, którego nie bardzo potrafił prowadzić, czy zachwycając się kochanym kupionej koszuli, krojem marynarki albo szerokością nogawek spodni, nie wyglądał na kogoś, do kogo pasowałby sławny dwuwiersz, będący w tym momencie autocytatem:

*... i poszedł z grabkami i kosą
I w dupę jebany i bosu.*

Wiele osób obsmarował w „Dzienniku 1954”, także swoich przyjaciół, a jeżeli przyjmiemy, że żadnych przyjaciół poza sobą nie miał, to tych, którzy z różnych powodów za takich się uważali. Takich jak Olgierd Budrewicz, który posłużył mu jeszcze do sporządzenia w „Życiu towarzyskim i uczuciowym” portretu cynicznego i całkowicie pozbawionego charakteru dziennikarza oraz podróżnika. Odpłacił mu potem w wydanych na początku obecnego wieku wspomnieniach „Byłem wszędzie”. Bądźmy jednak sprawiedliwi – ilu książka ta miała czytelników, a ilu czytało Tyrmanda? W każdym razie ten ostatni to w książce Budrewicza, twórcą własnego mitu – wysoki blondyn, wielki pisarz, amant, nieustraszony rycerz walki z komunizmem. W Polsce wstydlawie ukrywał istnienie matki



FOT. ARCHIWUM MARIUSZA URBANEA

w Izraelu i w ogóle swoją żydowskość, a kiedy wyjechał do Ameryki, »katolicki« pisarz zapomniał o chrześcijaństwie. »... mówiono w Warszawie, że trzymał go do chrztu Kisiel, ale chrzest się nie przyjął« – napisał Budrewicz.

Jedna z jego żon utrzymywała, że był najbardziej zabawnym człowiekiem, jakiego znała. Bardzo być może, ale poczucie humoru miał wybiórcze. Dokładnie rzecz ujmując, cierpiał na stosunkowo częstą przypadłość, czyli absolutny brak dystansu do siebie samego. Tyle że to, na ile był człowiekiem w życiu nieznosnym, nie ma najmniejszego znaczenia. Istotne jest za to, co pozostawił po sobie w literaturze. Otóż, powiada Mariusz Urbanek we wstępie do nowego wydania „Złego Tyrmanda”: „przetrwą jako autor »Złego«, dopóki mit tej książki nie zostanie ostatecznie odczarowany albo równie ostatecznie unieśmiertelniony (i zawłaszczony) przez zapowiadaną od lat ekranizację powieści. Choć nikt już raczej nie ma złudzeń, że polska literatura bez powieści Tyrmanda, nawet bez

tej najlepszej, czyli »Filipa«, nieco wymuszonej, za to z kluczem, czyli »Życia towarzyskiego i uczuciowego«, a nawet bez najpopularniejszej – właśnie »Złego«, świetnie się obejdzie”.

A cóż dopiero bez np. „Wędrówek i myśli porucznika Stukułki”, dzieła zakrojonego – jak utrzymywał Zdzisław Najder – „na wielką powieść filozoficzną, taką spowiedź dziecięcia wieku. Chciał napisać coś bardziej ambitnego niż »Zły«, ale utknął. Wziął na plecy zbyt wielki bagaż, którego nie zdołał unieść”.

Był Najder jedną z wielu osób, które opowiedziały Mariuszowi Urbanekowi o autorze „Złego” takim, jakim go zapamiętali, a to wcale nie znaczy, że taki właśnie był. I to te rozmowy w dużej mierze decydują o wartości przypominanej teraz przez Iskry, rozszerzonej wersji książki Urbanka (chyba najlepszej w jego dorobku).

A czy w historii pozostanie Tyrmand-publicysta? „Autor – cytuję Urbanka – przede wszystkim »Dziennika 1954«, »Cywilizacji komunizmu«, »Fryzur Miecysława Rakowskiego«, »Zapisków dyletanta«. Tym chętniej przywoływany i cytowany, im mniej czytany”. Nie byłbym pewny, niezależnie od tego, że Henryk Dasko ustalił autentyczność zapisków Tyrmanda poczynionych naprawdę w roku 1954, a nie później. Dasko nie Krzyżanowski, a co do reszty to – jak mówił Kisiel – w języku polskim słowa „cywilizacja” i „komunizm” się wykluczają; niedługo nikt nie będzie pamiętał, kim był Rakowski; „Sprawa Piaseckiego”, artykuł Tyrmanda zamieszczony w tygodniku „Świat” w listopadzie 1956 r., wciąż pozostaje jednym z najobrzędliwszych tekstów w całości obrzydliwej przeciw epoki PRL; i wreszcie w 1968 r. twórca „Złego” rzekł się polskiego obywatelstwa. Owszem, w roku wstępnym. Także. ©



★★★★★
**MARIUSZ
URBANEK**
„ZŁY TYRMAND”
ISKRY 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Spowiedź Polkowskiego

Piękne są w tej książce wspomnienia z dzieciństwa. Opowiadając o Nowej Hucie, o ludziach, o chwilach, Jan Polkowski mówi, jakby pisał wiersz. Zdaje się momentami, że to szkic do autobiografii z lat dzieciennych, frazy są przemyślane i doszlifowane, kryje się w tym moim zdaniem osobna książka. W wielu miejscach podczas lektury miałem takie wrażenie. Wywiad rzeka przeprowadzony przez Piotra Legutkę dotyka tyłu spraw, że niejeden rozdział mógłby stać się ziarnem osobnej opowieści.

Jakże różnych opowieści, dodajmy, bo oprócz Polkowskiego poety dostajemy wspomnienia z czasów, gdy kierował konserwatywnym dziennikiem „Czas”, i zwięzłe wyliczenie przeciwności, z którym zmagać się musiała gazeta przez Michnika nazywana „faszystowską szmatą”. Wnikliwe uwagi na temat publicznej telewizji, ale i szerzej: stanu współczesnego dziennikarstwa w Polsce. Polkowski jest świadkiem historii w istotnych momentach. Maszeruje ulicami Krakowa w proteście po zamordowaniu przez SB Staszka Pyjasa. Organizuje podziemne wydawnictwo. Jest rzecznikiem rządu Jana Olszewskiego. Widzi, jak rodzą się pomysły

i idee, które kształtować będą III RP, bo zna osobiście najważniejszych aktorów sceny politycznej. Oznacza to także wielkie rozczarowanie, bo lista tych, którzy zapowiadali się dobrze, zaczynali ambitnie, lecz niszczyła ich miłość do aplauzu, który zagwarantować mogły tylko samozwańcze elity III RP, samozwańczy salon, który okazał się także grupą samozwańczych właścicieli nowego państwa.

Przez wielu uważany za najwybitniejszego żyjącego polskiego poetę, nigdy nie zgodził się na druk w czasach PRL. Zamiast na Gombrowicza powołuje się na Żeromskiego. Jego diagnozy dotyczące rzeczywistości



★★★★★
JAN POLKOWSKI
„RYZIKO BYCIA POLAKIEM”
INSTYTUT
LITERATURY 2019

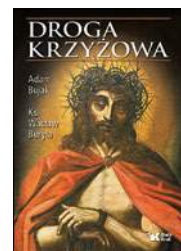


★★★★★
WOJCIECH KUDYBA
„PAMIĘĆ I GODNOŚĆ”
IPN 2019

bliskie są tym, które stawiają myśliciele konserwatywni. Nic więc dziwnego, że po 1989 r. częściej próbowano go zamilczeć lub zakrzyczeć, zamiast czytać i analizować. niesprawiedliwość tę naprawia Wojciech Kudyba książką „Pamięć i godność. O poezji Jana Polkowskiego”. Warto czytać je razem: „Ryzyko bycia Polakiem” oraz „Pamięć i godność” ukazały się zresztą niemal jednocześnie i świetnie się uzupełniają. Ta ostatnia to owoc współpracy IPN i Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji, jedna z pozycji w serii „Literatura i pamięć”. ©©

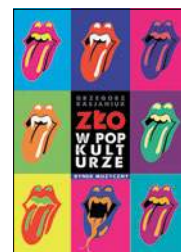
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Na drodze krzyża nie ma wielkiego tłoku, bo współczesny człowiek chce mieć życie łatwe i przyjemne” – rozpoczyna swe rozważania ks. Buryła. Poruszająca medytacja nad męką, śmiercią i zmartwychwstaniem. Zdjęcia: Adam Bujak.



ADAM BUJAK,
KS. WACŁAW BURYŁA
„DROGA KRZYŻOWA”
BIAŁY KRUK

Satanizm muzyków rockowych to nie tylko „kostium estradowy”, nie każda piosenka przywołująca postać Jezusa to wyznanie wiary, a popkultura zbyt często zamienia się w antykulturę. Kasjaniuk zmusza do myślenia.



GRZEGORZ KASJANIUK
„ZŁO W POPKULTURZE. RYNEK MUZYCZNY”
FRONDA

Wznowienie obszernej, znakomicie udokumentowanej biografii polskiej świętej. Życie, objawienia, dzieje powstania „Dzienniczka”, postać ks. Sopočki, historia beatyfikacji i kanonizacji. Ważna, jedyna taka książka.



EWA K. CZACKOWSKA
„SIOSTRA FAUSTYNA”
ZNAK

Zamknięcie dystopijnej trylogii metafizycznej noblisty. To, co duchowe, wymyka się rozumieniu, a David (powieściowy odpowiednik Jezusa) znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. A prawdziwy Jezus? ©©

poleca Piotr Gociek



J.M. COETZEE
„ŚMIERĆ JEZUSA”
ZNAK

KOMIKS TYGODNIA:

„MYSZART”

W tej inteligentnej zabawie z historią i muzyką Mozart jest małą utalentowaną myszką (tytułowym Myszartem), Salieri wilkiem, w którego fortepianie Myszart zamieszkuje, zaś wiedeński dwór to barwna menażeria pełna zwierząt rozmaitych. Autor rysunków, Gradimir Smudja, znany jest już w Polsce z edukacyjnego komiksu „Z biegiem sztuki” o dziejach malarstwa od groty w Lascaux do Picassa. „My-



THIERRY JOOR,
GRADIMIR SMUDJA
„MYSZART”
EGMONT 2020

szart” jest dziełem równie godnym uwagi, świetną i mądrą rozrywką dla całej rodziny. W przygotowaniu tom drugi: „Myszart w Wenecji”. ©©

poleca Piotr Gociek



FOT. ALESSANDRA GRONOWSKA

Plany na kwarantannie

Justyna Jary nie wygrała ubiegłorocznych debiutów na festiwalu w Opolu, ale oryginalną piosenką „O/Ja” zrobiła wokół siebie sporo szumu. „Gotowy materiał na hit!” – przesądzały nagłówki, a słuchacze ruszyli na poszukiwania dotychczasowej twórczości Justyny.

„O/Ja” to jej solowy debiut. Energetyczny utwór

jest mieszanką stylów i technik wokalnych z białym śpiewem włącznie. Folk jest zresztą jedną z inspiracji Justyny od początku jej artystycznej działalności.

Justyna Jary śpiewa, pisze teksty piosenek i tworzy do nich muzykę. Jest instruktorką wokalną i teatralną. Przez sześć lat

była związana z teatrem Gardzienice.

Jeśli chodzi o solową twórczość, to oprócz „O/Ja” nie ma jeszcze nic. To znaczy jest, ale w trakcie tworzenia. Materiał na płytę dojrzewa już dość długo, wstępne założenia były takie, że ukaże się jesienią ubiegłego roku. Nie udało się. A teraz plany znów się

komplikuja. „Nie stękam i nie ojojам, chociaż myślę sobie, że każdy z nas ma teraz do stękania i ojojania święte prawo. Zastanawiam się tylko, co to będzie? I jak tu się odnaleźć? Misternie utkane plany wypuszczenia materiału, nad którym pracowałam ponad dwa lata, idą... na kwarantannę... No i jasne, że się tworzą nowe plany, ale jednak trochę strach i niepewność zaglądają w oczy” – napisała w połowie marca na Facebooku.

Jeśli chodzi o działalność przed solową karierą, to Justyna brała udział w kilku projektach. Z założonym przez siebie zespołem PompaDur nagrała album „Krwawe ballady”. Punktem wyjścia były podwórkowe ballady, w których trup ściele się gęsto, siekiera miękko wchodzi w czaszkę, a nóż w serce. Makabryczne historie opowiedziane w rytm skocznej muzyki. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ
BRZOWICZ

NA SŁUCH

Wirus wielkości

Jedyni pionierzy muzyki grunge pozostający do dziś w rockowej elicie na 11. albumie studyjnym utyskują nad kondycją współczesnego świata.

Debiutancka płyta Pearl Jam, „Ten” z 1991 r., osiągnęła ponad 16 mln nakładu. Po zniknięciu Nirvany grupa stała się liderem grunge’u.

Zaangażowany „Gigaton” mierzy się z problemem zmiany klimatu. Tytuł odnosi się do gigantycznych mas lodu traconych przez ziemskie bieguny. Zgrozę podkreśla okładka z topniejącym lodowcem i zamierającym encefalografem. Teksty przepełniają apokaliptyczne obrazy o słabej kondycji ludzkości. Nie mogło zabraknąć Trumpa, przy którego wspomnianiu Vedder efektow-

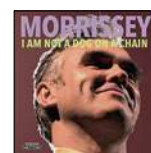
nie się gotuje. Niestety, w dobie koronawirusa trudno doszukać się w tych przesłaniach choćby krztyny oryginalności.

Muzycznie momentami jest niezłe. „Who Ever Said” posiada motorykę rodem z dokonań The Who, a w singlowym „Dance of the Clairvoyants” dodatkowo usłyszymy echa produkcji Davida Byrne’a. Przyjemnie wypadają ballady: springsteenowska „Seven O’Clock” i mroczna, oparta na brzmieniu fisharmonii „Retrograde”. Pozostałe utwory brzmią mniej lub bardziej szablonowo. Od płyty nagrałej po siedmioletniej przerwie oczekiwałamby znacznie więcej. Wygląda na to, że Pearl Jam, tak jak wcześniej U2, uwierzyli, że są tak wielcy, iż mogą zmieniać świat. A to jest już choroba. ©©



★★★★★

PEARL JAM
„GIGATON”
MONKEYWRENCH



★★★★★

MORRISSEY
„I AM NOT A DOG ON
A CHAIN”
BMG

„Nie czytam gazet / wpędzają w kłopoty” – śpiewa w utworze tytułowym i wspomina czasy licealne. Dlatego zaprosił do współpracy Thelmę Houston, dawną gwiazdę disco. Morrissey jest sarkastyczny, przestraszony, poddańczy, a czasem buntowniczy. Nic nowego.



★★★★★

TAMIKREST
„TAMOTAIT”
GLITTERBEAT

Grupa Tuaregów, ludu bez ojczyzny, nagrała album pt. „Nadzieja na pozytywną zmianę”. Jego „marlejska” uniwersalność wraz ze współczesnym brzmieniem zaintrygowały globalną publiczność. Wśród gości Marokanka Hindi Zahra i japońscy instrumentalci. ©©



FOT. DAVID J. PHILLIPS/GETTY IMAGES

Ów ohydny mord



Grzegorz Brzozowicz

W piątek 27 marca czasu wschodnioamerykańskiego, o północy, Bob Dylan opublikował na kanale YouTube premierową piosenkę, pierwszą od ośmiu lat. Jest to najdłuższy utwór w jego karierze i dotyczy zabójstwa Johna Fitzgeralda Kennedy'ego, 35. prezydenta Stanów Zjednoczonych

lub tylko ich wersy. „Ciszej nadchodzą, będą trzymać was za rękę”. Pojawienie się Wielkiej Czwórki w Ameryce na początku 1964 r. było lekarstwem, które pomogło młodemu wyrwać się z narodowej depresji. „Jadę do Woodstock, to epoka Wodnika. Potem pójdę do Altamont i stanę przy scenie”. Wymienione festiwale, które dzieliły zaledwie cztery miesiące 1969 r., dziś symbolizują apogeum i upadek kultury hipisowskiej.

W trzeciej części Dylan powraca do Dallas. Wciela się

w Kennedy'ego: „Jadę na tym samym siedzeniu obok mojej żony / Kieruję się prosto ku życiu pozagrobowemu / Przechylam się w lewo / Mam głowę na jej kolanach”. Następnie przyjmuje punkt widzenia zamachowca albo raczej zamachowców. Wypowiada się konspiracyjnie, jak detektyw rozwiązujący tajną intrygę. Według biografii Roberta Sheltona „Bob Dylan: No Direction Home” muzyk już trzy miesiące po zamachu objechał trasę, którą prezydencki lincoln przebył w Dallas. Już wtedy był przekonany, że Lee Harvey Oswald nie działał

sam. „W dniu, w którym go zabili, ktoś powiedział do mnie: »Synu, czas Antychrysta dopiero się zaczyna«”.

W czwartej części, po słowach: „Powiedziałem, że dusza narodu została rozdarta / I zaczyna się powoli rozpadać / I to się stało po trzydziestu sześciu godzinach od Dnia Sądu”, utwór przybiera modlitewny charakter. Tekst staje się symboliczny, a zarazem mocno pogmatwany. Dylan przywołuje prezentera radiowego Wolfmana Jacka, którego prosi o zagranie piosenek o morderstwach, ale też hymnu „The Old Rugged Cross”. Wymienia długą listę utworów, które zbudowały amerykańską świadomość w XX w. Pojawiają się gwiazdy kultury popularnej, takie jak: Buster Keaton, Harold Lloyd, Art Pepper, Oscar Peterson, Stan Getz, Charlie Parker, Nat King Cole, Marilyn Monroe, John Lee Hooker, Patsy Cline czy Houdini. Wymienia dzieła literackie („Kupiec wenecki”), filmy („Ptasznik z Alcatraz”, „Cały ten zgiełk”) i dziesiątki tytułów piosenek... W piątej części, pośród tej wyliczanki, Dylan śpiewa: „Love Field to miejsce, na którym wylądował jego samolot, ale nigdy już nie oderwał się od ziemi. [...] Zabili go na ołtarzu wschodzącego słońca”.

Zabójstwo J.F.K. według Boba Dylana ma wielkie znaczenie dla dzisiejszych czasów. Zagłada i odkupienie ponownie stały się aktualnym tematem. „Tysiące patrzyły, nikt nic nie widział / To wydarzyło się tak szybko, tak niespodziewanie, tuż przed oczami wszystkich / Największa sztuczka magiczna, jaka kiedykolwiek była pod słońcem / Doskonale wykonana”. Tekst tego monumentalnego utworu natychmiast elektryzował dylanologów. Długo czekali na nową piosenkę, a ta do tego zawiera tak wiele znaczeń i tropów, że będą się mogli o nie spierać latami.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Rafał A. Ziemkiewicz

Albo będziemy mieli prawdziwą republikę, albo wpadniemy w rządy oligarchów, a ludzie będą wybierać tylko między różnymi przedstawicielami tej samej elity

Liberalna demokracja zaczęła żyć problemami urojonymi. Europosłanka Sylwia Spurek w czasie pandemii pisze o pracach nad dyrektywą zakazującą nazywania wegańskich dań w sposób, który kojarzy się z mięsnymi potrawami

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP



Co po demokracji?

Mało co brzmi dzisiaj równie zabawnie jak tezy Francisa Fukuyamy sprzed 30 lat, że „demokracja liberalna” jest końcem historii. Czyli że ludzkość znalazła w niej ostateczną, doskonałą formę ustrojową i choć można oczywiście cofać się na drodze postępu, to poprawić doskonałego ustroju już się nie da.

Pastwienie się dziś nad teorią, której wystarczająco dobitnie zaprzeczyła rzeczywistość, wydaje się zbyt łatwe, ale bez wskazania, gdzie popełniano błędy (bo w swej wierze w ostateczność demokracji liberalnej Fukuyama okazał się bardzo wpływowym „trendsetterem”), nie będziemy wiedzieli, czego się spodziewać w przyszłości. A od dawna nie było to dla nas tak ważne.

Fukuyama wysnuł ową tezę praktycznie z jednej tylko przesłanki: tej, że demokracja liberalna zwycięsko wyszła z konfrontacji z komunizmem w jego sowieckim wydaniu. Pomińmy już, że

triumf nad komunizmem po upadku ZSRS ogłoszony został przedwcześnie – Kubę, Koreę Północną czy Wenezuelę można było oczywiście pominąć, ale chińska wersja komunizmu okazała się dużo odporniejsza na gospodarcze wyzwania od rosyjskiej.

Fukuyama, a za nim na wiele lat elity polityczne i opiniotwórcze, uznał jednak, że sukces gospodarczy i niesiony przez Zachód dobrobyt przyniosą Chinom oraz wszystkim innym demokrację same z siebie. Tak jak stało się to w azjatyckich „tygrysach” – gdy ludzie lepiej żyją, zaczynają domagać się kontroli nad władzą. To przekonanie prowadziło do hojnego obdarowywania kredytami Jelcyna, a potem Putina, oraz intensywnego handlu z Chinami. Niestety, poszło inaczej, niż miało.

DOBROBYT I ROZKŁAD

Okazało się za to, że dobrobyt w krajach demokratycznych bynajmniej nie umacnia demokracji, tylko prowadzi do

jej powolnego rozkładu. Przede wszystkim poprzez pozbawienie jej odporności na trudne wyzwania.

Dzisiaj, w dobie epidemii, widać to szczególnie wyraźnie. Policzono, że pół wieku temu w USA wskutek chorób zakaźnych umierało 200 osób na 100 tys. mieszkańców. Gdyby dziś spełniły się najczarniejsze przepowiednie co do epidemii COVID-19, ten wskaźnik wyniósłby 70. I nikt nie ma wątpliwości, że wywołałoby to straszliwe wstrząsy społeczne.

Użyję innego przykładu. W drugiej wojnie światowej ginęły co miesiąc tysiące, a czasami dziesiątki tysięcy amerykańskich żołnierzy i społeczeństwo znosiło tę ofiarę bez sprzeciwu. W czasie wojny wietnamskiej straty o rząd wielkości niższe spowodowały bunt i haniebną kapitulację, dokładnie jak przewidywał to Ho Chi Minh: jeśli za każdym 10 zabitych Wietnamczyków będziemy zabijając jednego Amerykanina, to Ameryka długo tego nie wytrzyma.



Komuniści rzucili światowe mocarstwo na kolana rękami jego własnych mediów – widok wracających do kraju trumien, bez względu na ich liczbę, okazał się dla demokratycznego społeczeństwa nie do wytrzymania. Podobnie jak dziś nastroje określają zdjęcia hangarów czy lodowisk przerobionych na składowiska trumien, a nie statystyki. Z lekcji Wietnamu Amerykanie wyciągnęli wnioski – podczas następnych wojen zadbali o ścisłą cenzurę mediów. Nie ulega kwestii, że prędzej czy później demokratyczne rządy krajów zachodnich uznają, iż aby ocalić demokrację, trzeba skończyć z wolnością słowa i zapanować nad przekazem mediów, by nie siały w społeczeństwie paniki prowadzącej do chaosu.

To jednak odpowiedź niewystarczająca. Rzecz nie w niszczących porządek emocjach generowanych przez media, ale w zanikaniu w liberalnej demokracji powodów, w imię których umiała się kiedyś przed niszczącymi emocjami opierać.

Kardynał Richelieu napisał kiedyś, że gdy poddanym zaczyna się powodzić za dobrze, zapominają o swoich obowiązkach wobec królestwa. Jego słowa doskonale się po wiekach sprawdziły. Półwiecze pokoju i dobrobytu zamieniło zachodnie społeczeństwa w, za przeproszeniem, bandę beztroskich głupków, po prostu niepojmujących, że istnieją prawdziwe zagrożenia i że coś może się im stać naprawdę, bez możliwości zresetowania sytuacji i zaczęcia od nowa. „Państwo dobrobytu” ze wspólnego dobra zamieniło się w uniwersalne rozgrzeszenie każdej lekkomyślności – nie będzie źle, coś wymyślą. Symbolicznym obrazem epidemii pozostanie dla mnie film bodajże z Nowego Orleanu, na którym policjanci beznamiętnie próbują przez megafon wyperswadować balującemu w licznych kawiarnianych ogródkach i pubach tłumowi, że jest epidemia... A rozbawieni klienci wyśmiewają ich albo demonstracyjnie tańczą do rozbrzmiewającej wesołej muzyki.

WYDRAŻENIE Z WARTOŚCI

Demokracja liberalna – czego entuzjasci Fukuyamy nie chcieli widzieć – przez swą „liberalność” wydrążyła się z wartości. Rozdęła formalną stronę ustroju, w założeniu gwarantującego wolność, aż do absurdu, np. zakazując polemiki z najbardziej nawet rozkładowymi, noowymi ideologiami jako „dyskryminacji”,

a katalog „praw człowieka” rozszerzając o prawo do różnych form nieliczenia się z dobrem innych i całej społeczności.

Ponieważ postęp techniczny zdjął krajom rozwiniętym z głowy większość dawnych problemów, demokracja liberalna zaczęła żyć problemami urojonymi – „globalnym ociepleniem” czy wprowadzaniem do różnych języków żeńskich form nazw zawodów i zajęć. Europośtanka Spurek, która podczas szalejącej epidemii ze śmiertelną powagą chwali się w mediach społecznościami postępowymi prac swojej komisji europarlamentu, dopracowującej ostrą dyrektywę przeciwko nazywaniu potraw wegetariańskich i wegańskich w sposób kojarzący się z potrawami mięsnymi (nareszcie Unia robi porządek z wegeburgerami czy kiełbaskami sojowymi!), pokazuje doskonale, do czego nadaje się dziś urządzenie społeczne uznane przez Fukuyamę za ukoronowanie całej ludzkiej historii politycznej.

Jeśli demokracja w wersji „liberalnej” doprowadziła do zaniku poczucia wartości, które miała chronić, i do tak powszechnej infantylizacji życia publicznego, że wyborcy przestali być zdolni do pełnienia funkcji obywateli, „demosu”, a stali się, tak jak w klasycznej powieści H.G. Wellsa, beztroskimi „elojami”, niezdolnymi nie tylko mierzyć się z problemami i zagrożeniami, lecz także nieumiejącymi ich nawet zauważać, to jej upadek wydaje się oczywisty. Pytanie: Na rzecz czego?

„POPULIZM”, CZYLI DEMOKRACJA RATOWANA

Tracąca w ostatnim dziesięcioleciu „rząd dusz” warstwa „oświeconych i uprawnionych do rządzenia” – jak pozwalał mi się nazywać – „liberalistokracja” w swych rozpaczliwych filipikach przeciwko rodzącemu się nowemu porządkowi ukuła obelgę „demokracja nieliberalna”. Demokracja nieliberalna to Trump, to Salvini, to środkowa Europa z Kaczyńskim i Orbánem; wymiennie nazywana jest też na salonach „populizmem”. To, co uprzywilejowanym wydaje się populizmem, w istocie jest właśnie demokracją jako taką czy raczej odruchem jej ratowania. Jeszcze gdy nikt nie spodziewał się wyzwania w postaci pandemii, w społeczeństwach zachodnich narastało poczucie, że elity świata zachodniego się nie sprawdziły, że nie panują nad sytuacją.

To był zdrowy odruch, dający szansę na wyłonienie elit nowych. Czy przyszedł wystarczająco wcześniej i dał wystarczające efekty? Właśnie mamy test. Jeśli „populiści” zostaną teraz przez społeczeństwa dobrze ocenieni i nagrodzeni mandatem do sprawowania władzy, to odpowiedź na tytułowe pytanie brzmieć będzie: „Po demokracji – republika”. I to będzie odpowiedź dobra.

Jest jednak też, bo zawsze jest, czarny scenariusz. A tym jest umocnienie oligarchii opartej na egoizmach międzynarodowych korporacji. Obok rządów są to jedyne dzisiaj organizmy dysponujące wystarczającymi zasobami, żeby przetrwać najgłębszy nawet kryzys i umocnić się w nim. Załamanie gospodarcze zawsze, w każdych czasach, ma niestety ten sam skutek: drobni właściciele bankrutują, ich własność przejmują magnaci i wczorajsza klasa średnia staje się klientelą możnowładców, całkowicie od nich uzależniona. A jeśli warstwa kliencka obdarzona jest prawami politycznymi, to – jak pokazała historia Rzymu czy Rzeczypospolitej Obojga Narodów – procedury demokratyczne stają się fikcją i fasadą dla rządów oligarchicznych, nominalni zaś władcy – czy nazwiemy ich konsulami, czy królami, czy prezydentami – popadają w uzależnienie od tych, którzy kontrolują zasoby.

Wieszczenie dziś, w dobie kryzysu, końca demokracji jest równie łatwe, jak 30 lat temu łatwe było ogłaszanie jej punktem dojścia dziejów cywilizacji. Nie ma to wiele sensu. Ma sens wskazanie, jak może demokracja upaść. Odpowiedź, udzielana przez upadającą liberalistokrację, jest – tak jak zresztą wszystko, co ma ona do powiedzenia – głupia. Prezydent Francji Macron ujął ją w słowach: „Od koronawirusa gorszy jest wirus nacjonalizmu”.

Elity „demokracji liberalnej” wciąż tkwią myślami w swych czasach założycielskich, czasach Dreyfusa. Tymczasem właśnie to, co nazywają one „nacjonalizmem”, czyli odbudowywanie wspólnoty politycznej na poziomie narodów, i to, co nazywają „populizmem”, czyli demokracja, w której „demos” może odrzucać i zmieniać elity rządzące, a nie wybierać tylko między różnymi przedstawicielami tej samej elity i tego samego salonu, są jedynymi wartościami, dzięki którym państwa demokratyczne mogą takowymi w przyszłości pozostać nie tylko z nazwy.



Oddać wolność ze strachu



Kolejka pod sklepem z bronią i amunicją. 15 marca 2020 r., Culver City w Kalifornii FOT. RINGO H.W. CHIU/AP/EAST NEWS



Łukasz Warzecha

Pandemia wywoła nie tylko globalny kryzys gospodarczy, lecz także globalny kryzys wolności

Nie ma lepszej broni w walce opresji z wolnością niż strach. Strach zabija racjonalne myślenie i w naturalny sposób wzmacnia zaufanie do władzy, szczególnie jeśli ta gorliwie zapewnia, że wie, co robi, i jest w stanie nas uratować. To oczywiście często nie jest prawda, ale tak to działa na poziomie psychiki człowieka. Tych, których stać w podobnych okolicznościach na samodzielne, krytyczne, niezależne myślenie, jest zawsze mniejszość. I często są piętnowani jako nieodpowiedzialni mąciwiele.

Są też różnice pomiędzy państwami i społeczeństwami. Te europejskie niemal oduczyły się myślenia o swojej wolności w konfrontacji z jej ograniczeniami. Na Starym Kontynencie zgoda na różne formy i poziomy zniewolenia jest właściwie powszechna, z Polską włącznie, a zarazem zapędy władzy w tym kierunku – bez porównania większe niż w Stanach Zjednoczonych czy krajach o podobnych korzeniach historycznych i kulturowych (Australia, Nowa Zelan-

dia). Anegdotycznie ilustruje to ciekawe zjawisko: gdy nadchodzi zagrożenie, Europejczycy chowają się w domach, wcześniej masowo kupując papier toaletowy; Amerykanie natomiast ustawiają się w kolejkach przed sklepami z bronią i amunicją, którą władze lokalne uznają dość powszechnie za artykuł pierwszej potrzeby. To oczywiście tylko uproszczony obrazek, ale faktycznie symboliczny.

Amerykanie mają w narodowym genotypie pamięć o kolonizatorach z początku XVII w. To ich upamiętnia Święto Dziękczynienia. Żeby przeżyć w Jamestown, utworzonym w 1607 r. na wschodnim wybrzeżu kontynentu północnoamerykańskiego, trzeba było mieć umiejętności zapewniające samowystarczalność niewielkiej grupie oraz zdolność posługiwania się bronią. Nie było tam państwowego lewiatana. Nie było komu powierzyć swojego bezpieczeństwa – trzeba było o nie zadbać samemu.

TYMCZASOWO, CZYLI NA 19 LAT

Gdybyśmy mieli do czegoś porównać obecną sytuację – jakkolwiek kulawe będzie to porównanie – to do czasu po 11 września 2001 r., po zamachach na World Trade Center i Pentagon. Wtedy w USA toczyła się dyskusja o zasadności wprowadzania znaczących ograniczeń prywatności i praw obywatelskich, zawartych w ustawie Patriot Act. Było to zapewne najrozleglejsze jednorazowe

ograniczenie wolności obywatelskich w historii USA. Ustawę uchwalono w pośpiechu, szantażując społeczeństwo i jej oponentów szczególną sytuacją. Popierała ją większość republikanów, bo została przecież przygotowana przez republikańską administrację George'a W. Busha – były jednak wyjątki, jak choćby Rand Paul, związany z wolnościowo nastawioną frakcją Tea Party. Przeciw byli głównie amerykańska lewica i demokraci. Ci sami, którzy są zarazem twardymi zwolennikami restrykcji w dostępie do broni. Ot, paradoks amerykańskiej polityki.

Chociaż Patriot Act miał obowiązywać jedynie czasowo, to był wielokrotnie przedłużany, ostatnio zaledwie w marcu tego roku. A więc ustawa, uchwalona 19 lat temu oficjalnie tylko po to, żeby zażegnać bieżące terrorystyczne zagrożenie, naruszająca w wielu punktach prywatność i wolności obywateli, umożliwiająca stosowanie podsłuchów na niespotykaną dotąd skalę, jest w większości nadal w mocy. Przeżyła całą administrację Busha, dwie kadencje Baracka Obamy i niemal całą kadencję Trumpa. Jak widać, niezależnie od tego, kto zasiadał w Białym Domu i kto kontrolował Kongres, Patriot Act się władzy przydawał.

Po drodze, przy okazji kolejnych przedłużeń, był jednak wyposażany w mechanizmy mające zapewnić lepszą ochronę obywatelskich wolności. Był to skutek wskazywania przez polityków



głównego nurtu i ważne think tanki, takie jak Heritage Foundation, na kontrolerskie zapisy i bulwersujące przypadki ich wykorzystywania.

W Europie dyskusji o zasadności zwiększania uprawnień służb w ogóle nie było, mimo że skutkiem 11 września było również ograniczenie obywatelskich wolności – o tyle jednak trudniejsze, że zróżnicowane w zależności od państwa. Inaczej rzecz się miała choćby w Hiszpanii, gdzie dokonany przez Al-Kaidę w 2004 r. zamach bombowy na madryckiej stacji Atocha pochłonął blisko 200 ofiar, a inaczej w Europie Środkowej, gdzie przez kilkanaście lat po 11 września poczucie zagrożenia terrorystycznego w ogóle nie było.

Teraz powtarza się w wielu krajach schemat działania Waszyngtonu po ataku na WTC i Pentagon: przy paraliżującym myśleniu strachu przed wirusem oraz przekonaniu, że trzeba zgodzić się na wszystko, byle zapobiec rozwojowi pandemii, wprowadzane są kolejne przepisy radykalnie ograniczające obywatelskie wolności. W Polsce wiele osób podziela błędne przekonanie, że zmiany w kodeksach (karnym, wykroczeń, postępowania karnego i innych ustawach), wprowadzane na mocy ustawy motywowanej walką z epidemią, będą obowiązywały jedynie podczas jej trwania. Bynajmniej – żadna z tych zmian nie jest czasowa. Raz wprowadzone do odpowiednich ustaw już tam zostaną.

DWA OBOZY

W warunkach paniki kwestionuje się prawo do zadawania pytań o spójność przepisów i ich sensowność. Tymczasem analiza regulacji przywoływanych przez polskie władze, pytane o podstawę karania za złamanie kolejnych wersji rozporządzenia ministra zdrowia, pokazała, że te podstawy są z gruntu wątpliwe. Ukarzać za naruszenie generalnego zakazu przemieszczania się nie można było ani z kodeksu wykroczeń, ani tym bardziej kodeksu karnego. Mimo to policja takie mandaty wystawiała, a ludzie je przyjmowali i płacili. I znów uzasadnienie było to samo: nie czas dzielić włosa na czworo, bo trwa epidemia.

Wielka Brytania, która radykalnie zmieniła kurs z liberalnego na daleko idące restrykcje, poszła podobną drogą jak Polska. I tam kwestią policyjnej interpretacji stało się, co stanowi aktywność „niezbędna”, a co nie. W niektórych przypadkach granica została ewidentnie przekroczona.

Na przykład policja z Derbyshire zaczęła się bawić w Wielkiego Brata, filmując z drona osoby wychodzące z psami (pojedynczo) w odludnym Peak District (dziki obszar między Sheffield a Manchesterem), a następnie umieszczając ich wizerunki w sieci w formie publicznego zawstydzenia, bo – zdaniem policji – wychodzenie z psem w tym właśnie rejonie nie należy do aktywności niezbędnych.

To symptom większego problemu społecznego, bo sytuacja epidemiczna wyraźnie podzieliła ludzi na dwa obozy – nie tylko w Polsce. Mniej liczny obóz to ci, którzy godzą się na ograniczenia swojej swobody pod warunkiem, że są one wyraźnie zdefiniowane, jak najmniejsze i precyzyjnie sformułowane. Drugi to ci, którzy gotowi są zgodzić się z radością na wszystko i wolą o więcej. Napięcie pomiędzy jednymi a drugimi rośnie, a momentami zbliża się do granicy fizycznej agresji. Niektóre rządy zaczęły już praktycznie promować donosicielstwo na tych, którzy rzekomo łamią zasady. Kiedyś, w czasach PRL, sąsiadowi robiło się świństwo, donosząc na niego do urzędu skarbowego. Dzisiaj można donieść, że nie przestrzega kwarantanny, a nawet że wychodzi z domu bez powodu lub – po zeszlotygodniowych kolejnych obostrzeniach – że jego niepełnoletnie dziecko bez opieki wyszło wyrzucić śmieci. Nie jest powiedziane, że w tym drugim przypadku, znacznie mniej poważnym niż naruszenie kwarantanny, policja sprawą się zajmie, ale próbować warto.

Skoro zaś o kwarantannie mowa, to specjaliści od ochrony prywatności biją na alarm w sprawie rządowej aplikacji. Jej pomysł jest akurat sensowny: zdjęć z przeciążonych policjantów konieczność fizycznego kontrolowania odoosobnionych. Z wykonaniem gorzej. Po pierwsze – nie ma podstawy prawnej, żeby zmusić kogokolwiek do korzystania z aplikacji i jeśli ktoś ma obawy co do tego, gdzie wylądują jego dane, mógłby odmówić jej instalacji. Po drugie – jak wskazała Fundacja Panoptykon – kod aplikacji jest niejawni, a więc trudno komukolwiek zweryfikować, czy program napisany w pośpiechu jest bezpieczny. Po trzecie – aplikacja zmusza do udzielenia dostępu do wrażliwych informacji w swoim telefonie: lokalizacji, kamery, katalogu zdjęć.

To jednak i tak nic w porównaniu z pomysłami z innych państw. Zostawmy na boku Chiny, które już dawno z kontroli obywateli uczyniły swój znak firmowy. W Wielkiej Brytanii trwają prace nad

smartfonową aplikacją, która ma dać znać użytkownikowi, jeśli znajdzie się w pobliżu osoby, która pozytywnie przeszła test na koronawirusa. To nic innego jak wprowadzanie totalizmu kuchennymi drzwiami, a na dodatek wstęp do praktykowania społecznego ostracyzmu wobec niektórych. Tak jakby nie było jasne, że i bez tego wzajemna podejrzliwość i nieufność będzie nieuchronnym pokłosiem epidemii. To skutki obecnych wydarzeń, z których jeszcze nie zdajemy sobie w pełni sprawy.

W putinowskiej Rosji, w Moskwie, jak najszybciej ma zostać uruchomiony system rozpoznawania twarzy, obejmujący 175 tys. kamer miejskiego monitoringu. Oficjalnie ma służyć kontrolowaniu, czy osoby, które powinny znajdować się w kwarantannie, nie wychodzą na dwór. Trudno jednak się spodziewać, żeby w istocie autorytarne państwo nie wykorzystało tak znakomitego narzędzia do swoich niecnich celów.

RADYKALNE REGULACJE

Problem z polskimi specjalnymi regulacjami jest taki, że – w przeciwieństwie do opisanych w konstytucji stanów nadzwyczajnych – nie są limitowane czasowo. Przyjęta w 2008 r., za rządów PO i PSL, Ustawa o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi nie ogranicza czasu obowiązywania wydawanych na jej podstawie rozporządzeń. Bardziej radykalne posunięcie wykonał jednak na Węgrzech rząd Viktora Orbána, przepychając przez parlament specjalną ustawę, także bez limitu czasowego, dającą władzy niemal nieograniczone kompetencje. Ustawa wyklucza także organizowanie w czasie jej obowiązywania wyborów i referendum (w Polsce nie można takiego ograniczenia wprowadzić zwykłą ustawą). Szczególnie niepokojąca jest kara pięciu lat pozbawienia wolności za rozgłaszanie publicznie (czyli np. w sieci) nieprawdziwych wiadomości, mogących utrudnić walkę z epidemią. Nietrudno dostrzec, że tak radykalne regulacje mogą być łatwo wykorzystane do uziemia politycznych przeciwników.

Jedno nie ulega wątpliwości: pandemia wywoła nie tylko globalny kryzys gospodarczy, lecz także globalny kryzys wolności. Strach przed zarazą będzie jeszcze przez lata wykorzystywany do uzasadniania utrzymywanych w mocy ograniczeń, sposobów inwigilacji, nowych uprawnień służb. Pamiętajmy: Patriot Act obowiązuje już 19 lat.



Nikołaj Reprin
FOT. DOMENA PUBLICZNA (6)



Grigorij
Dołgorukow



Herman Karl
von Keyserling

Ambasadorowie

Józef Gierowski w „Dyplomacji polskiej doby saskiej” podaje, że od końca wielkiej wojny północnej najwięcej misji dyplomatycznych do Rzeczypospolitej, bo ponad 80, wysłanych było przez Rosję. Jej kolejni posłowie i ambasadorowie rośli w siłę, ucząc się wykorzystywać słabości Polaków przeciwko nim samym. Poznawali mechanizmy, które już wkrótce pomogły Rosji osłabić i podporządkować sobie Koronę i Litwę.

Jednym z pierwszych był Grigorij Dołgorukow, osobisty doradca cara, który z przerwami sprawował urząd ambasadora od 1701 do 1720 r. Pilnował, aby Rzeczpospolita pozostawała sojusznikiem Rosji w wojnie północnej. Po klęsce pod Kliszowem i zajęciu części kraju przez Szwedów był inicjatorem powołania konfederacji sandomierskiej wspierającej Augusta II Mocnego. Gdy jednak król po powrocie na tron i wypędzeniu zaczął myśleć o odsunięciu się od



Jacek Komuda

Na początku XVIII w. Rzeczpospolita znalazła się w centrum zainteresowania Rosji. Jej politycznym ramieniem stali się u nas kolejni posłowie i ambasadorowie Petersburga. Coraz brutalniejsi i bardziej bezczelni

Rosji i zawiązaniu przymierza z Austrią, Dołgorukow jako jeden z pierwszych wykorzystał szlachtę i magnaterię przeciwko władcy, występując oczywiście jako obrońca wolności szlacheckich.

Kiedy August II sprowadził do kraju wojska saskie, rosyjski wysłannik był jednym z inicjatorów zawiązania konfederacji tarnogrodzkiej przeciwko królowi, po czym zaoferował obu stronom mediację w rozwiązaniu konfliktu. Działając w imieniu Piotra I, doprowadził

do zawarcia porozumienia warszawskiego, którego efektem stał się Sejm niemy w 1717 r. Dołgorukow nie był jeszcze typowym rosyjskim stupajką nad Wisłą, gdyż spolonizował się i uległ polskiej kulturze. Jak podaje Józef Gierowski: „Syna wychował u teatynów warszawskich, a pod koniec lat dwudziestych cały klan Dołgorukich walczył o zmianę formy rządu w Rosji”.

Jego następcy nie zapisali się niczym szczególnie; Friedrich Casimir von

Jakob
SieversJakow
ButhakowOtto Magnus
von Stackelberg

przeklętej carycy

Loewenwolde nie zapobiegł wybraniu na króla Stanisława Leszczyńskiego. Aby osadzić na tronie Augusta III Sasa, Rosja musiała dokonać pierwszej zbrojnej interwencji w sprawach polskich.

DOKTRYNY KEYSERLINGA

Kolejnym ambasadorem został Herman Karl von Keyserling, który z przerwami, aż do 1764 r., reprezentował interesy rosyjskie. Reprezentował sprytnie. Był to wykształcony szlachcic kurlandzki, prezydent Rosyjskiej Akademii Nauk, który zadziwiał szlachtę znajomością łaciny. Keyserling usiłował pozyskać lub przekupić przyszłe elity polityczne albo zaprzyjaźnić się z nimi. W 1744 r. na własne życzenie został nauczycielem logiki młodego Stanisława Augusta Poniatowskiego, którego później osadził na tronie polskim. Była to – jak podaje Dorota Dukwicz w pracy „Kontakty króla Stanisława Augusta z ambasadarami Katarzyny II...” – gra obliczona wyłąc-

nie na utrzymanie zaufania stronnictwa Czartoryskich – Familii, które zostało wybrane przez Petersburg na stronnictwo rosyjskie w Rzeczypospolitej.

Keyserling jako pierwszy zastosował mieszaninę szantażu i manipulacji, podsuwając przyszłemu królowi i innym dostojnikom spreparowane depesze, rzekomo z Petersburga, w których caryca wyrażała zgodę na określone działania polityczne lub zabraniała ich. Popierał Czartoryskich i ich faktyczny zamach stanu, aby osadzić na tronie Stanisława Augusta Poniatowskiego. Pokrzyżował też plany hetmana Jana Klemensa Branickiego i jego stronnictwa, zamierzającego zwołać pospolite ruszenie i przeciwstawić się zbrojnie ingerencji wojsk rosyjskich w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej.

Keyserling zmarł w 1764 r. w Warszawie; jego następcą przybył wcześniej, aby pomagać ambasadrowi. Był to człowiek zupełnie innego formatu. Nazywał się

Nikołaj Repnin i został na długo zapamiętany nad Wisłą.

SEJM REPNINOWSKI

Repnin był typowym człowiekiem Wschodu: usłużnym wobec postawionych wyżej od siebie, brutalnym wobec tych, którzy zależeli od jego władzy. W postępowaniu z królem i Polakami stosował zasadę „dziel i rządź”, wywyższając i popierając jedne grupy oraz stronnictwa polityczne, jeśli tylko gwarantowały wykonywanie jego rozkazów. Postawił na innowierców – w tym celu zawiązał konfederację słucką i toruńską żądającę równouprawnienia, a potem radomską – w obronie dawnego ustroju Rzeczypospolitej. Wzięci w obronę dyssydenci mieli w zamian stać się wyrazicielami woli Moskwy, na co nie chciała zgodzić się znaczna część katolickiej i patriotycznej szlachty.

Na Sejmie, w 1767 r., zwanym dziś „repninowskim”, gdzie stawili się po-



■ słowie wybierani pod naciskiem wojsk rosyjskich, ambasador zamierzał nie tylko zrównać w prawach innowierców, lecz także uchwalić traktat gwarancyjny, w którym caryca Katarzyna gwarantowała prawa szlachty. Od razu jednak uaktywniła się opozycja, której przywódcami byli: biskup krakowski Kajetan Sołtyk, biskup kijowski Józef Załuski i hetman polny koronny Wacław Rzewuski oraz jego syn Seweryn.

Ambasador próbował przekupić albo zastraszyć Sołtyka – groził, że do jego włości wejdzie wojsko, dochody będą zasekwestrowane, a jeśli to nie pomoże, wówczas „o osobie jego się pomyśli” – jak podaje Jerzy Łojek. Jednak kiedy biskup zapowiedział masowe wystąpienia przeciwko innowiercom, czym wywołał po płoch na dworze królewskim, pojawił się pomysł uprowadzenia opozycjonistów.

Oficjalnie obwinia się o to Repnina, jednak sprawa jest kontrowersyjna. Jerzy Łojek obarczał winą króla, który naradzał się z ambasadorem i jeśli nawet plan nie wyszedł od niego, to bez przeszkód go zaakceptował. 14 października 1767 r. Repnin aresztował Sołtyka, Rzewuskich i Załuskiego, wywiózł ich na Pragę, potem do Wilna i Smoleńska, skąd po wybuchu konfederacji barskiej przewieziono ich do Kaługi, gdzie pozostawiali do 1773 r.

Tak oczywiste pogwałcenie praw Rzeczypospolitej wywołało szok i skandal, a nawet gniew samej Katarzyny. Repnin nie został jednak zdymisjonowany, gdyż sterroryzowany Sejm uchwalił wszystko, czego oczekiwał Petersburg: prawa kardynalne, gwarancje Rosji, ale też pewne reformy, np. zniesienie liberum veto na sejmikach. Jednak brutalne poczynania wysłannika stały się jedną z przyczyn wybuchu konfederacji barskiej. Gdy Katarzyna musiała wojną wprowadzać to, co Repninowi nie udało się podstępem i polityką, zdymisjonowała ambasadora.

WIELKORZĄDCA POLSKI

Od czasów Repnina ambasadorowie carycy stali się de facto wielkorządcami i nadzorcami Polski. Jak pisze Dorota Dukwicz: „Każdorazowa wymiana na stanowisku przedstawiciela Rosji była znakiem, że oto Petersburg zrewidował doraźne cele swojej polityki względem Polski przy jednoczesnej niezmienności celów zasadniczych, to jest do utrzymania państwa polsko-litewskiego w słabości i całkowitej zależności”. Wysłannicy otrzymywali instrukcję, w której kanclerz lub przewodniczący Kolegium Spraw

Otto Magnus von Stackelberg potrafił obłudnie udawać przyjaciela Polaków.

Fałszywie pokazywał, że sam cierpi przez decyzje Katarzyny

Zagranicznych wypisywał stan rosyjskich interesów nad Wisłą i dawne zadania. Instrukcje uzupełniano i ciągle przysyłano nowe – ambasador zobowiązany był w zamian wysyłać raporty (nawet codzienne) i zatwierdzać w Petersburgu wszystkie plany, na co jednak – zważywszy na odległość i czas dostarczenia korespondencji pocztą – nie wystarczało czasu.

Następcą Repnina był Michaił Wołkoński, który rozprawił się z konfederacją barską, sprawiał zaś wrażenie łagodnego, nieposzukowanego. Nie pobył długo – od kwietnia 1771 r. ambasadorem został Kasper von Saldern, który najpierw zamierzał utworzyć silne prorosyjskie stronnictwo, ale kiedy zorientował się, że Polacy w większości nie popierają związków z Moskwą, stał się grubiański i brutalny.

Saldern był pierwszym wysłannikiem, który łamał etykietę dworską, nachodząc bez zapowiedzi króla i zmuszając go do odbywania spotkań. Po zamachu i porwaniu przez konfederatów męczył Stanisława Augusta tak bardzo, że zaprotestowali chirurdzy dbający o zdrowie władcy.

EPOKA STACKELBERGA

Wraz z pojawieniem się w Rzeczypospolitej Ottona Magnusa von Stackelberga w 1772 r. zaczęła się nowa epoka w złowrogich kontaktach z Moskwą. Ambasador wraz z przekupionymi dostojnikami i przedstawicielami Prus i Austrii zwołał sejm rozbiorowy, na którym to sami Polacy mieli zaakceptować podział ich kraju. Stackelberg złamał opozycję Tadeusza Reytana i braci Korsaków; trzeba przyznać, że raczej spokojnymi metodami – nie porwał ich jak Repnin opozycjonistów, wstrzymywał nawet Prusaków, którzy chcieli ich aresztować. Doprowadził jednak do przystąpienia króla do konfederacji sejmowej, co osłabiło opozycję. W późniejszych latach ambasador był już w zasadzie wielkorządcą Polski i Litwy. Zatwierdzał wszystkie decyzje Stanisława Augusta, stał na czele Rady Nieustającej.

Stackelberg korzystał też z uporządkowanej metody korumpowania polskich elit – kasy założonej przez wicekanclerza Rosji Nikitę Panina. Był to powołany w czasie Sejmu rozbiorowego fundusz korupcyjny trzech zaborców przeznaczony na przekupywanie posłów. Do tej – jak określał ją Władysław Konopczyński – „kasy gadzinowej” każdy z dworów wpłacał po 27 tys. talarów. Funduszem zarządzał ambasador rosyjski, który wypłacał łapówki, zwane jurgieltami, posłom i dygnitarzom Rzeczypospolitej.

Najsławniejszym z jurgieltników był Adam Poniński herbu Łódzia – zdrajca, człowiek bez czci i honoru, libertyn, ateista i aferzysta, samozwańczy marszałek pierwszego Sejmu rozbiorowego. Wśród pozostałych znajdowali się wysocy dygnitarze: marszałek nadworny litewski Władysław Gurowski, który w 1773 r. wciągnięty był na rosyjską listę płac, wojewoda łęczycki Szymon Dzierzbicki. Byli też: bp Antoni Ostrowski, kanclerz wielki koronny Aleksander Młodziejowski, August Sułkowski, książę, pierwszy marszałek stanu rycerskiego w Radzie Nieustającej, przyjaciel Stackelberga od 1772 r., który sam zgłosił się do ambasady, oferując usługi. A także kanclerz wielki koronny Jacek Małachowski, biskup inflancki Józef Kossakowski. Oraz groźna kreatura – Piotr Ożarowski, kasztelan wojnicki, powieszony w czasie powstania kościuszkowskiego podobnie jak wielu innych sprzedawczyków z tej listy.

Stackelberg oparł się na Stanisławie Augustcie, uczynił wszystko, co się dało, aby kontrolować króla. Władca był tak zniewolony i sterroryzowany, że nie miał prawa pisać do carowej bez pośrednictwa ambasadora. Pośłał tak samo jak wcześniej Keyserling podsuwał królówi i innym Polakom fragmenty depesz rzekomo nadchodzących z Petersburga; tak zmienione i sformułowane, aby umożliwiły mu zdobycie zaufania. Pisano w nich na przykład, że caryca jest zła na wysłannika za zbyt uległość wobec króla, co budowało wizerunek Stackelberga jako rzekomego przyjaciela króla sprzyjającego także pozostałym Polakom.

Ambasador kontrolował przede wszystkim nadawanie przez króla urzędów. Stawał się brutalny, gdy Stanisław August próbował prowadzić samodzielną politykę. Kiedy tylko jakieś senatorskie albo ministerialne krzesło było do wzięcia, natychmiast wysuwał przeciwko



królowi zarzuty, że nie chce współpracować; nigdy też nie zgadzał się na objęcie urzędu przez człowieka z kwalifikacjami albo patriotę. Jak pisze Dorota Dukwicz: „Doszło do tego, że ubiegając się o jakiś urząd, najpierw należało udać się do rosyjskiej ambasady”.

Stackelberg rozwinął cały system szachowania króla; straszył go ciągle, że doniesie carycy, jakoby „Malowany Staś” był źle usposobiony do Rosji. Nieustająco szantażował też Augusta kolejnym rozbiorem – groził, że Katarzyna ulegnie podszeptom króla Prus i po raz kolejny rozedrze Rzeczpospolitą.

Przy tym wszystkim Stackelberg potrafił obłudnie udawać przyjaciela Polaków. Fałszywie pokazywał, że sam cierpi przez decyzje Katarzyny i się z nimi nie zgadza. „Tak to udatnie czynił, że przez pierwsze w Polsce lata ci, co ich krzywdził, niemal go polubili” – pisał o nim Stanisław August w pamiętniku.

Stackelberg miał także dobre strony – popierał rozwój ekonomiczny Rzeczypospolitej, zabiegając o przyznanie przez Moskwę przywilejów Kompanii Handlu Czarnomorskiego. Najciekawsze zaś, że pomimo wszystkich knoń i szantaży

nie zdołał zapobiec przyjęciu konstytucji majowej i uchwałą Sejmu Wielkiego, które rzekomo miały pomóc Rosji w wojnie z Turcją, a faktycznie doprowadziły do zrzucenia protektoratu rosyjskiego. Sejm Wielki przypieczętował jego koniec – Stackelberga odwołała rozwścieczona caryca Katarzyna.

JUŻ TYLKO... AMBASADOR

Jego następcą w 1790 r. mianowano Jakowa Bułhakowa, który... został ambasadorem bez wpływów. Chociaż gromadził przeciwników konstytucji i reform, to nie był w stanie mieszać się do polityki zreformowanej Rzeczypospolitej. Dlatego przeprowadzenie kolejnego rozbioru Katarzyna powierzyła Jakobowi Sieversowi, który sprawował obowiązki od 5 grudnia 1792 r. Ambasadorem wywodzący się z bałtyckich Niemców popierał oczywiście targowicę, aby zaś zalegalizować dokonywaną przez jej członków grabież urzędów i dochodów Rzeczypospolitej, doprowadził do zawiązania konfederacji grodzieńskiej z królem na czele. A potem do zwołania pod bagnetami moskiewskimi ostatniego Sejmu Rzeczypospolitej w Grodnie,

który zatwierdził traktaty rozbiorowe i zgodził się na wieczyste przymierze polsko-rosyjskie, podporządkowujące resztki Rzeczypospolitej państwu carów. Sievers w pamiętnikach był całkowicie szczery i nie ukrywał, że Sejm był jedną wielką komedią, a liczyły się tylko pozory legalności i obalenie uchwał poprzedniego Sejmu Wielkiego.

Jednak w postanowieniach zgromadzenia tkwiła przyczyna przyszłych wydarzeń – zmniejszenie liczebności armii na wiosnę 1794 r. doprowadziło do buntu w wojsku, a potem wybuchu powstania kościuszkowskiego. Ambasadorem Rosji i zarazem dowódcą wojsk moskiewskich rozlokowanych w kraju był wówczas Osip Andriejewicz Igelström. Nie zdołał rozeznąć się w sytuacji, kiedy 17 kwietnia 1794 r. wybuch insurekcji kościuszkowskiej w Warszawie zmusił go do ucieczki ze stolicy. Na pociechę po klęsce rozbiorów pozostaje nam zatem chociaż to, że ostatni ambasador carycy Katarzyny uchodził z Warszawy w panice, pozostawiając po sobie na pamiątkę rachunki i spisy sprzedawczyków pobierających rosyjskie jurgielty.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

IL DIVO

TIMELESS

15th Anniversary

KONCERT

6 listopada 2020

TAURON Arena

Kraków

BILETY: PRESTIGEMJM.COM



Prestige
MJM

RMP Classic

wprost

BO
RZECZY

onet

city

STRÖER

VIXON
Antisocial

pap

PRESS
SERVICE
monitoring media



Urodzona 8 czerwca 1867 r. Dagny Juel była jednym z pięciorga dzieci zamożnej norweskiej pary mieszkającej w Kongsvinger.

Jej ojciec Hans był lekarzem, matka zaś poświęciła się wychowaniu córek. Kiedy Dagny z dziewczęcą stała się młodą kobietą i zapragnęła wyjechać z rodzinnej miejscowości, by podjąć studia muzyczne w Oslo, jej bliscy nie protestowali.

Rudowłosa piękność ruszyła w daleki świat, by zdobyć edukację i zabłysnąć jako artystka. Nauczysz się w stolicy Norwegii wszystkiego, co mogli jej przekazać tutejsi profesorowie, postanowiła kontynuować edukację w Berlinie. Tam szybko wyszło na jaw, że pannie Juel brakuje niezbędnej do osiągnięcia wirtuozerii w grze na fortepianie cierpliwości w wykonywaniu żmudnych ćwiczeń. Dlatego też porzuciła marzenia o karierze muzyczki i postanowiła poświęcić się pracy literackiej. Równocześnie intensywnie używała życia w stolicy Rzeszy.

FATALNE ZAURCZENIE

Ówczesny Berlin był wielką kosmopolityczną metropolią przyciągającą jak magnes artystów i intelektualistów z całej środkowej Europy. Malarze, rzeźbiarze, pisarze i filozofowie bez przerwy wymieniali się tu nowymi ideami, wspomagając burze mózgów wysokoprocentowymi napojami wysokokowymi. Szczególną sławą cieszyła się wśród owych wagabundów oberża Pod Czarnym Prosiakiem.

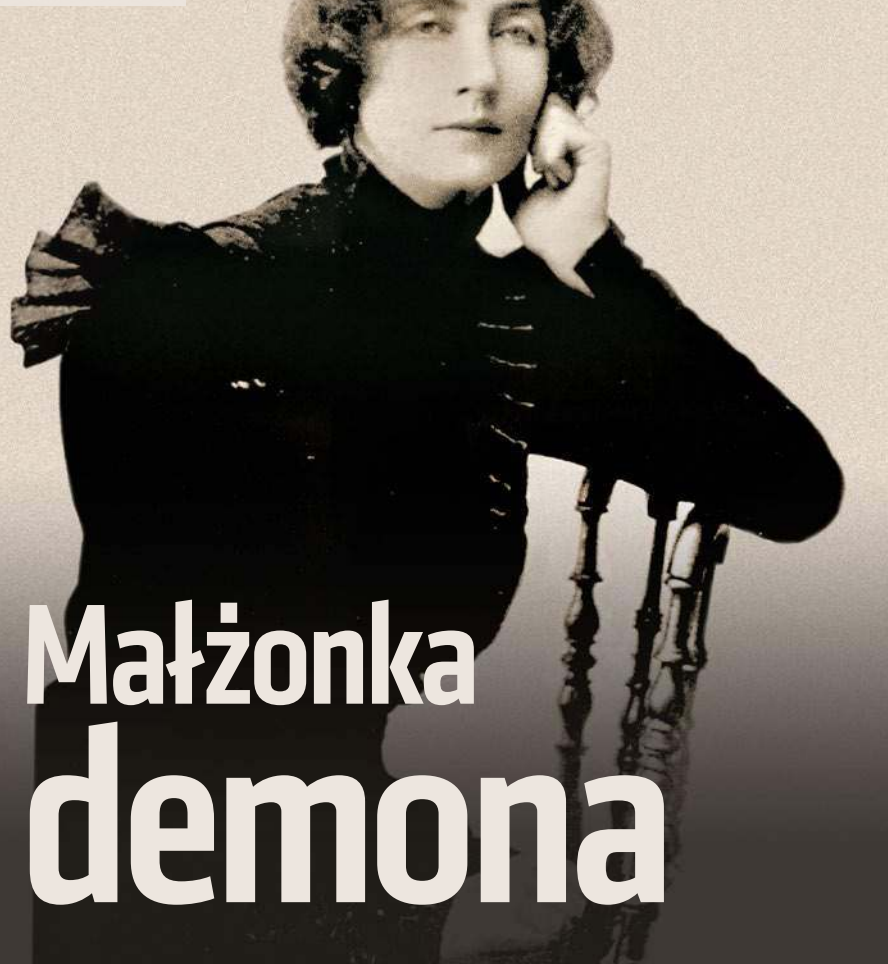
Jednym z imprezowiczów był przyjaciel Dagny z dzieciństwa, malarz Edward Munch. Spotkali się w Berlinie i szybko zostali kochankami. Związek nie przetrwał jednak długo: pewnego dnia malarz przeprowadził kochankę do Czarnego Prosiaka, gdzie panna Juel wpadła w oko dramaturgowi, Augustowi Strindbergowi. Zanim nieszczesny Edward zorientował się, co się dzieje, jego luba spakowała walizki i przeniosła się do nowego adoratora. Zrozpaczony Munch popadł w ciężką depresję i starał się odreagować traumę, malując pornograficzne obrazy przedstawiające Dagny w różnych pozycjach seksualnych.

Z nowym kochankiem nasza bohaterka również nie wytrzymała długo. Związek rozpadł się błyskawicznie, bo po niespełna miesiącu. Zostawiony na lodzie Strindberg dostał istnego szału. Od tej pory mścił się na niedawnej partnerce.

Niedługo po rozstaniu Dagny poznała (znów Pod Czarnym Prosiakiem) mężczyznę mającego stać się największą i najbar-

Dagny Juel

FOT. FRAUENMUSEUM KONGSVINGER



Małżonka demona



Łukasz Czarnecki

Gdziekolwiek się pojawiła, tam natychmiast otaczał ją krąg zauroczonych do szaleństwa mężczyzn. Miała wielu kochanków, ale ostatecznie przepiękna Norweżka związała się z polskim literatem – Stanisławem Przybyszewskim, który zrujnował swojej partnerce życie

dziej destrukcyjną miłością jej życia – przybyłego do Berlina z Kujaw, początkującego literata Stanisława Przybyszewskiego.

Stanisław Przybyszewski do Berlina przyjechał, by zostać architektem. Z tych planów nic jednak nie wyszło – zajęcia śmiertelnie go nudziły i zamiast uczęszczać na wykłady, młodzieniec wołał rozprawiać o sztuce i upijać się do nieprzytomności. Studia architektoniczne zresztą szybko porzucił (na skutek czego utrzymujący się

dotychczas ze stypendium Przybyszewski znalazł się zupełnie bez pieniędzy) i przeniósł się na wydział medycyny. Tutaj jednak też długo miejsca nie zagrzał, rychło zaczął bratać się z berlińskimi komunistami, a nawet został redaktorem „Gazety Robotniczej”, w efekcie czego władze uniwersyteckie wręczyły mu wilczy bilet i wyrzuciły z uczelnianych murów.

Pozostawszy właściwie bez środków do życia, niedoszły lekarz przeszedł na



utrzymanie mieszkającego w Berlinie starszego przyrodniego brata. Wdał się też w romans z niejaką Martą Foerder, która urodziła mu troje dzieci. Przybyszewski nie darzył Marty żadnymi ciepłymi uczuciami i wykorzystywał ją jedynie do zaspokajania swych seksualnych potrzeb oraz jako pomoc domową.

Mimo bycia ewidentnym łajdakiem Stanisław cieszył się wielką popularnością w kręgach berlińskiej bohemy. Pisał nie tylko artykuły dla „Gazety Robotniczej”, lecz także pełnowymiarowe utwory literackie. Płody jego umysłu, takie jak choćby książka „O psychologii jednostek”, cieszyły się zresztą wielką popularnością między członkami artystycznej braci. Niestety, trochę gorzej było ze zwykłymi zjadaczami chleba, którzy bynajmniej nie kupowali utworów Przybyszewskiego, w związku z czym Polak na swoich publikacjach zarabiał grosze.

Już od pierwszego swojego spotkania Dagny i Przybyszewski stali się nierozłączni, choć związek z panną Juel nie przeszkadzał Stanisławowi w ciągłym utrzymywaniu stosunków seksualnych z nieszczęsną Martą. Nie przerwał tamtej znajomości nawet wówczas, gdy 18 sierpnia 1893 r. zawarł z Norweżką związek małżeński. Przez następne trzy lata wszyscy zainteresowani żyli w chorym układzie. Straszliwe upokorzenia ostatecznie złamały nieszczęśliwą dziewczynę, która 9 czerwca 1896 r. popełniła samobójstwo. Jako że policja berlińska podejrzewała, iż Przybyszewski pomógł kochance rozstać się z życiem, demoniczny literat trafił do aresztu, który jednak opuścił dzięki staraniom opłaconych przez teścia adwokatów.

KRAKOWSKI CELEBRYTA

Państwo Przybyszewscy żyli w Berlinie nadzwyczaj skromnie, by nie rzec – nędznie. Stanisławowi nie śpieszyło się do podjęcia uczciwej pracy. Nie zmieniło tego nawet przyjsię na świat pierwotnego dziecka jego i Dagny, Zenona. Zamiast zająć się zdobywaniem pieniędzy na utrzymanie rodziny, literat wołał upijać się na kredyt. Wraz z małżonką funkcjonował tylko dzięki pożyczkom, na które naciągał znajomych. Gdyby nie nadsyłane przez teściów zapomogi, rodzina Przybyszewskich umarłaby z głodu. Dagny nie stać było nawet na odzienie i musiała raz za razem prosić listownie swe siostry o przesyłanie ich starych sukien.

Nagła odmiana losu nadeszła w roku 1898, kiedy Przybyszewski został zaproszony do Krakowa przez grupę tamtejszych wielbicieli jego twórczości. Wsiadł więc w wagon trzeciej klasy i pojechał nad Wisłę. Tam przywitano go w sposób tak huczny, że aż absurdalny – przybysza z Berlina powitał Zdzisław Gabryelski, miejscowy potentat w branży fortepianowej, oświadczając cokolwiek skonfundowanemu Przybyszewskiemu: „Byłbym szczęśliwy, gdybym był cielakiem, z którego skóry pańskie buty wyprawiono”.

Mąż Dagny stał się w podwawelskim grodzie prawdziwym celebrytą. Powierzono mu redagowanie młodopolskiego magazynu „Życie”, wręczono klucze do opłaconego przez fanów luksusowego czteropokojowego mieszkania przy ulicy Karłowickiej, raz za razem ciągnano na imprezy kulturalne, na których wygłaszał odczyty o okultyzmie, satanizmie i wszystkim tym, co mu akuratnie w duszy grało, uiszczano jego rachunki za alkohol, a wspomniany już Gabryelski podarował mu szalenie kosztowny fortepian. Szybko go jednak zabrał z powrotem, bo Przybyszewski, pokłóciwszy się z nim, nazwał publicznie swego dobroczyńcę świnią.

Wkrótce Dagny i dzieci (oprócz Zenona para doczekała się też córki Iwy) dołączyli do świętującego sukcesy Stanisława. Mimo uśmiechu fortuny Norweżka nie była jednak szczęśliwa. Owszem, w końcu ich rodzina nie przymierała głodem, ale Przybyszewski pił coraz więcej.

EROS I TANATOS

Związek Przybyszewskich rozkładał się z zatrważającą prędkością. Stanisław wkrótce zaczął zdradzać żonę, nawiązując romanse z małżonką Jana Kasprowicza, Jadwigą, i lwowską malarką, Anielą Pająkową, która wkrótce urodziła mu córkę. Sytuacja zaczęła przypominać tę, która pchnęła nieszczęsną pannę Foerder do samobójstwa. Tyle że teraz było jeszcze gorzej, bo nasi bohaterowie żyli nie w trójkącie, lecz czworokącie. A że młodopolski demon zaczął de facto wypychać swoją żonę w łapy kolejnych kochanków, z każdym upływającym tygodniem uczuciowa figura zaczęła przyjmować formę coraz dziwniejszego wielokąta.

Ostatecznym ciosem dla Dagny była lektura opublikowanej przez jej męża na łamach warszawskiego magazynu „Chimera” powieści zatytułowanej „Synowie ziemi”, w której autor szczegółowo opisywał swój związek z Norweżką, mieszkając

przy tym nieszczęsną kobietę z błotem. Utwór był tak ekshibicjonistyczny, że po druku zaledwie trzech odcinków oburzona redakcja rozwiązała umowę z jego autorem.

Skrzywdzona przez męża Dagny poszukiwała ukojenia w towarzystwie adoratorów. Nie potrafiła się wyrzec jednak miłości do swego Stacha i raz za razem podejmowała próby ratowania ich małżeństwa. Gdy wspólny znajomy obojga, dziedzic wielkiej górniczej fortuny Władysław Emeryk, zaproponował parze późną wiosną 1901 r. wycieczkę do Gruzji, Norweżka zgodziła się, wierząc, że w nowym otoczeniu uda się jej na nowo wzbudzić w mężu uczucia względem siebie.

Najpierw na Kaukaz pojechała Dagny z synem i Emerykiem, Przybyszewski miał dołączyć do nich na dniach. Nie dołączył. Za to 5 czerwca w Tbilisi Władysław wszedł do pokoju hotelowego zajmowanego przez Dagny, w której od dawna nieszczęśliwie się kochał, i z zimną krwią zabił ją strzałem w głowę, po czym odebrał życie również sobie.

Ciała mordercy i jego ofiary złożono na miejscowym cmentarzu. Przybyszewski nie przyjechał na uroczystości, nie zainteresował się też losem Zenona. Chłopiec ostatecznie trafił do jednej z sióstr swojej matki, ale nie było w tym najmniejszej zasługi jego ojca.

Gruzińska tragedia rozpałała wyobraźnię we wszystkich trzech zaborach. Powszechnie potępiano Przybyszewskiego, a wielu było też i takich, którzy podejrzewali, że to właśnie on namówił Władysława Emeryka do popełnienia zbrodni. Jest to całkiem możliwe, gdyż ów niezrównoważony psychicznie młodzieniec był zapatrzony w Przybyszewskiego niczym pies w swego pana i zwykły spełniać każdą jego zachciankę.

Stanisław Przybyszewski przeżył małżonkę o ponad ćwierć wieku. Człowieka, który złamał życie dwóm kolejnym partnerkom i doprowadził do ich śmierci, w pewnym sensie spotkała jednak kara. Wkrótce po gruzińskim mordzie na dobre związał się z Jadwigą, która porzuciła dla niego Kasprowicza i dzieci. I tu trafiła kosa na kamień, bo nowa pani Przybyszewska okazała się kobietą trzymającą Przybyszewskiego krótko i niepozwalającą mu oddawać się libacjom. Znalazłszy się pod jej butem, demon Młodej Polski stracił swe diabelskie atrybuty i resztę życia spędził jako zahukany pantoflarz. I dobrze mu tak!



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Człowiek
czy bydlę

Marian Stecyk pochodzi z Jasionowa w województwie tarnopolskim. Miał 10 lat, gdy w 1940 r. został deportowany przez bolszewików w głąb ZSRS. Do nowej, komunistycznej już Polski przyjechał po wojnie. Zamieszkał na południu, gdzie przystąpił do podziemnego Legionu Partyzantów Podhalańskich. Przyjął pseudonim Ryś.

Wszystko zależało
od tego, kogo się
trafi w celi

Niestety, w 1950 r. został aresztowany przez UB i skazany. Siedział w kilku więzieniach PRL – m.in. w Krakowie na Montelupich, we Wronkach, w Goleniowie i Mielęcinie. Swoje przeżycia przedstawił we wspomnieniach, których fragmenty wydrukowała „Karta”.

„Klucznik kazał mi zbliżyć się do wskazanych drzwi – pisze Stecyk. – Dostałem miskę aluminiową, łyżkę, kubek, ręcznik. Strażnik wsadził klucz do zamka i rzekł: »Wchodźcie!«”.

Tak się zaczęło. Stecyk pisze o życiu codziennym w komunistycznych zakładach karnych. Warunkach bytowania, kłótniach, ale przede wszystkim o więzieniach. Politycznych i kryminalnych,

którym przyszło siedzieć razem w jednej celi.

„– Za co cię capnęli? Może jesteś od nas? – usłyszał Stecyk, gdy przekroczył próg.

– A czy ja wiem, kto wy jesteście?

– My – za partyzantkę...

Byłeś w lesie?

– Byłem.

– Gdzie?

– Daleko stąd. Za jaką partyzantkę?

– Chcieliśmy ustrój obalić do góry nogami, hi, hi, hi.

– Wszyscy?

– Nie, my trzej. A ci dwaj – to Niemiec z kopalni, a ten pan, przy piecu tutaj mieszka”.

Wszystko zależało od tego, kogo się trafi w celi. Stecyk raz trafiał lepiej, raz gorzej.

„Trafiłem na bardzo złą celę – wspominał. – Opryszków ulicznych, z których jeden pochodził z Warszawy, drugi z Poznania. Miał grubą bliznę na policzku. Więzienie nie jest tak okrutne, jak okrutni są ci ludzie. Długie miesiące [odsiadki] sprawiły, że już mogłem odróżnić człowieka od człowieka. Który to człowiek, a który bydlę”.

Tak, dużo życiowej prawdy jest w tych słowach i nie dotyczy to tylko więzienia.

Bardzo ciekawy numer „Karty” – w środku seria materiałów o rewolucji 1905 r. i wstrząsająca relacja słowackiego Żyda, który pracował w Sonderkommando w Auschwitz. ©



★★★★★
„KARTA”
102/2020



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Hejnał
dla Marszałka

Piłsudski przejawiał różnego rodzaju dziwactwa, które nasilały się z wiekiem. Nie lubił telefonów, nie znosił procedury łączenia i zlecał ją z reguły adiutantowi. Kapitan Mieczysław Lepecki wspominał, że Komendant czasami „telefonował sam, ale było to tylko kilka razy w ciągu kilku lat, nie licząc rozmów z rodziną”. Prowadzenie polityki wymaga jednak łączności ze światem i Marszałek niechętnie wyraził zgodę na instalację telefoniczną w swoim gabinecie.

Współpracownicy, znając jednak jego zdanie w tej sprawie, dzwoniли wyłącznie, kiedy wymagała tego sytuacja. Lepecki zauważył, że „nawet pan Prezydent przed zatelefonowaniem uprzedzał nas przez adiutanta, a my meldowaliśmy Marszałkowi. Wtedy to pan Marszałek odbierał telefon bezpośrednio”.

Prawdziwą
namiętnością
Marszałka stały się
obrazy animowane

Piłsudski początkowo nie lubił też kinematografii – uważał filmy za dziecinną, niezrozumiałą dla dorosłego człowieka rozrywkę. Osobiście do kina nie chodził, nie mógł więc zapoznać się ze sztuką filmową. Zdanie zmienił na początku lat 30., kiedy pojawiły się przenośne modele aparatów umożliwiające wyświetlanie filmów w GISZ lub Belwederze.

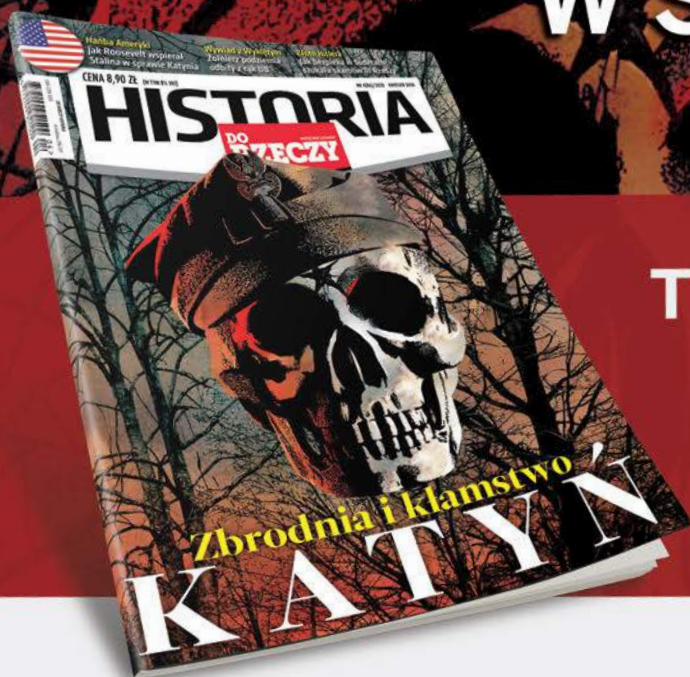
„Nieregularne początkowo seanse – kontynuował Lepecki – urządzone co kilka tygodni, przemieniły się w stałą niedzielną lub świąteczną rozrywkę. Marszałek lubił zapraszać na nie swoich najbliższych [...], zwykle przychodziło na nie kilka, a czasem nawet 10–12 osób z rodziny, najbliższych znajomych, rzadziej ktoś ze świata politycznego. Ustawiało się wtedy jeden lub dwa rzędy krzesel; wejście Marszałka było hasłem do rozpoczęcia przedstawienia”.

Piłsudski nie miał sprecyzowanych upodobań filmowych. Nie lubił burleski, ale „nie podobały mu się obrazy ponure”. Preferował „utwory o przewadze muzyki i śpiewu nad akcją”, stąd jego pozytywna opinia o »Tobie śpiewam tę pieśń« z udziałem Jana Kiepury”. Prawdziwą namiętnością Marszałka (i jego rodziny) stały się natomiast obrazy animowane. Lepecki zapamiętał prawdziwy zachwyt Komendanta, który wyraził „po ujrzeniu po raz pierwszy kreskówki barwnej Walta Disneya”.

Niechęć do telefonów nie była wyjątkiem, Piłsudski nie przepadał również za audycjami radiowymi. Podobno lubił wyłącznie transmisję hejnału z wieży kościoła Mariackiego w Krakowie (pierwsza odbyła się 16 kwietnia 1927 r.) oraz prognozę pogody. Nie ukrywał zresztą radości, gdy przewidywania meteorologów się nie sprawdzały. Osobiście nie chciał nawet nauczyć się regulowania odbiornika, wystarczała mu świadomość, że urządzenie zamilknie po wyrwaniu wtyczki z kontaktu. ©

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Wywiad z żołnierzem
wyklętym odbitym
z rąk UB**

Thomas Urban – Roosevelt po stronie Sowietów
Maciej Rosalak – Generałowie zgładzeni w Katyniu
Piotr Włoczyk – Tajemnica lotu JAT 367
Grzegorz Janiszewski – Kiszczak na tropie złota Hitlera
Sławomir Koper – Polski terrorysta w Nowym Jorku
Mikołaj Iwanow – Gehenna węgierskich jeńców
Rafał A. Ziemkiewicz – Paradoks niemocy
Tomasz Stańczyk – Burzliwa młodość Piłsudskiego

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Katedra od nowa



FOT. PHILIPPE LOPEZ/APPESTNEWS



Olivier Bault

Przy odbudowie katedry Notre Dame spierają się konserwatorzy i historycy z politykami próbującymi wcisnąć nowoczesność do zabytku. Wojna o dach wygrana, ale plac przed kościołem może zostać zmieniony

Opożarze katedry Notre Dame w Paryżu dowiedziałem się, gdy w czasie powrotu do domu odebrałem telefon od dziennikarza pewnej stacji radiowej. Chciał mnie zaprosić do audycji, abym skomentował to wydarzenie

jako publicysta i przede wszystkim jako Francuz mieszkający w Polsce. Później oglądałem, już w rodzinnym gronie, ze smutkiem i z niedowierzaniem, jak nad jedną z najśłynniejszych budowli w stolicy mojego kraju unoszą się wielkie płomienie i ogromna kolumna dymu. Żałowałem, że tyle lat tam nie byłem i ledwo ją pamiętam, że moje dzieci tej wspaniałej katedry gotyckiej, którą znają z bajki „Dzwonnik z Notre Dame”, może nigdy nie zobaczą w rzeczywistości. Wydawało się bowiem, że sędziwa budowla, której nie obaliły wieki, rewolucja francuska ani wojny, może w każdej chwili runąć. Telewizyjni komentatorzy twierdzili, że jeśli ogień zajmie wieże, to będzie koniec. Dobudowana w XIX w. środkowa iglica zapadła się, przebijając XIII-wieczne kamienne sklepienie. Tego typu sklepienia średniowieczni budowniczowie wymyślili dla gotyckich

katedr właśnie po to, aby stanowiły zapórę przeciwożniową na wypadek zapalenia się drewnianej konstrukcji dachu.

WSZYSTKO OCALAŁO

Dzięki Bogu oraz dzięki bardzo skutecznej i dobrze przemyślanej interwencji paryskich strażaków pożar opanowano, a katedra Notre Dame wciąż stoi. Dzisiaj już wiadomo, że nie grozi jej zawalenie, a skala zniszczeń jest tak naprawdę dużo mniejsza, niż mogło się początkowo wydawać. W zasadzie duże roboty naprawcze dotyczą jedynie odbudowy zniszczonej części sklepienia, która stanowi ok. 15 proc. wszystkich sklepień, odbudowy dachu oraz ewentualnie iglicy, którą wzniesiono w XIX w. w miejscu dawnej XIII-wiecznej sygnaturki. Główne wieże, większa część sklepienia, mury, kolumny, całe wyposażenie drewniane,



witraże, figury, marmurowe podłogi, organy oraz relikwie ocalały.

Philippe Villeneuve, główny architekt zabytków odpowiedzialny za katedrę Notre Dame, z którym rozmawiałem pod koniec marca tego roku, zapewnił mnie nawet, że choć właściwe prace budowlane ruszą najwcześniej jesienią 2021 r., to pięcioletni termin odbudowy katedry podany przez francuskiego prezydenta Emmanuela Macrona zaraz po katastrofie jest możliwy do utrzymania.

Villeneuve jako przedstawiciel ministerstwa kultury odpowiada za przygotowanie wycień, projektów i propozycji, które koordynuje specjalnie powołany państwowy podmiot odpowiedzialny za restaurację i konserwację katedry Notre Dame w Paryżu. Na czele tego podmiotu stanął gen. Georgelin. Głośno było o nim we Francji, kiedy pytany przed senacką komisją o komentarz do medialnych wypowiedzi Villeneuve'a na temat kształtu przyszłej iglicy powiedział w swoim wojskowym stylu, że ten ostatni ma „zamknąć gębę”. Na te słowa zareagował minister kultury. Spór został jednak zażegnany i według samego Villeneuve'a współpraca układa się dobrze.

JESZCZE PIĘKNIEJSZA?

Konflikt dotyczył tego, czy dach z iglicą należy odbudować wiernie, czy pozwolić sobie na coś, co Emmanuel Macron nazwał „śmiałym gestem architektonicznym”, kiedy obiecywał narodowi francuskiemu nazajutrz po pożarze: – Odbudujemy katedrę Notre Dame jeszcze piękniejszą.

Dwa dni po pożarze premier Francji Édouard Philippe zaczął już wcielać w życie prezydencką obietnicę, ogłaszając rozpisanie międzynarodowego konkursu na projekt architektoniczny nowej iglicy, mającej zastąpić iglicę Viollet-le-Duca. Pojawiły się różne dziwaczne pomysły dotyczące nie tylko iglicy, lecz także samego dachu. Samo rozpisanie konkursu powinno dziwić, bo – jak zwrócił mi uwagę Frédéric Épaud, badacz francuskiego Narodowego Centrum Badań Naukowych (CNRS), będący w swoim kraju jednym z najlepszych specjalistów od średniowiecznych konstrukcji drewnianych – Karta wenecka, której Francja jest sygnatariuszem, zobowiązuje państwo do wiernej odbudowy zniszczonych zabytków, kiedy tylko jest to możliwe. A ponieważ w 2015 r. dokonano bardzo precyzyjnych pomia-

rów konstrukcji dachowej Notre Dame, istnieją bardzo dokładna dokumentacja konstrukcji dachu oraz makieta i projekt XIX-wiecznej iglicy.

Villeneuve od początku sprzeciwiał się oryginalnym pomysłom. Natomiast ks. bp Patrick Chauvet, rektor paryskiej katedry, wyrażał nadzieję, że architekci będą umieli wykazać się pokorą. Z tego, co mówili niektórzy moi rozmówcy, sprawa jest mocno upolityczniona, a ostateczną decyzję podejmie sam Macron.

Do dziś nawet nie rozmontowano rusztowań, które znajdowały się na dachu katedry Notre Dame w momencie wybuchu pożaru (iglica miała bowiem być poddana pracom konserwacyjnym). Na szczęście cztery dni przed pożarem zdążono zdjąć z niej miedziane figury 12 apostołów i czterech ewangelistów, które dzięki temu ocalały.

Początkowo o spowodowanie pożaru oskarżono firmę, która to rusztowanie montowała, ale francuska prokuratura wciąż prowadzi śledztwo w sprawie przyczyn pożaru i brane są pod uwagę różne możliwe wersje wydarzeń. Wciąż tak naprawdę nie wiadomo, co spowodowało taką katastrofę. Z powodu pandemii koronawirusa wstrzymano w marcu demontaż rusztowań na dachu Notre Dame.

O przyszłej iglicy żaden z moich rozmówców nie mógł na obecnym etapie wiązać się wypowiedzieć, uspokajali natomiast co do kształtu samego dachu, w odniesieniu do którego media prześcigały się w publikowaniu różnych dziwacznych projektów odbudowy po pożarze, włącznie z koncepcją dachu-szkłarni w duchu epoki Grety Thunberg. W rozmowie ze mną Philippe Villeneuve porównywał takie pomysły do malowania wąsików na słynnym wizerunku Mona Lizy i śmiał się, że ci, którzy takie propozycje wysuwali, myśleli chyba, iż nie ma już sklepienia. Nie ma też takiej możliwości, aby – jak sugerowano w niektórych publikacjach – zmienił się katolicki charakter tej świątyni – uspokaja Villeneuve.

NIE MA LEPSZYCH KONSTRUKCJI

Po pożarze wiele też pisano i mówiono w mediach o XIII-wiecznej dębowej konstrukcji dachu: że nie umiemy już takich konstrukcji budować, że nie ma już we Francji odpowiednich dębów itp., itd. Bzdury! Philippe Villeneuve, podobnie jak Frédéric Épaud oraz prezes Towarzystwa Przyjaciół Notre Dame Jean-Michel Leniaud, z którym także rozmawiałem,

potwierdzają, że do tej pory nie wymyślono lepszych konstrukcji dachowych niż średniowieczne drewniane konstrukcje gotyckie.

Leniaud podkreśla, że można będzie mówić o odbudowie dachu zgodnie z pierwotnym stanem tylko wówczas, jeśli oprócz dawnej konstrukcji drewnianej zostanie przywrócone ołowiane pokrycie dachu. Profesor Leniaud jest znawcą architektury i sztuki XIX i XX w., specjalistą od katedry Notre Dame oraz uznanym we Francji ekspertem w dziedzinie konserwacji zabytków. Co prawda w dzisiejszych czasach ołów nie jest materiałem mile widzianym, ale – jak podkreśla główny architekt zabytków Philippe Villeneuve – absolutną nieprawdą jest pogłoska, że pożar Notre Dame spowodował opad osadu ołowiu w całej okolicy. Doniesienia te zostały zdementowane w wyniku oficjalnego śledztwa, a poza tym – jak tłumaczy Villeneuve – ołów wyparowuje dopiero w temperaturze 1750 st. C, a temperatura powyżej sklepień w czasie pożaru mieściła się w przedziale 800–1000 st. C. Ołów jest zresztą regularnie używany przy restauracji zabytków.

Pomimo istnienia bardzo dokładnej dokumentacji spalonego dachu nadal trzeba przygotować projekt, który pozwoliłby odbudować konstrukcję dachową identyczną z tą, którą wybudowano w XIII w. Nad takim pracuje Frédéric Épaud. Wyjaśnia, że konstrukcja, której dokładne pomiary wykonano kilka lat temu, nie była już w całości oryginalną konstrukcją XIII-wieczną. Na przestrzeni wieków wiele razy ją odrestaurowywano, naprawiano i wzmacniano w różnych miejscach. Dlatego pierwszym wyzwaniem dla badaczy jest odtworzenie, jak dokładnie wyglądała pierwotna struktura. Poza tym i ta oryginalna konstrukcja ewoluowała w trakcie budowy, gdyż średniowieczni cieśle ciągle doskonalili stosowane rozwiązania. Inne są więzary dachowe, które montowano w pierwszej kolejności nad główną nawą, a inne są te, które położono w nieco późniejszym czasie nad prezbiterium. Aby odtworzyć konstrukcję, należy ją zatem dobrze zrozumieć i wiedzieć, jak rozkładała ona na mury nośne siły i ciężar dachu.

TYSIĄC DĘBÓW

Za to surowiec potrzebny do rekonstrukcji nie jest w żadnej mierze problemem. Francja ma największą powierzchnię leśną w Europie, a – jak tłumaczy



■ Épaud – dęby użyte do budowy katedry Notre Dame były dębami w większości niezbyt dużymi, o średnicy 25–30 cm i długości pnia maksymalnie do 12 m, podobnie jak w przypadku konstrukcji dachowych zastosowanych w gotyckich katedrach w Lisieux, Rouen, Bourges czy Bayeux. Są to zatem dęby młode, które bez trudu można znaleźć we francuskich lasach w liczbie ok. 1 tys. sztuk. Istotna jest natomiast technika wykonania beli: pnie powinny być bezwzględnie, podobnie jak w średniowieczu, obciosane ręcznie za pomocą siekier, zgodnie z kierunkiem włókien drewna, przy zachowaniu kształtu pnia, nawet gdy ten nie jest prosty, tak aby rdzeń drzewa pozostawić nienaruszony w samym jego

środku. W tym bowiem kryje się tajemnica wyjątkowych właściwości i trwałości średniowiecznych konstrukcji dachowych, zdolnych przetrwać bez żadnej konserwacji wiele wieków.

Gdyby nie ubiegłoroczny pożar, 800-letnia konstrukcja dachu w Notre Dame byłaby według badacza w stanie wytrzymać jeszcze co najmniej tysiąc lat. Natomiast konstrukcje metalowe czy żelbetowe, które stosowane są odpowiednio od XIX i XX w. w odbudowie dachów katedr, są zwykle do całkowitej wymiany po 100–200 latach. W przeciwieństwie do tego, co mówiono w mediach, techniki obciosowywania i montażu konstrukcji drewnianych, podobne do tych wykorzystywanych przez budowniczych katedr z okresu gotyku, były powszechnie stosowane jeszcze do początku XX w., a nawet dzisiaj wciąż istnieją małe firmy rzemieślnicze, które potrafią takie konstrukcje wykonać. Jest ich jednak coraz mniej. Wybór tej formy odbudowy dachu katedry Notre Dame byłby zatem okazją, aby praprawne umiejętności utrwalić i przekazać kolejnym pokoleniom.

Tradycyjna technologia obróbki drewna jest według znawcy konstrukcji średniowiecznych tańsza i bardziej ekologiczna w wykonaniu, ponieważ pozwala wycinać mniejsze drzewa i nie ma potrzeby transportowania pni tam

z i z powrotem do tartaków, z których niewiele jest w stanie wyciąć belki o długości 10 m i więcej. Nie ma też potrzeby suszenia drewna, a straty materiału są minimalne (co z kolei pozwala wyciąć mniejsze, młodsze drzewa do uzyskania belek danej wielkości).

Prezes Towarzystwa Przyjaciół Notre Dame również nie widzi problemu w szybkiej odbudowie dachu. Podkreśla natomiast, że pilniejsze są naprawa sklepienia i ponowne zamontowanie organów tak, aby w katedrze mogły znowu odbywać się msze święte. Martwi go jednak, że tyle czasu zajmuje samo zdejmowanie rusztowań sprzed pożaru. Jak mówi prof. Leniaud, na razie zainstalowano jedynie nowe rusztowanie, aby

móc zdjąć poprzednie. Poza tym w dobie pandemii wytyczne rządu w sprawie budów są niejasne i nie wiadomo, kiedy roboty demontażowe znowu ruszą. Nie zebrał się nawet jeszcze komitet darczyńców, który utworzono jako ciało konsultacyjne przy państwowym podmiocie kierowanym przez gen. Georgelina. Duża część z miliarda euro obiecanego przez większych i mniejszych darczyńców z Francji i całego świata, również z Polski, wciąż nie wpłynęła na konto instytucji organizujących zbiórki. Leniaud nie ma wątpliwości, że jest to co najmniej po części spowodowane utrzymującymi się niejasnościami co do przyszłego kształtu restauracji zniszczonej katedry.

WIZJE MACRONA

Z jednej strony nie wiadomo, kiedy prace ruszą, a z drugiej swoje piętno na sprawie odbudowy odcisnęła deklaracja prezydenta Macrona, który chciałby iść w kierunku nowoczesności. Jest to kwestia czysto polityczna – podkreśla Leniaud – a nie problem związany ze współczesnymi możliwościami technicznymi czy z kosztorysem. Dlatego prof. Leniaud chwali gen. Georgelina za to, że uważa on, iż samą katedrę należy przywrócić do stanu pierwotnego, a nowoczesność powinna znaleźć formy wyrazu na poziomie głównego placu przed świątynią.

I tu jest pies pogrzebany. Już przed pożarem istniały pewne zakusy, aby przekształcić okolice paryskiej katedry na wyspie Île de la Cité. Zniszczenie spowodowane ubiegłorocznym żywiołem może okazać się pretekstem do wcielenia w życie różnych pomysłów, takich jak tzw. projekt Perrault, który został wykonany w 2015 r. na zamówienie ówczesnego prezydenta Francji François Hollande'a oraz mera Paryża Anne Hidalgo (obu wywodzi się z Partii Socjalistycznej). Celem projektu jest jak najlepsze wykorzystanie obecności ok. 14 mln turystów przebywających co roku na 22 ha wyspy znajdującej się w samym sercu stolicy.

Na łamach styczniowego numeru specjalnego poświęconego katedrze Notre Dame katolickiego dwumiesięcznika „L'Homme Nouveau” francuska dziennikarka Marie Piloquet opisuje, jak ten projekt dotąd „odłożony do szuflady” z powodu różnych przeszkód (choćaby z powodu obecności aż 35 zabytków na Île de la Cité) znów się wyłonił, nazajutrz po pożarze, kiedy prezydent Macron ogłosił, iż „odbudujemy Notre Dame jeszcze piękniejszą”, m.in. przekształcając tereny dookoła kościoła: „plac [przed katedrą], skwer Jana XXIII, promenadę na południowym nabrzeżu wyspy Île de la Cité, prowadząc nieprzerwany dialog z klerem oraz z władzami miasta Paryża i opierając się na pracach wykonanych ponad dwa lata temu”.

Specustawa o restauracji Notre Dame przyjęta przez francuski parlament cztery miesiące po pożarze pozwala ominąć wcześniejsze przeszkody również w przypadku założeń „projektu Perraulta”, gdyż obejmuje ona nie tylko samą katedrę, lecz także bezpośrednie okolice, włącznie z podziemiem. Projekt ten zakłada m.in. zastąpienie obecnego placu przed katedrą szklaną podłogą, przez którą widoczna będzie krypta archeologiczna, oraz wykopanie placu poniżej poziomu okolicznych terenów i ulic w celu wybudowania galerii handlowej. Sam autor projektu Dominique Perrault kilka dni po pożarze z 15 kwietnia 2019 r. w wywiadzie dla magazynu „Vanity Fair” powiedział: „Te pomysły są wciąż aktualne i ujrzą być może światło dzienne dzięki temu wydarzeniu”.

Jak napisała Marie Piloquet, przebudowa placu przed katedrą i przekształcenie całej wyspy w centrum turystyczno-handlowe może poczynić katedrze Notre Dame większe szkody, niż zrobiły to płomienie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



IZOLACJA PO KRÓLEWSKU

Maha Vajiralongkorn, 67-letni król Tajlandii, w czasach pandemii zdecydował się na odizolowanie od świata zewnętrznego. W ojczyźnie nie znalazł widocznie dobrego miejsca, bo wybrał luksusowy hotel w Niemczech. Udało mu się wynająć Grand Hotel Sonnenbichl w Alpach. Król, jak to król, ma ze sobą liczną świtę oraz... mały harem. Ramie X, bo taki nosi tytuł władcy, towarzyszy 20 „konkubin”. Po tych informacjach w tajskiej części Internetu rekordy bije hashtag #poconamkról.

FOT. AP/IST NEWS

BIAŁORUSKI FUTBOL HITEM

Białoruś jako jedyna nie zawiesiła rozgrywek własnej ligi piłkarskiej. Prezydent tego kraju uważa bowiem, że sport „jest najlepszym lekarstwem przeciwwirusowym” (sam ostatnio zagrał w meczu amatorskiego hokeja, głosząc: „Czy istnieje wirus? Ja nie widzę żadnego”). Białoruska piłka w czasach sportowej posuchy stała się hitem – prawa do transmisji tej ligi kupili już Rosjanie i Ukraińcy. W Internecie transmisje meczów nagle zyskały milionowe odsłony.

PIŁKARZE DO POMIDORÓW

W Norwegii piłkarze mają trudniej niż na Białorusi, bo rozgrywki zawieszono i dziewięć klubów tamtejszej ekstraklasy tymczasowo zwolniło zawodników. Dostaną zasiłki, ale muszą zarejestrować się jako bezrobotni i potem przyjąć każdą pracę, która zostanie im zaoferowana. Jeden z kibiców drużyny Viking, który jest właścicielem plantacji pomidorów, poinformował media, że zgłosił się do urzędu pracy z ofertą dla piłkarzy (bo na jego

polach zabraknie w tym roku Ukraińców i Polaków). Sportowcy na razie nie mówią „nie”, choć martwią się, czy będą przerwy na indywidualne treningi w ciągu dnia.

SPOSÓB NA OBIAD

Podczas pandemii wielu restauratorów postanawia pomóc pracownikom służby zdrowia i przygotowuje dla nich darmowe posiłki. W Wielkiej Brytanii do darmowego jedzenia upoważnia identyfikator ze szpitala. No i teraz medycy zmagają się z plagą napadów. Złodzieje rzucają się na ludzi wychodzących z pracy, by wyrwać im identyfikatory i najeść się za darmo. Narodowa Służba Zdrowia wysłała ostrzeżenie przed tym do wszystkich placówek.

TYGRYS COVID

Można by zakładać, że termin choroby – COVID-19 – to słowo, którego nie lubimy. Tymczasem jeden pan w Meksyku, który prowadzi prywatny ogród zoologiczny (trafiają tam głównie zwierzęta z cyrków oraz odebrane z egzotycznych hodowli), został zaskoczony porodem tygrysy i dał małemu tygryskowi na imię... Covid. Wiąże z nim bowiem nadzieje na większą liczbę gości, a podczas pandemii za wielu ich nie ma. ©

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE



JACEK PRZYBYLSKI

Kreatywność w czasach zarazy

Marsz Mendelssohna. Wielki, stary kościół napakowany gośćmi. Fotografki i kamerzysta na posterunku. Ksiądz (jeszcze bez maski na twarzy), ślub, pocałunek i huczne wesele na ponad sto osób. Z tych wszystkich elementów wymarzonego ślubu w czasach wszechobecnej zarazy zakochanym zostają tylko: marsz Mendelssohna, ksiądz, para młoda oraz świadkowie.

Wirus pokazuje jednak, że ludzka kreatywność nie zna granic. W amerykańskim stanie Michigan para, po tym, jak się okazało, iż ich wesele na 160 osób anulowała pandemia, znalazła sposób chociaż

na uroczysty ślub. Nie chcąc wchodzić do pustego kościoła, młodzi z pomocą projektanta powycinali z kartonu sylwetki zaproszonych gości, wypełniając ławki po brzegi. Na podobny pomysł wpadł też włoski proboszcz Giuseppe Corbari, który mimo zamkniętego kościoła próbuje zapewnić swoim wiernym w Lombardii przynajmniej częściowe uczestnictwo we mszy, drukując ich zdjęcia i rozklejając je na pustych ławkach. Zdjęcia wysyłali sami wierni i kościół błyskawicznie się wypełnił.

To nie koniec przykładów ludzkiej pomysłowości. Właściciele dronów opanowali sztukę

wyprowadzania psów na spacer ze smyczą „trzymałą” przez bezzałogowego stwora, a w amerykańskim stanie Maryland spragnionym kwarantannikami butelki wina dostarcza 70-kilogramowy pies. Dopiero światowa pandemia sprawiła również, że na Chińczyków spłynął duch ludzkiej cywilizacji, składając władze miasta Shenzhen do wprowadzenia zakazu spożywania psów i kotów.

Idźmy więc naprzód w nadziei – jak uczył zmarły w 2005 r. św. Jan Paweł II. Pandemia w końcu minie. A ludzkość ma szansę, by wyjść z niej lepsza niż przed zarazą. ©



Donbas, czyli beznadzieja

Konflikt trwa, ale od prawie pięciu lat obie strony okopały się na swoich pozycjach. Linia frontu jest dziś nazywana „linią rozgraniczenia”.

Oddziela terytoria kontrolowane przez Ukrainę od obszaru samozwańczych republik ludowych, który to obszar w terminologii Kijowa określony jest mianem ORDLO (Okupowane Regiony Obwodów Donieckiego i Ługańskiego). Według danych ONZ do marca 2015 r. strefę ATO opuściło prawie 2 mln uchodźców. 60 proc. wyjechało na Ukrainę, 33 proc. do Rosji. Kierunek wyjazdu często, ale nie zawsze, był równoznaczny z opowiedzeniem się po jednej ze stron. – Donbas od zawsze był mocno związany kulturowo i językowo z Rosją. Niektórzy wyjeżdżali na wschód, ponieważ tam mieli rodziny, bliskich, i niezależnie od poglądów politycznych było im łatwiej właśnie w tym kierunku uciec przed wojną – mówi



Maciej Pieczyński

Na wojnie o Donieck i Ługańsk najwięcej stracili sami mieszkańcy. Ich życie można podsumować jednym określeniem: sytuacja bez wyjścia

Ołeksandr Demczenko, dziennikarz Radia Donbas Realii. Demczenko sam pochodzi z Doniecka. Jako pracownik proukraińskich mediów nie może wrócić do domu, nie mówiąc już o akredytacji na terenie samozwańczych republik.

Wielu nie zdołało uciec. Niektórzy nie chcieli. – Na tych terenach nie ma wolności słowa, a mieszkańcy niechętnie mówią prawdę niezależnym mediom. Jednak z tych cząstkowych danych, które posiadamy, wynika, że panuje tam duży bezwład społeczny. Ludzie nie myślą o wielkiej

polityce, żyją z dnia na dzień, zastanawiają się jedynie, jak przetrwać – mówi „Do Rzeczy” Maria Piechowska, analityk z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. – Stan infrastruktury jest fatalny, są problemy z dostępem do wody, prądu. Trudno, by ktoś tam został z własnej woli. Nawet ideowi zwolennicy „ruskiego miru” raczej wyjechali do Rosji. Zostali współpracownicy samozwańczej władzy i jej aparatu bezpieczeństwa, a także osoby starsze i ich opiekunowie. Są to zatem w większości ludzie, którzy nie byli w sta-



nie wyjechać czy też odnaleźć się w innej rzeczywistości – dodaje.

WIRUS POD KONTROLĄ?

Zagadką jest odpowiedź na pytanie: W jakim stopniu terenów ORDLO dotknęła pandemia koronawirusa? Władze republik od początku zapewniały, że „sytuacja jest pod kontrolą”. Tymczasem, jak alarmują media, nie robi się nic, aby przeciwdziałać rozprzestrzenianiu się wirusa. Nie kupuje się respiratorów. Kwarantannę wprowadzono za późno i niekonsekwentnie. Brakuje masek, niezbędnych preparatów medycznych, testów. Odnotowano już pierwsze przypadki zachorowań. Ogromna część mieszkańców ORDLO to osoby starsze, a więc zaliczane do grupy ryzyka. Wiele z nich pobiera emeryturę zarówno na miejscu, od władz samozwańczych republik (de facto, od Rosji), jak i od Kijowa. Aby otrzymać tę drugą część swojego dochodu, muszą raz na pół roku (wcześniej – raz na dwa miesiące) przybyć na terytorium kontrolowane przez Ukrainę. Po pierwsze, w Donbasie nie działają ani bankomaty, ani poczta, więc jakiegokolwiek świadczenia można odbierać jedynie osobiście. Po drugie, tylko w ten sposób władze ukraińskie mogą sprawdzić, czy znajdujący się na utrzymaniu Kijowa mieszkańcy okupowanych terenów jeszcze żyje. Niedawno Ukraina zamknęła granicę z samozwańczymi republikami. To samo zrobili separatyści. Zamknięta została również granica republik z Rosją. Z terenów DRL i ŁRL Moskwa wpuszcza jedynie swoich obywateli. Rosjanie przystali do republik grupę specjalistów wojskowych z dziedziny wirusologii. Ich główne zadanie to medyczne zabezpieczenie żołnierzy rosyjskich na terenie ORDLO.

– Jeśli sytuacja epidemiologiczna na terenach okupowanych się pogorszy, to mieszkańcom nikt nie pomoże, a my się nawet o tym nie dowiemy. Miejscowi watażkowie będą ukrywać prawdę nie tylko przed prasą, lecz także przed swoimi mocodawcami z Moskwy. To pokazuje, jak wielkim niebezpieczeństwem jest brak wolności słowa w podobnej sytuacji – mówi Ołeksandr Demczenko.

Zanim jeszcze zamknięto granicę, linię rozgraniczenia codziennie pokonywało średnio 5,5 tys. osób.

Oksana (imię zmienione z powodów bezpieczeństwa) wyjechała z Doniecka latem 2014 r. Jednak po roku życia uchodźcy postanowiła wrócić. Nie chciała żyć w obcym mieście. Nie może jednak

Mimo bardzo silnej rosyjskiej propagandy i strachu aż 58 proc. badanych nazwało siebie „obywatelami Ukrainy”

pracować w swoim zawodzie, bo – jak tłumaczy – musiałyby wtedy postąpić wbrew swojemu sumieniu i podporządkować się prorosyjskiej władzy. Obecnie pomaga mężowi w jego biznesie. – W sklepach jest wszystko, ale jakość bardzo niska. Jeśli ktoś ma pieniądze, to wyjeżdża na zakupy do Rostowa, Krasnodaru (na terenie Rosji). Ceny mieszkań od początku wojny spadły kilkakrotnie, dlatego nie opłaca mi się sprzedawać mieszkania i wyjeżdżać dokądkolwiek – opowiada. Stolica DRL to dziś marny substytut dawnego Doniecka. Jeden z najbardziej okazałych stadionów na kontynencie, gdzie chluba ukraińskiego futbolu, Szachtar Donieck, podejmowała piłkarskie potęgi w rozgrywkach Ligi Mistrzów, gdzie rozgrywano mecze Euro 2012 – to dziś jedynie muzeum. Klub przeniósł się do Kijowa. Z ORDLO wywodziły się również uczelnie wyższe. Miejscowe władze założyły własne, których dyplomy jednak nie będą uznawane w świecie. Rosja z częścią z nich podpisała umowy, na mocy których absolwenci, po zdaniu odpowiednich egzaminów, będą mogli otrzymać dyplom rosyjski. To jednak nie wszystkim się udaje. Szkoły, gdzie wcześniej językiem nauczania był ukraiński, całkowicie przestawiono na język rosyjski. Lekcje ukraińskiego odbywają się raz w tygodniu. Część uczniów podjęła naukę zdalną w szkołach obwodu donieckiego po ukraińskiej stronie.

STRACH

W sondażu przeprowadzonym jesienią ubiegłego roku na zlecenie ukraińskiego tygodnika „Dzerkało Tyżnia” („Zwierciadło Tygodnia”) wśród mieszkańców ORDLO 64 proc. badanych opowiedziało się za włączeniem Donbasu do Rosji (z czego 13 proc. „za włączeniem do Rosji, ale ze specjalnym statusem”). Tylko 5,1 proc. chciałoby powrotu do Ukrainy.

Z pewnością na wyniki sondażu miał wpływ strach mieszkańców przed władzą, za której krytykę można trafić do „piwnicy”, jak miejscowi nazywają katownię separatystycznych służb bezpieczeństwa. Potwierdzają to opowieści Rusłana,

pochodzącego z Doniecka historyka, który tuż po wybuchu wojny musiał wraz z rodziną uciekać na zachód kraju. Za wspieranie miejscowego „euromajdanu” groziła mu śmierć. W rodzinnym mieście pozostała babcia. Jej, jako wdowie po szanowanym oficerze KGB jeszcze z czasów sowieckich, nic nie groziło. Wypytywana o wnuka, wymawiała się niewiedzą. Rusłan często rozmawiał z nią jednak, początkowo przez telefon, później przez Internet. Republiki ludowe to nie Korea Północna, ale strach jest. Bojąc się podsluchu, babcia mówiła ogólnikami, czasem wprost przyznawała jednak, że sytuacja jest fatalna. – Opowiadała, że widziała, jak jakiegoś mężczyznę wprost z tramwaju wyciągnęli za krytykę „opółceńców”. Mówiła też o sąsiadach, których zabierali do „piwnicy”. Nie zawsze wracali żywi – mówi Rusłan.

We wspomnianym sondażu pojawiły się też jednak powody do optymizmu dla Kijowa. Aż 58 proc. respondentów nazwało siebie „obywatelami Ukrainy”. Mimo tego, że rosyjska propaganda jest tam bardzo silna.

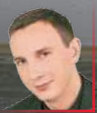
– Do ukraińskich mediów dostęp jest w zasadzie prawie wyłącznie przez Internet. Większość mieszkańców to jednak osoby starszego pokolenia, które czerpią informacje głównie z telewizji, a ta jest rosyjska lub prorosyjska – mówi Ołeksandr Demczenko. Jak zauważa dziennikarz Radia Donbas Realii, moskiewska propaganda korzysta ze związków kulturowych Donbasu z Rosją. – Ludzie mają wielką barierę psychologiczną przed przyznaniem, że tak bliski im kraj jest agresorem. Tym łatwiej więc im uwierzyć w winę Ukrainy. Toczy się niewątpliwie wojna lodówki z telewizorem. W lodówce pusto, ekonomiczna sytuacja jest fatalna. Na konflikcie stracili głównie sami mieszkańcy Donbasu. Dodatkowo, kiedy jeżdżą na Ukrainę, by pobrać emeryturę, przekonują się, że nawet na donieckiej prowincji po ukraińskiej stronie lepiej się żyje niż w Doniecku. Jednak gdy wracają, włączają telewizor i władza już im wszystko tłumaczy. Gdybym jednak miał jednym słowem opisać nastroje, byłoby to słowo „zmęczenie” – dodaje dziennikarz.

Wydaje się, że obecna sytuacja do pewnego stopnia wygodna jest zarówno dla Kijowa, jak i – tym bardziej – dla Moskwy, najwięcej zaś tracą na tym sami mieszkańcy okupowanych terenów.



Oaza szariatu

Muzułmanie z wioski Górna Maoča odrzucają demokrację, ale przekonują, że nie mają powiązań z ISIS. FOT. SAMIR YORDAMOWICZ/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES



Przemysław Kawalec

Prawie 30 lat temu Arabowie przywieźli do Bośni „swój” islam. Teraz kraj zbiera tego żniwa. Są miejsca, gdzie zamiast konstytucji obowiązują szariat, a głównym kierunkiem wyjazdów jest Syria

Edis Bosnić zapewnia, że ani on, ani jego sąsiedzi nie są terrorystami. Owszem, są radykalni, ale tylko w tym sensie, że gorliwie przestrzegają zasad islamu. Popiera jednak ideę światowego kalifatu. – To nasze marzenie. Chcemy, aby wszyscy muzułmanie żyli w jednym państwie i mieli ten sam paszport, w którym jest napisane, że wierzymy w Allaha i proroka Mahometa – wyjaśnia.

W 2018 r. w Bośni i Hercegowinie wybierano m.in. członków Prezydium BiH i posłów do parlamentu państwowe. Uwagę mediów przykuła frekwencja w Górnej Maoči, małej wsi położonej w kantonie tuzlańskim, ok. 30 km od granicy z Chorwacją. Wyniosła ona 0 proc. i był to jedyny taki przypadek w kraju. Gdyby chodziło o inną miejscowość, można by to tłumaczyć brakiem zaufania do polityków. Maoča to jednak przypadek szczególny. Wszyscy jej mieszkańcy to wyznawcy salafizmu – ortodoksyjnej odmiany islamu, charakterystycznej raczej dla Bliskiego Wschodu niż dla Europy.

Salafici odrzucają demokrację. Wychodzą z założenia, że źródłem prawa jest Bóg, a nie ludzki parlament. Nie tylko więc nie głosują, lecz także wybiórczo podchodzą do przestrzegania bośniackich przepisów. – Jeżeli prawo świeckie kłóci się z szariatem, to dla nas pierwszeństwo ma szariat – tłumaczy Bosnić, który w Maoči jest kimś

w rodzaju przywódcy. Wspólnota Islamska rozkłada ręce. Nie może nic zrobić w sprawie Górnej Maoči, bo tamtejszy dżamaat (gmina) pozostaje poza jej strukturami. W 2016 r. została podjęta próba przyłączenia „niezależnych” dżamaatów do Wspólnoty, ale spośród 38 aż 22 – w tym Maoča – propozycję odrzuciło. – To już nie nasza sprawa, niech państwo się tym zajmuje – mówi Husein Smajić, zastępca wielkiego muftiego (najwyższego rangą islamskiego duchownego Bośni), o tym, kto jest odpowiedzialny za niezależne dżamaaty.

Istniejąca od końca XIX w. Wspólnota Islamska jest oficjalnym głosem bośniackiego islamu. Bycie poza nią oznacza bycie poza systemem. Edis Bosnić nie ubolewa jednak z tego powodu. – Meczety, którymi zarządza Wspólnota, są praktycznie puste. W większości z nich nie ma żywej duszy. Tymczasem w barach tłok i szerzy się grzech – mówi, sugerując, że w Górnej Maoči sytuacja moralna jest znacznie lepsza. W tej wsi alkohol jest surowo zabroniony.

Policja odgrażała się, że zamknie meczety we wspomnianych gminach. Bosnić zapowiada, że gdyby do tego doszło, mieszkańcy Maoči będą się modlić na parkingu. I wbrew pozorom nie była to przenośnia. W 2019 r. grupa islamskich turystów w chorwackim Splicie rozłożyła dywaniki modlitewne właśnie między zaparkowanymi samochodami.

Niezależne dżamaaty uchodzą za kuźnię dżihadystów. Z nich wywodziła się większość osób, które wyjechały walczyć do Syrii. Ani Wspólnota Islamska, ani Bośnia jako państwo nie chcą być kojarzone z tego typu aktywnościami. Problem w tym, że nad sytuacją w Górnej Maoči nikt nie panuje. Dlatego wieś nazywana jest „społeczeństwem równoległym” – podobnie jak Molenbeek w Belgii.

SZKOŁA POD HIDŻABEM

Islam jest w Bośni dominującą religią. Wyznaje go 51 proc. mieszkańców, czyli 1,8 mln osób. Mimo to rzadko można tu spotkać zasłoniętą kobietę. Wyjątek stanowi Górna Maoča, gdzie większość kobiet nosi nikab (odsłania tylko oczy). W reportażu Radia Wolna Europa „Mieszkalem w Maoči” widać nawet, jak muzułmanka w pełnym okryciu pracuje z motyką w polu.

We wsi działa szkoła. Uczy się w niej kilkadziesiąt dzieci. Nauczyciele i pracownicy dojeżdżają z innych miejscowości, głównie ze Srebrenika (nie mylić ze Srebrenicą). Są wśród nich także kobiety, które – choć nie robią tego na co dzień – do pracy zakładają hidżab. Jak mówią, chcą w ten sposób uniknąć konfliktów. Relacje rodziców ze szkołą są poprawne. Kością niezgody pozostaje jednak kwestia lekcji muzyki. Rodzice domagają się wycofania tego przedmiotu, argumentując, że muzyka



jest w islamie zakazana i w związku z tym muzycy nie są postrzegani jako postacie pozytywne. Zanim we wsi powstała oficjalna bośniacka szkoła, istniała tu „szkoła” z jordańskim programem nauczania. Działała nielegalnie, bez zgody odpowiedniego urzędu. Na pytanie, kto ją finansuje, odpowiadało: „Dobrzy ludzie”. Był to jeden z powodów, dla których Górna Maoć zainteresowały się służby bezpieczeństwa.

W Górnej Maoć salafici zaczęli się osiedlać na przełomie lat 2000 i 2001. Wcześniej wieś zamieszkiwali uchodźcy, a jeszcze wcześniej Serbowie. Według ostatniego przedwojennego spisu z 1991 r. stanowili oni 86 proc. mieszkańców. Drugą największą grupą byli Jugosłowianie – 13 proc. W czasie wojny wieś została zdobyta przez muzułmanów. Serbscy mieszkańcy uciekli lub zostali wypędzeni. Niektórzy sprzedali swoje domy za bezcen – za 6–8 tys. marek bośniackich (równowartość kilkunastu tysięcy złotych). Stanko Jovanović nie zamierza jednak sprzedawać ojcowizny. – Od 2004 r. próbuję wrócić do domu, ale nie mogę. Czuję się zagrożony. Kiedy chcę wejść na swoją nieruchomość, muszę to robić w eskorcie policji. Salafitom przeszkadza, że jestem Serbem, bo piję alkohol i obchodzę prawosławne święta. Takich osób, które tak ja chcą wrócić, jest więcej.

Górna Maoć to zamknięta społeczność. Mieszkańcy poświęcają się modlitwie i służbie Allahowi. Osoby wyznające inne wartości nie są tu mile widziane. A już zwłaszcza, gdy są to Chorwaci. Przekonał się o tym chorwacki dziennikarz libańskiego pochodzenia, Hassan Haidar Diab. – Chorwaci to najgorszy gatunek krzyżowców! Sprzedali swoje dusze i trzeba ich czym prędzej wybić. Gdy wojska Allaha wyruszą z Bośni na Rzym, przejdą przez Chorwację, a wtedy nie będzie »zmiluć«. W Bośni Chorwaci zabijali muzułmanów, a teraz to samo robią w Iraku. Na pewno szpiegujecie dla Amerykanów – miał usłyszeć podczas wizyty we wsi. Pierwsza próba ruszenia na Rzym została już podjęta. Według dziennika „Corriere della Sera” terroryści – wśród których był mieszkanie Górnej Maoć – planowali zamach na Watykan w dniu pogrzebu Jana Pawła II.

Górna Maoć nie stałaby się tym, czym jest, gdyby nie jeden człowiek. Nusret Imamović przeprowadził się tam w 2006 r. W czasie wojny walczył w szeregach batalionu El Mudżahid. Następnie wyjechał do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, gdzie ukończył studia z prawa szariat. Imamović stanął na czele salafitów w 2007 r., po

śmierci dotychczasowego lidera – Jusufa Barćicia. Od swojego poprzednika był bardziej radykalny. Znany jest jego wpis na portalu „Put Vjernika”, w którym stwierdził, że samobójcze ataki nie są zakazane, ale „trzeba z nich korzystać w wyjątkowych okolicznościach”. W 2013 r. wyjechał do Syrii i przyłączył się do powiązanego z Al-Kaidą Frontu Al-Nusra. Pięć lat później uciekł wraz z rodziną do Libii. Brał udział w walkach o Trypolis po stronie Rządu Zgody Narodowej. Jest uważany za najbardziej poszukiwanego bośniackiego terrorystę.

RADYKALIZM POD KONTROLĄ?

Łącznie z Bośni do Syrii wyjechało ponad 300 osób. Wśród nich Fikret Zukić, częsty gość w Górnej Maoć, który zabrał na wojnę siedmioro (sic!) członków swojej rodziny. Radio Wolna Europa pokusiło się nawet o stwierdzenie, że Bośnia „zimportowała terrorystów przekształcała się w ich eksportera”. Było to nawiązanie do tego, że w latach 90. do Bośni przyjechało kilka tysięcy mudżahedinów – bojowników z Bliskiego Wschodu. Mudżahedini nie tylko walczyli na froncie, lecz także zajmowali się działalnością misyjną. Przekonywali m.in., że bośniacki islam odszedł od korzeni i trzeba go oczyścić z naleciałości. Powrót do „prawdziwej” wiary miał być, według nich, jedyną szansą na przetrwanie wojny. Wiele osób – w tym również takich, które wcześniej nie były religijne – uległo tej propagandzie. Zapuściło gęste brody i zaczęło nowe życie.

Pierwsza salaficka komuna w Bośni powstała tuż po wojnie, w 1996 r., we wsi Boćinja. W latach 2000–2001 komunę tę zlikwidowali żołnierze NATO. Wtedy część osób przeprowadziła się do Górnej Maoć. W 2012 r. sąd skazał Mevlida Jašarevicia na 15 lat więzienia. Powód – terroryzm. Rok wcześniej Jašarević oddał ponad 100 strzałów w kierunku ambasady USA w Sarajewie. Na akcję ruszył prosto z Górnej Maoć, gdzie mieszkał wraz z rodziną. – Nie muszę wyjaśniać, dlaczego napadam na Amerykanów. Oni walczą z islamem i muzułmanami na całym świecie. Zabijają, gwałcą, robią, co chcą. A co się dzieje tutaj? Amerykanie do spółki z Chorwatami i Serbami przygotowują nowy pogrom muzułmanów – z Bośni, Sandżaka, Kosowa, Albanii i Macedonii – mówi w nagraniem przez siebie filmiku.

Czyn Jašarevicia odbił się szerokim echem. Dla wielu osób był też koronnym dowodem na to, że Górna Maoć faktycznie jest bazą treningową terrorystów. W 2015 r. argument ten zyskał jeszcze na

sile. Właśnie wtedy na jednym z domów w Maoć zawisły flagi Państwa Islamskiego. Edis Bosnić wyjaśniał, że zrobiły to dwie osoby, które od dłuższego czasu nie mieszkają już we wsi. – Jeżeli szukacie terrorystów, to tu ich nie znajdziecie. Nie popieramy ani ISIS, ani ich ideologii – oświadczył. Bosnić potępił ataki w Paryżu i Brukseli, dodając jednak, że równie ostro ocenia francuskie bombardowanie Syrii.

W lutym 2020 r. minęło 10 lat od akcji „Światłość”, podczas której do Górnej Maoć wjechało ponad 600 policjantów. Zatrzymano wówczas siedem osób, które podejrzewano o to, że „zagrożają terytorialnej jedności, podważają ustrój i szerzą nienawiść na tle rasowym i religijnym”. Nie znaleziono „znaczej ilości broni”, nikomu też nie postawiono zarzutów. Z tego powodu część komentatorów uważa, że akcja „Światłość” była tylko przedstawieniem na potrzeby Unii Europejskiej i NATO.

„Żeby było jasne, Górna Maoć stała się przedmiotem śledztwa nie przez przypadek. Nie chodzi nawet o tamtejszy sposób życia, ale o stawianie szariat. Nad ponad obowiązującym prawem. Z drugiej strony należy zauważyć, że wszystko to odbywa się w ramach jednej wspólnoty. Nigdy nie próbowali zaprowadzać sprawiedliwości w innych miejscach, nie organizowali szariackiej policji i nie linczowali mniejszości seksualnych” – pisał po akcji tygodnik „Dani”. Było to jednak przed zamachem na ambasadę USA w Sarajewie, który pokazał, że problem może eskalować. Dragan Mektić, były już minister bezpieczeństwa, twierdzi, że państwo odrobiło lekcję i obecnie ma islamski radykalizm pod kontrolą. Udało się zatrzymać wyjazdy bośniackich obywateli do Syrii, a rodziny osób, które wyjechały wcześniej, poddano obserwacji. Celem Bośni jest członkostwo w Unii. A żeby to osiągnąć, rząd w Sarajewie musi skutecznie walczyć z terroryzmem.

Zgodnie z badaniami z 2019 r. wejście do UE popiera 86 proc. mieszkańców Federacji (część chorwacko-muzułmańska) i 59 proc. mieszkańców Republiki Serbskiej. Na tak jest również Edis Bosnić. – Jeżeli Bośnia wejdzie do UE, to otworzy się przed nami wiele drzwi. Będziemy mogli działać w innych miejscach. Z otwartymi granicami łatwiej. Wtedy będziemy mogli pokazać nasz piękny islam nawet Niemcom – podsumowuje. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst powstał w połowie marca, przed wejściem w życie restrykcji związanych z pandemią koronawirusa.



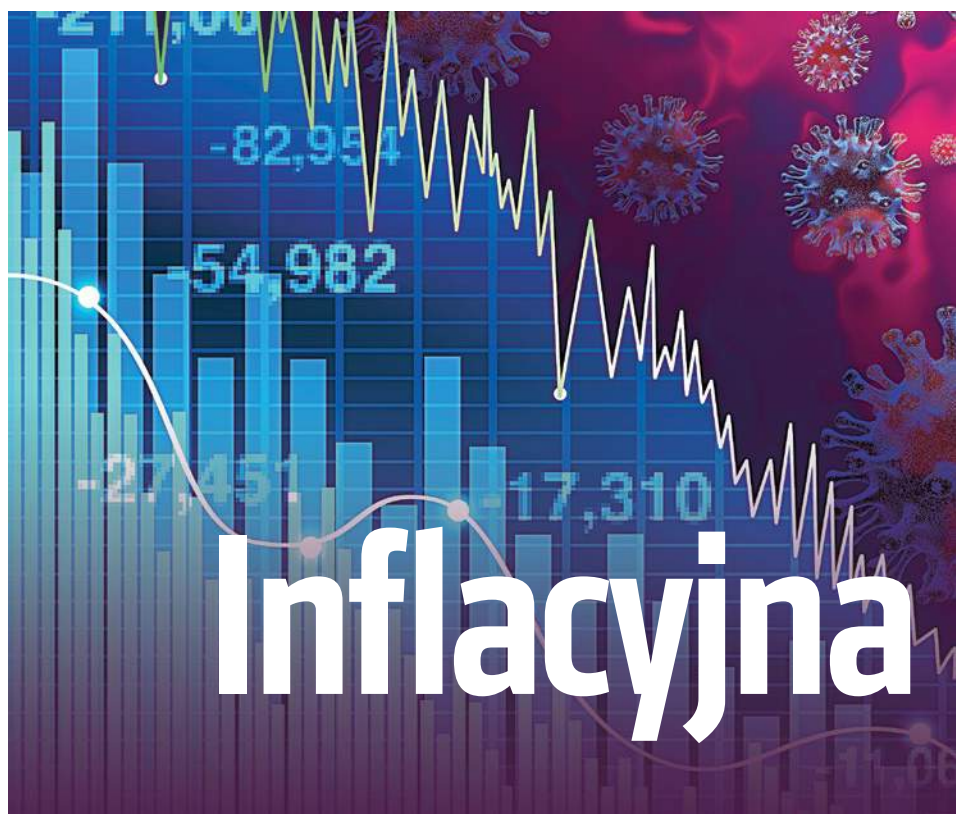
Jakub Wozinski

W krótszej perspektywie czasowej zamieszanie związane z koronawirusem może doprowadzić nawet do spadku inflacji. W dłuższej – sytuacja może być już nieco bardziej skomplikowana

30 marca Główny Urząd Statystyczny poinformował, że nie będzie publikował szybkich szacunków dotyczących cen towarów i usług. Chociaż zarządzenie to związane było z koniecznością dostosowania się do ograniczeń wynikających z pandemii (pracownicy GUS czasowo rezygnują z osobistych odwiedzin w sklepach i przestawiają się na sprawdzanie cen drogą telefoniczną lub e-mailową), to wiele osób odebrało to jako próbę zatajenia faktycznego wzrostu cen.

Pierwsze dane z krajów Europy Zachodniej, do których koronawirus dotarł jeszcze wcześniej niż do Polski, pokazują jednak, że wskaźnik inflacji na razie zdecydowanie spada. Najnowsze prognozy przewidują, że w najbliższych miesiącach w strefie euro należy się spodziewać utrzymania tego trendu.

Podobnego zjawiska należy się spodziewać także w Polsce. Jak twierdzi główny ekspert Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego dr Marcin Kędzierski, w najbliższych tygodniach w naszym kraju będziemy świadkami analogicznego procesu: „W krótkiej perspektywie inflacja raczej spadnie. Pomimo tego, iż ludzie będą mieli więcej pieniędzy, nie będą mieli fizycznej możliwości ich wydawania. W zależności od tego, jak długo potrwa lockdown, będziemy mieli do czynienia z administracyjnym spadkiem popytu, i to będzie się przekładało na spadek cen. Oczywiście pewne produkty, takie jak żywność, mogą podrożeć, ale jeśli popatrzymy na koszyk wskaźnika CPI, to spodziewałbym się raczej spadku inflacji w krótkiej perspektywie. Natomiast w długiej perspektywie wszystko zależy od tego, jak długo potrwa kryzys, i od tego, jak szybko odbudujemy możliwości produkcyjne gospodarki”.



Tego, jak długo potrwają obecne ograniczenia, nie jest w stanie przewidzieć dziś absolutnie nikt. Wpływ na to, jak w nadchodzących miesiącach zmieni się polska gospodarka, mają jednak trendy, które dało się zaobserwować jeszcze przed wybuchem pandemii koronawirusa. Od końca 2019 r. Polska wchodziła w okres podwyższonej inflacji, na którą wpływ miały przede wszystkim rosnące ceny żywności. Podczas gdy w styczniu wynosiła 4,3 proc., w lutym urosła już do 4,7 proc., czyli poziomu długo w naszym kraju niewidzianego. Na początku obecnego roku znacząco wzrósł także wskaźnik oczekiwanej inflacji (ukazujący odsetek osób spodziewających się wzrostu cen) i nie wydaje się, aby obecne zawirowania gospodarcze mogły znacząco zmienić tę perspektywę.

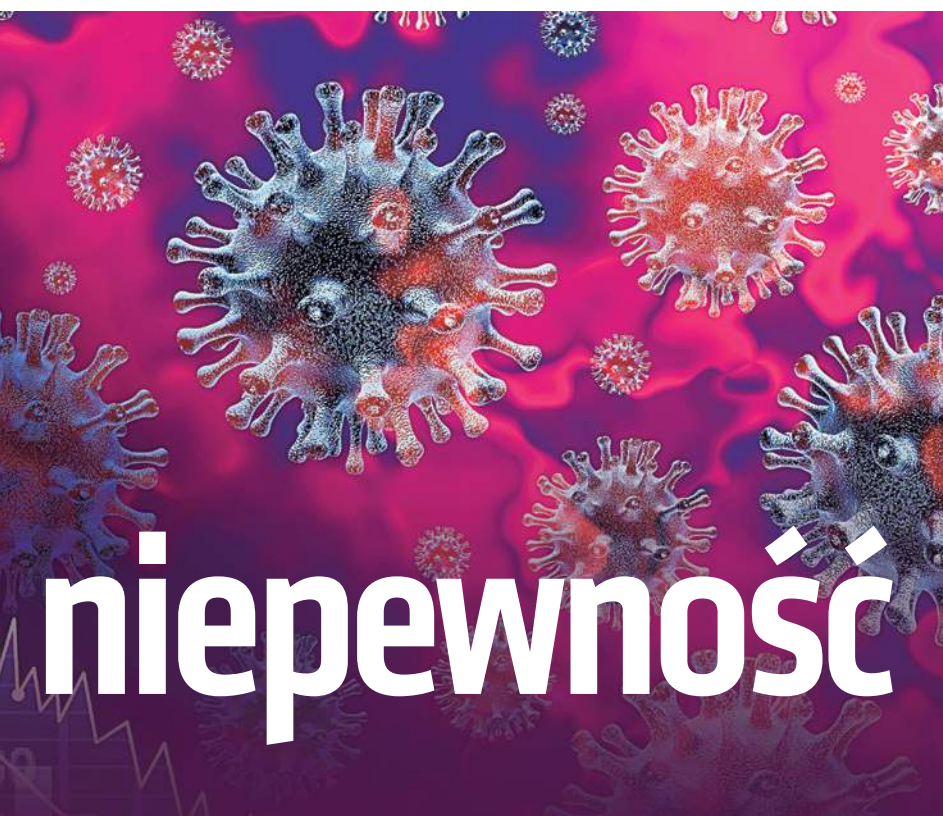
Niebagatelny wpływ na to, że w nadchodzących tygodniach nie powinniśmy się spodziewać znaczącego wzrostu cen, ma z pewnością taniejąca stale ropa. Od czasu, gdy Arabia Saudyjska wyłamała się z porozumienia państw OPEC i znacząco zwiększyła produkcję, cena baryłki ropy spadła do poziomu sprzed kilkunastu lat. Sytuacja w tym zakresie może się jednak wkrótce zmienić, gdyż skutki niskich cen surowców odczuwają także Stany Zjednoczone, które

będą próbowały wystąpić w roli mediatora pomiędzy Rosją i Arabią Saudyjską.

KOREKTA PROGNOZ

Jeszcze kilka tygodni temu wiceminister finansów Leszek Skiba ocenił, że w warunkach globalnego spowolnienia należy oczekiwać, iż w Polsce inflacja będzie spadała. Stosunkowo niski poziom inflacji (2,5 proc.) zachowano także w ustawie budżetowej, którą tydzień temu przyjął Sejm. Istnieje jednak wiele powodów, aby sądzić, że te dość optymistyczne założenia trzeba będzie w końcu poddać bardzo istotnej korekcie.

„Jesteśmy w sytuacji nadzwyczajnej. Na podstawie dostępnej nam wiedzy możemy jednak stwierdzić, że w sytuacji, w której dość gwałtownie rośnie podaż pieniądza, a jednocześnie mamy problemy z podażą dóbr produkcyjnych, będzie to musiało powodować inflację. Tym bardziej że w inflacji bardzo ważną rolę odgrywa psychologia i jeżeli dzisiaj ludzie obawiają się inflacji, to ich oczekiwania inflacyjne mogą się przełożyć na wysoką inflację w przyszłości, i w okresie, dajmy na to 12-miesięcznym, ciężko będzie utrzymać inflację na poziomie oficjalnego celu NBP, czyli 2,5 proc. z odchyleniem o 1 punkt procentowy. Moim zdaniem inflacja raczej przekroczy ten poziom,



niepewność

FOT. ADRIAN STOK

lecz nie jestem w stanie powiedzieć jak bardzo. Nie sądzę przy tym, aby inflacja była dwucyfrowa” – zauważa dr Marcin Kędzierski.

Nietypowy charakter obecnego kryzysu polega przede wszystkim na tym, że społeczeństwo będzie miało do dyspozycji pieniądze (zarówno z własnych oszczędności, jak i z rządowych programów pomocowych), lecz z racji nałożonych ograniczeń nie będzie w stanie wydawać ich tak jak do tej pory. Pozamykane sklepy i punkty usługowe, a także słabszy dostęp do towarów z zagranicy mogą spowodować, że inflacja wzrośnie. Obecnie wielu hurtowników i producentów wyprzedaje zgromadzone zapasy, lecz wraz z czasem przedsiębiorstwa będą coraz silniej odczuwały skutki ograniczonych mocy przerobowych związanych z koniecznością opieki nad dziećmi przez część pracowników oraz efektami pozostałych restrykcji związanych ze zwalczaniem koronawirusa.

Dotychczas państwo, przygotowując tarczę antykryzysową, skupiło się przede wszystkim na stronie popytowej gospodarki, tj. stworzyło narzędzia mające na celu utrzymanie zatrudnienia oraz wypłatę wynagrodzeń. Wydaje się jednak, że jeszcze większy wysiłek będzie trzeba włożyć w odpowiednie wzmocnienie

podażi dóbr. Innymi słowy – troska o wypłaty i dochody może się okazać niewystarczająca, jeśli w parze z nią nie pójdą działania na rzecz utrzymania możliwie jak największej produkcji w całej gospodarce. Wsparcie z budżetu dla pracowników i pracodawców może zostać częściowo strawione przez wzrost cen, jeśli nie zapewni się jednocześnie możliwości nabycia jak największej liczby towarów i usług.

W obecnej sytuacji nie małą winę za podkręcanie obaw o wzrost inflacji ponosi sam rząd, który zapowiedział wzmożone działania Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Powstał przy nim już nawet specjalny zespół pilnujący tego, aby ceny artykułów spożywczych, ochronnych i higienicznych nie były windowane w nieuzasadniony sposób. Chociaż prawdą jest, że hurtownicy i sprzedawcy detaliczni zaczęli w ostatnim czasie żądać zdecydowanie wyższych cen, w większości przypadków ich zachowanie wynika przede wszystkim z ogromnych niedoborów na rynku. W wielu państwach świata produkcja przedstawia się już jednak na wymogi walki z epidemią, dlatego obecną sytuację należy uznać za przejściową. Działania UOKiK mogą się zaś przyczynić bardziej do podsycenia lęku przed

inflacją niż do rzeczywistej walki z drożyzną. Tego rodzaju zachowanie stwarza bowiem wśród obywateli wrażenie, że znaczny wzrost cen jest już praktycznie przesądzony, a urzędnicy próbują walczyć z nim, stosując mało dyskretną broń.

DRUKUJĄCE BANKI

Na obawy Polaków o wzrost inflacji wpływ mają także wydarzenia dokonujące się poza granicami naszego kraju. W ostatnich dniach doszło do bezprecedensowej w skali akcji banków centralnych na rzecz stymulacji gospodarki. Doktor Arkadiusz Sieroń z Instytutu Misesa przekonuje, że podobna sytuacja miała już miejsce: „Takie same obawy były przed luzowaniem ilościowym po kryzysie z 2008 r. – historia pokazała, że były one bezpodstawne. Tutaj jednak wiele zależy od szczegółowych rozwiązań oraz od reakcji banków komercyjnych. W długim terminie ryzyko inflacji rośnie ze względu na wzrost długu publicznego. A jak wiadomo, z wysokiego zadłużenia najłatwiej rządowi będzie wyjść, utrzymując ujemne realne stopy procentowe, co można osiągnąć albo poprzez ujemne nominalne stopy procentowe, albo właśnie poprzez wzrost inflacji”.

Nigdy w najnowszej historii nie doszło jednak do tego rodzaju ograniczeń w funkcjonowaniu gospodarki. Dodatkowo w 2020 r. dług publiczny na całym świecie wzrośnie do bezprecedensowego poziomu. Po ostatnim kryzysie Stany Zjednoczone zdołały w pewnym sensie „wypchnąć” inflację poza swoje granice za pomocą osłabienia kursu swojej waluty, lecz obecny zastój tworzy zupełnie nową sytuację w światowej wymianie handlowej. Poprzedni kryzys dotknął w sposób szczególny wybrane branże; obecnie wsparcia wymagają praktycznie wszystkie sektory gospodarki.

Chociaż obawy o nagły wzrost poziomu inflacji są obecnie zdecydowanie przedwczesne, to dynamicznie zmieniająca się sytuacja gospodarcza nie czyni ich zupełnie bezpodstawnymi. Przyjęte przez większość państw rozwiązania mające na celu zwalczanie pandemii zawierają mechanizm sprzyjający wzrostowi cen, którego nie sposób lekceważyć. W razie przedłużających się ograniczeń ryzyko przyspieszenia inflacji będzie się stawało coraz bardziej realne. To jeszcze jeden powód do tego, aby jak najszybciej opanować obecną pandemię.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czego historia nas nie uczy

Gdy się doświadcza czegoś takiego, co jest naszym udziałem od kilku tygodni w związku z pandemią COVID-19 i towarzyszącą jej paniką, wzmaganą przez wszechogarniające dziś nasz świat media, łatwo dojść do wniosku, że „już nigdy nic nie będzie takie samo jak przedtem”.

Zanim się jednak na takiej konkluzji poprzestanie, warto się zastanowić, co zmieniały – i czy naprawdę aż tak dużo, tak radykalnie, na przykład w sposobach zachowań ludzi – tak przerażające zarazy jak pandemia grypy hiszpanki z lat 1918–1919, która zebrała trudno wyobrażalne żniwo, idące w dziesiątki milionów ofiar śmiertelnych (szacunki są niezwykle różnie – pisze się o od 20 mln do 100 mln ludzi).

Nawet jeśli więc nie jest prawdą – a oby nie było – że po pandemii COVID-19 „już nigdy nic nie będzie takie samo jak przedtem”, to z całą pewnością się zachowania wielu ludzi. Kluczowe dla naszej przyszłości pytanie brzmi teraz: Zachowania jak wielu z nas, jak mocno i na jak długo?

Jeśli niezbyt wielu, w małym stopniu i na bardzo krótko, to zagrożenie związane z następną pandemią jakiegoś kolejnego wirusa może się okazać większe od obecnego. A ta nadejdzie bez cienia wątpliwości, tak jak po hiszpance nadciągnęły epidemie eboli, ptasiej grypy, SARS, świńskiej grypy i MERS – by sięgnąć tylko po główne plagi czasów

najnowszych, a nie te, które masowo zabijały ludzi kilka czy kilkanaście wieków temu.

Wszelako, jeśli zmiana sposobu zachowywania się ludzi będzie dotyczyć bardzo wielu z nas, potrwa bardzo długo i będzie bardzo głęboka, skutkując długofalową niechęcią do kontaktów między ludźmi, to trudno sobie wyobrazić, abyśmy przeszli przez ten kryzys bez recesji tak głębokiej, że dziś wręcz trudnej do wyobrażenia. Recesji, z której skutkami będziemy się zmagać wprost proporcjonalnie długo do czasu trwania tych zaburzonych relacji między ludźmi. Czyli, niestety, niekrótko.

Dlatego fatalnie byłoby, gdyby – z jednej strony – za jakiś czas okazało się, że także pandemia COVID-19, która – w co głęboko wierzę – zostanie w miarę szybko opanowana, była po prostu jeszcze jednym niezwykle traumatycznym wydarzeniem, które dowiodło, iż historia uczy tylko jednego: że ludzkość niczego się z niej nie uczy. Lecz – z drugiej strony – kto wie, czy również z tych skutkach nie okazałoby się, gdyby ta sama ludzkość – w rezultacie pandemii COVID-19 – zmieniła się całkowicie, zupełnie, do cna wyzbywając się tej swojej wspaniałej przypadłości, którą jest może nie nadmiernie słaba, ale przecież nie jakoś przeraźliwie dobra pamięć. Oraz swej niepowtarzalnej i – to prawda – równie uroczej, co rodzącej ryzyko niefrasobliwości. Jak bowiem w przeciwnym razie byśmy żyli? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Na beczce prochu

Moja znajoma mieszka i pracuje od wielu lat w Brukseli. Kilka dni temu napisała mi, że mniej boi się epidemii, a bardziej tego, co mogą zrobić imigranci z dzielnicy Molenbeek. Gdy okaże się, że z powodu zapaści gospodarczej państwo belgijskie musi zacząć oszczędzać na hojnie dotąd wypłacanych zasiłkach, z których wielu świeżo upieczonych jego mieszkańców żyje, zaczną szukać okazji najpierw w sklepach, z których będą wynosić

W Polsce sytuacja jest lepsza – nie wolno porównywać ucziwie pracujących Ukraińców do wegetujących na socjalu Sudańczyków czy Afgańczyków w Paryżu, Mediolanie czy Hadze. Ale i tu mogą zacząć się problemy, gdy jednym cięciem zostanie skończony rynek pracownika.

Włochy zostały zamrożone kompletnie i ich gospodarka leci na łeb na szyję. Biedne południe, szczególnie wystawione na napływ imigrantów, staje się rejonem bezprawia, gdzie zwykłych sklepów i aptek musi pilnować wojsko z długą bronią, bo mafijne struktury zaczęły już organizować regularne napady na te miejsca.

Wszyscy zapomnieli o tym, że na swoim terytorium Grecja ma przepełnione obozy dla imigrantów, wśród których koronawirus również zbiera żniwo. Na Lesbos zdarzały się już bunt i ucieczki z obozu, które brutalnie musiała pacyfikować policja. Jaka będzie desperacja niechcianych w Europie intruzów, kiedy do już istniejących problemów dojdzie choroba, a ich sytuacja materialna stanie się jeszcze gorsza?

Na razie o tym problemie cicho sza, ale pamiętajmy, że w swoim szczytowym okresie Al-Kaida odnosiła największe sukcesy rekrutacyjne wśród najbardziej zdesperowanych z powodów ekonomicznych i społecznych imigrantów, w tym w drugim pokoleniu. Nie chcę być złym prorokiem, ale siedzimy na beczce prochu. ©©

Imigranci nie rozplnęli się w powietrzu

towary bez płacenia, a potem może przyjść czas na domy i mieszkania w bogatszych dzielnicach.

Otej możliwej konsekwencji pandemii koronawirusa oczywiście głośno mówić na Zachodzie nie wypada, bo to niepoprawne politycznie. A przecież imigranci zaludniają Belgię, Holandię, Francję czy Włochy nie rozplnęli się wraz z inwazją wirusa w powietrzu. Wielu z nich z socjalu zrobiło sobie sposób na życie. Na ten socjal ogromnej części państw to moment zwyczajnie nie będzie stać. Do tego dojdzie dramatyczny wzrost bezrobocia, więc zajęcie straci wielu spośród tych, którzy jakieś mieli.



**polski
produkt**

**V EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER GŁÓWNY





Bill Gates w 2015 r. na konferencji TED Talks mówił wprost: – Kolejna epidemia? Nie jesteśmy gotowi FOT. YOUTUBE/TED



Proroctwa miliardera



Jacek Przybylski

Bill Gates od pięciu lat regularnie ostrzegał, że nadchodzi światowa pandemia, równie groźna jak wojna atomowa. Nikt go jednak nie posłuchał. Co radzi teraz? I czy znów ma rację?

Jeśli coś zabije 10 mln osób, to będzie to wirus, a nie wojna – ostrzegał publicznie Bill Gates. I nie było to kilka tygodni temu, lecz w roku 2015, podczas wystąpienia na konferencji TED Talks zatytułowanego wprost: „Kolejna epidemia? Nie jesteśmy gotowi”.

– Przygotujcie się na globalną pandemię i śmierć ponad 30 mln ludzi w mniej niż rok – podkreślał w 2017 r. podczas Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium, ostrzegając, że morderczy patogen może zostać stworzony przez naturę

lub narodzić się na ekranie komputera terrorysty, który wykorzysta inżynierię genetyczną do stworzenia syntetycznej wersji wirusa ospy albo wysoce zakaźnego i śmiertelnego szczepu grypy.

– Według epidemiologów taka pandemia jest możliwa w ciągu następnych 10–15 lat. Musimy się na nią przygotować tak, jak wojsko przygotowuje się do wojny – przekonywał, przemawiając do polityków, dyplomatów oraz ekspertów z całego świata i przypominając pandemię hiszpanki z lat 1918–1919, w wyniku której zmarło nawet 100 mln ludzi.

Swój apel o przygotowanie na nadejście globalnej pandemii powtórzył wielokrotnie. Zauważał, że rządy inwestują ogromne pieniądze w zbrojenia, a lekceważą wysokie ryzyko śmiertelnej pandemii. Przy tym nie tylko podkreślał ryzyko śmierci milionów ludzi, lecz także zwracał uwagę na skutki społeczne i ekonomiczne ewentualnej pandemii. I radził, aby zbudować cały antywirusowy arsenał: od wzmocnienia podstawowej opieki zdrowotnej, zdolnej zbierać i weryfikować dane o chorobach i ich ogni-

skach przez nowoczesną diagnostykę do innowacyjnych szczepionek. Proponował również stworzenie rezerwowego korpusu medycznego, który przy współpracy z armią mógłby szybko wkroczyć do akcji w momencie pojawienia się epidemii.

W latach 2017 i 2018 ostrzegał jeszcze wielokrotnie, podkreślając, że świat powinien traktować zagrożenie pandemią równie poważnie co ryzyko wybuchu wojny atomowej.

Choć współzałożyciel Microsoftu i jeden z ojców komputerowej rewolucji ostrzegał przed pandemią nie tylko niemal sto lat po hiszpance, lecz także zaledwie kilka lat po wybuchu epidemii zabójczej gorączki krwotocznej ebola, która kosztowała życie kilkunastu tysięcy mieszkańców Afryki, to nikt nie wziął na poważnie jego kasandrycznych przepowiedni. Być może dlatego, że sam Gates twierdził, iż najbardziej narażone są kraje najbiedniejsze. Mało kto na bogatym Zachodzie się spodziewał, że coś niewidzialnego gołym okiem może tak szybko położyć na łopatki największe mocarstwa świata.

Gdy w lutym 2020 r. koronawirus SARS-CoV-2 rzucił Chiny na kolana, fundacja Billa i Melindy Gatesów wpłaciła 100 mln dol. na walkę o zatrzymanie rozwoju epidemii. W połowie marca, gdy przerażające statystyki zaczęły napływać niemal z całego świata, zrezygnował z zasiadania w radach nadzorczych Microsoftu oraz holdingu Berkshire Hathaway. Po 45 latach spędzonych w korporacyjnych gabinetach zdecydował bowiem, że chce rzucić to wszystko i... poświęcić więcej czasu działalności na rzecz prowadzonej z żoną fundacji charytatywnej. Miliarder stworzył również specjalny zespół, którego celem jest odkrycie lekarstwa na koszmarnego koronawirusa.

KRUCJATA W LUKSUSIE

Oczywiście taka decyzja może być łatwiejsza do podjęcia przez człowieka, który przez lata przedstawiany był jako pазerny szef korporacji i który w latach 2018 i 2019 zarabiał średnio 1,37 mln dol. za godzinę, co dawało wyjątkowo przyzwoitą stawkę dobową, wynoszącą 32,8 mln dol. (równowartość 137 mln zł). Większość zwykłych śmiertelników, harując przez całe życie, nie zarobiłoby nawet na godzinówkę Gatesa, którego fortuna – nawet po wielkiej koronawirusowej przecenie wartości akcji na nowojorskiej giełdzie – szacowana jest na 98,9 mld dol. (równowartość 415 mld zł).

Miliarder nie musi jednak przejmować się zbytnio zawirowaniami na rynkach finansowych, ponieważ już w 2010 r. w ramach akcji The Giving Pledge obiecał, że w testamencie i tak zdecydowaną większość majątku zapisze organizacjom charytatywnym.

W przeciwieństwie do miliarderów-dusigroszy – takich jak nieżyjący już założyciel koncernu IKEA Ingvar Kamprad, który mimo gigantycznego majątku całe życie mieszkał w skromnym domu, jeździł wiekowym volvo, autobusami i latał samolotami rejsowymi – Bill Gates nie odmawia sobie odrobiny luksusu.

Mimo zaangażowania w walkę z ociepleniem klimatu podróżuje prywatnym samolotem (cena bombardiera BD-700 Global Express wynosi ok. 40 mln dol., więc zarobienie na tę zachciankę zajęło mu niecałe dwa dni). Równowartość mniej więcej trzech dni pracy (63 mln dol.) kosztowało go za to wybudowanie pięknej, olbrzymiej posiadłości w stanie Waszyngton. Sam proces budowy, rozbudowy i przebudowy

gigantycznej rezydencji o powierzchni 6 tys. mkw. zajął jednak robotnikom aż siedem lat. Poza prywatną plażą (z piaskiem przywiezionym prosto z jednej z karaibskich wysp), własnym basenem olimpijskim, kinem domowym na 20 osób oraz 23 łazienkami w posiadłości znalazło się miejsce na osobny pokój zabaw z trampolinami dla dzieci. Jest też gigantyczna biblioteka, w której wśród licznych dzieł znajduje się m.in. XVI-wieczny rękopis Leonarda da Vinci. Jest też garaż na 23 samochody, wśród których stoi m.in. kilka modeli Lamborghini oraz Porsche, w tym najnowsze, w pełni elektryczne Taycan. Tegoroczny zakup e-samochodu, którego ceny zaczynają się od ok. 700 tys. zł, to kolejny element jego krucjaty przeciwko ociepleniu klimatu. – Wolę auta elektryczne niż spalinowe – tłumaczy Gates, który wcześniej, dzielnie walcząc o ratowanie Ziemi, miał również złożyć zamówienie na wart 644 mln dol. innowacyjny, napędzany wodorem superjacht Aqua.

A wracając do posiadłości, Gatesowie mają też wakacyjną rezydencję na Florydzie oraz prywatne rancho w Kalifornii, z własnym torem wyścigów konnych. To oczywiście tylko prywatne nieruchomości miliardera, który w ramach odpowiedzialnego zarządzania majątkiem i dywersyfikacji portfela ma również udziały w wielu prestiżowych hotelach zarówno w USA, jak i w innych krajach świata.

Nie ma jednak powodów do zazdrości. Sam tylko podatek od głównej rezydencji Gatesa zrujnowałby zdecydowaną większość zwykłych śmiertelników – rocznie wynosi on bowiem równowartość ponad 4 mln zł. A przecież trzeba jeszcze opłacić służbę, ochronę etc.

Gates nie musi jednak liczyć się z kosztami, bo nawet gdyby wydawał na swoje zachcianki po 5 mln zł dziennie, to i tak droga do bankructwa zajęłaby mu 250 lat.

Czy to na pewno uczciwe, że ktoś może być tak obrzydliwie bogaty? Nie. W ten sposób na to pytanie odpowiedział sam Bill Gates, który właśnie z tego powodu założył z żoną Bill and Melinda Gates Foundation.

Jednakże założyciel Microsoftu doszedł do tego wniosku długo po tym, jak przez lata cieszył się statusem najbogatszego mieszkańca Ameryki i jednej z trzech najbogatszych osób na świecie (obecnie jest drugi po założycielu Amazona Jeffie Bezosie, którego fortuna

nawet po spadkach na giełdach i kosztownym rozwodzie szacowana jest na 107 mld dol.).

Trzeba jednak przyznać, że choć Bill Gates miliarderem został już jako 31-latek – wówczas był najmłodszym członkiem prestiżowego klubu osób z takim majątkiem – a w wieku 38 lat stał się najbogatszym człowiekiem w Ameryce, to nie opanowało go szaleństwo wydawania pieniędzy na głupoty. Być może dlatego, że William Henry Gates III, bo tak brzmi jego pełne imię i nazwisko, był przyzwyczajony do dużych pieniędzy, którymi mogli pochwalić się jego rodzice: znany prawnik i członkini zarządu First Interstate Bank.

BEZ KOMPROMISÓW

Dzisiaj miliarder nadal ostrzega przed skutkami lekceważenia koronawirusa i przekonuje, że mimo gigantycznych kosztów dla społeczeństwa i gospodarki, gdy trwa wojna z epidemią, nie może być mowy o żadnych półśrodkach. – Trudno powiedzieć ludziom: Hej, chodźcie nadal do restauracji, kupujcie nowe domy i zignorujcie stos martwych ciał leżących w kącie. Chcemy, abyś nadal wydawał pieniądze, bo być może jest jakiś polityk, który uważa, że liczy się tylko wzrost PKB – mówił w wywiadzie dla TED, podkreślając, że mówienie, iż możliwe jest zarówno normalne życie, jak i walka z epidemią, jest bardzo nieodpowiedzialne. Jednocześnie miliarder zdaje sobie sprawę z tego, jak dramatyczne skutki wywrze obecna pandemia na świecie gospodarczym.

– Za naszego życia nic takiego nie miało miejsca. Odbudowa gospodarki... jest jednak bardziej prawdopodobna od przywracania ludziom życia. Musimy więc przyjąć cios w wymiarze gospodarczym, bardzo poważny cios, aby zminimalizować dramatyczne efekty w wymiarze chorób i ofiar śmiertelnych – podkreślił miliarder, nie zważając na to, że jednak nie wszystkich stać na to, aby przez najbliższych kilkadziesiąt lat utrzymywać siebie i rodzinę wyłącznie z oszczędności. Krach gospodarczy gorszy niż wielki kryzys lat 30. XX w. może bowiem doprowadzić na świat nieśczęścia większe niż najgorsza zaraza: dziesiątki milionów bezrobotnych, setki tysięcy bezdomnych oraz falę przemocy i samobójstw. Kogo więc teraz słuchać? To pytanie za miliard dolarów.



Joanna Bojańczyk

Czytając poradniki zachowania w towarzystwie, można zrozumieć, dlaczego Wielka Brytania wystąpiła z Unii

Chyba żaden naród nie ma tak silnego poczucia hierarchii społecznej jak Anglicy. Trochę się to zatarło po upadku imperium i wstrzyknięciu do żył wyspiarzy większych dawek krwi z kolonii, ale są podziały, których to nie naruszyło. Dokumentują to historia oraz literatura, często dodając do tego zbawczą dawkę ironii, coś *very british*. Kto nie ronił łez nad losem Davida Copperfielda? Kto nie uśmiechał się nad Pickwickiem? Kto nie dziwił się żelaznym barierom, na które nadziali się Polacy ostatniej fali emigracji, próbując przekroczyć progi *upper class*?

„Anglosaska literatura od co najmniej dwustu lat z wyjątkową uważnością komentuje niemal niezauważalne, a mordercze podziały obecne w społeczeństwie brytyjskim. Trudno byłoby wskazać powieściopisarza języka angielskiego – od Fieldinga po Grahama Greena, od Austen po Doris Lessing, od Joyce’a po Waugha – który pozostałby obojętny wobec półtonów, niedopowiedzeń, zawieszania głosu, tych przepaści, otwierających się między *lower middle* a *upper middle class*, między mieszkańcami dworców i kamienic, bloków i rezydencji z białym podjazdem” – napisał historyk Wojciech Stanisławski.

Francję przeorała rewolucja 1789 r. – społeczna i obyczajowa. Zachwiały się podziały, arystokratyczna *Vieille France* została ograbiona z włości (częściowo), sponiewierana i zepchnięta do defensywy. Anglia przeszła tylko rewolucję przemysłową, nie społeczną. Społeczeństwo spetryfikowało się w odwiecznych podziałach, tyle tylko, że klasa wyższa utraciła majątki. Trzeba było pozbyć się zimnych i wielkich zamków, bo nie można ich było utrzymać. Niektóre, tak jak *Highclere Castle*, który zagrał w „*Downton Abbey*”, otwarto dla turystów.

Ostatnio, gdy więcej oglądamy, niż czytamy, właśnie serial „*Downton Abbey*” przypomniawszy trwałość i gorycz społecznych podziałów w Wielkiej Bryta-



Jak wspiąć się do wyższych sfer

nii. Doświadczył tego na własnej skórze autor scenariusza serialu Julian Fellowes (Julian Alexander Kitchener-Fellowes, baron Fellowes of West Stafford). Jego ojciec pochodził z arystokracji, matka z klasy pracującej. Niegasnący konflikt klasowy jest również tematem najnowszej produkcji Netflixa – serialu „*The English Game*”. Autorem scenariusza jest również Fellowes. Walka robotników fabryk tekstylnych z kapitalistami rozgrywa się tam w XIX-wiecznych realiach, z eleganckim życiem klasy posiadającej w tle. Coś między „*Ziemią obiecaną*” (przemysł tekstylny) a „*Lalką*”, z tym że tu dodatkowym elementem intrygi jest tytułowa piłka nożna, jak się okazuje, w XIX w. zabawa ludzi zamożnych.

I DLA PANÓW, I DLA PAŃ

Gdy na kwarantannie porządkowałam domowy księgozbiór, wpadła mi w ręce seria angielskich książeczek z zakresu poradnictwa obyczajowego. Nie mam pojęcia, kto w rodzinie i po co pasjonował się tym egzotycznym tematem. Faktem jest jednak, że znalazłam podręczniki zachowania w towarzystwie: osobny dla pań, osobny dla panów, dla rozpoczynających życie, dla niewiedzących, niezamożnych i nieustosunkowanych. Inni nie muszą korzystać z podręczników

– tego wszystkiego nauczyli się oczywiście w domu. Potwierdza się, że droga z *downstairs* do *upstairs* (kto oglądał „*Downton...*”, ten wie, że chodzi o część domu dla służby – dół i dla państwa – góra) jest wciąż najeżona trudnościami. Temu, aby je pokonać, służą właśnie te poradniki. Chyba żaden kraj nie wydawał ich tak licznie jak Anglia. Widać – istniała taka potrzeba.

Weźmy „*An essential handbook for the social climber*” Neila Mackwooda. Rok wydania – 1980. „Podstawowy podręcznik dla wspinającego się po drabinie społecznej”. „Dowiesz się z niego, że co było »in« wczoraj, dzisiaj może być »out«”. Jak przejść bez szwanku przez pole minowe życia w pracy i w społeczeństwie. Dokąd należy chodzić, a gdzie nie wolno stawiać stopy. Jak rozmawiać, jak podróżować, co kupować. A wszystko okraszone jest zabawnymi rysunkami” – zachwala tylna okładka. Zgadza się, znajdziemy tam to wszystko poza rysunkami, które nie są ani dobre, ani zabawne.

Człowiek, który chce się wspiąć po szczeblach londyńskiego towarzystwa, nie ma lekko. I wbrew pozorom pieniądze mogą okazać się bardziej przydatne niż tytuły. Styczeń szanujący się członek klasy wyższej powinien spędzać na Bar-



badosie lub w Aca-pulco, w lutym czeka na niego szwajcarskie Sankt Moritz. W kwietniu opuszczamy Paryż, gdzie przywitaliśmy wiosnę, ale gdzie jednak chłód okazuje się zbyt przykry, i udajemy się w kierunku przyjemnego i słonecznego Monako. W maju wzywa kwitnąca Prowansja, w lipcu obecność na finałach Wimbledonu jest obowiązkowa. W październiku czeka Nowy Jork, który w miesiącach letnich jest nie do przyjęcia z powodu tropikalnego upału. W grudniu można przez chwilę oddać się przyjemnościom świątecznych przyjęć, żeby zaraz po nich skoczyć do Gstaad w celu zadbania o kondycję i zdrowotność.

KOLACJA Z KRÓLEM

„Ludzi kolekcjonuje się tak samo jak antyki czy obrazy” – stwierdza autor książki i poświęca spory rozdział doborowi towarzystwa w różnych okolicznościach. Po czym dodaje, że zręczna pani domu potrafi umiejętnie łączyć ludzi z różnych środowisk. Na wszelki wypadek, żeby uniknąć faux pas, należy jednak wiedzieć, kto jest kim. W tym celu pan Mackwood załącza przydatną listę diuków, markizów i earli, nie zapominając wyjaśnić, którzy z nich, mimo

swojej tytułatury, są obecnie na fali (in), a którzy już wypadli z łask socjety (out). Gdyby którejś z pań doskwierała samotność, przyda się dołączona do spisu lista kawalerów. Aktualizowana na bieżąco, jak można się domyślić.

Najbardziej ambitnym uczestnikom życia towarzyskiego posłuży lista najwyższej tytułowanych osobników, z którymi – jak podejrzewa autor – ten i ów chciałby się poznać, zaprzyjaźnić lub choćby sąsiadować w krzesło przy stole. Niekoniecznie z wzajemnością... A zatem (wziąwszy poprawkę na to, że rzecz dotyczy roku 1980, więc większość wymienionych przebywa obecnie na niebieskich łowiskach) są tu ekskrólowie: król Konstantyn z Grecji, sułtan Zanzibaru,

Umberto z Włoch, Leka, król Albanii, Michał z Rumunii, Simeon z Bułgarii, Otto von Habsburg... A gdyby ktoś nad błękitną krew przedkładał solidne konto bankowe, jest również oferta dostępnych milionerów (miliarderów jeszcze nie było): Stavros Niarchos, Peter Cadbury, Giovanni Agnelli, baron Heinrich Thyssen...

Jeśli ktoś oczekuje powiększenia rodziny, to warto wiedzieć, które imiona obecnie (lata 80.) są do przyjęcia, a które człowieka dbałego o reputację towarzyską mogą tylko skompromitować. W zwyczaju klasy niższej jest naśladowanie socjety, ma ona również skłonność do zdrabniania imion, czego ludzie z pozycją powinni unikać.

„Straciliśmy szacunek dla liderów politycznych i gwiazd, zatem należy unikać nadawania imion tych osób”. Dla chłopców autor poleca: Robert, Luke, Mark, Harry, Richard, Douglas, Frederick (ale nie Fred), Patrick, Mathew. W niezbyt dobrym guście byłyby: Sebastian, Victor, Roland, Kenneth, Geoffrey, Lee, Herbert, Ludwig...

Dziewczynka, dla której rodzice wybiorą imię Claudia, Camilla, Melanie, Alexandra, Eleanor, Sara, Amanda czy Flora, będzie im wdzięczna do końca życia. Co innego, gdy otrzyma imię: Sonia, Hilary, Bianca, Pamela, Tara, Selina, Polly, Erica, Kate, Valentina, a nawet Margaret i Anne...

Nawet w tak trywialnych sprawach jak kuchnia etykieta ma znaczenie. Kolacja to najwyższa forma rozrywek

towarzyskich i może być udana pod dwoma warunkami: pierwszy – umiejętnie posadzeni goście, najlepiej w liczbie sześciu. Homogenizacja co najmniej wskazana – naukowców należy sadzać z naukowcami, nie z cyganerią artystyczną... Aktorów z aktorami. Warunek drugi – właściwe menu. Dowiadujemy się, że pieczeń jagnięca, łosoś, sola i pstrąg są OK. Chili con carne, awokado z krewetkami i kaczka w pomarańczach będą uznane za kicz kulinarny.

SUKNIA Z HONGKONGU – SKANDAL

„Nie lekceważ mody, ona jest tym, co mamy zamiast Boga” – powiedział angielski pisarz Malcolm Bradbury. Moda też ma jednak swoje wymagania, przynajmniej w Wielkiej Brytanii, kraju oświeconej obsesją na punkcie swojej wyjątkowości. I to całkiem wysokie. Członek klasy wyższej w żadnym wypadku nie może sobie pozwolić na tolerowanie tandety oraz na niedochowanie lojalności markom very British. Kiedy rozniosła się pogłoska, że diuk Kentu, wiceprezes Brytyjskiego Zarządu Handlu Zamorskiego, zamówił garnitury w Hongkongu, oburzenie nie miało granic. Nawet labourzyści, którzy (o zgrozo!) kupują ubrania w Marksie & Spencerze, uznali to za drastyczny przykład braku lojalności i patriotyzmu. Potem wyszło na jaw, że również księżniczka Anna zamówiła w Hongkongu pięć sukni, a królowa – spódnicę, suknię koktajlową i wieczorową. Skandal!

Aby uniknąć podobnych sytuacji, pan Mackwood podaje spis firm, w których szanujący się członek klasy wyższej może, a nawet powinien, się zaopatrywać. Wychodzi cała prawda o angielskiej modzie; jest mocna w krawiectwie męskim, ale w damskim musi się bardzo podciągnąć, a na razie posiłkować obcymi markami: Bruno Magli, Manolo Blahnik, Claude Montana, Jean-Paul Gaultier. O dziwo, Dior okazuje się nie spełniać wymagań wysokich sfer...

Czytając tę książeczkę, człowiekiem miotają wątpliwości. To wszystko jest serio? Jak to w brytyjskim humorze, trudno rozróżnić ironię od powagi. Ale tak – to jest serio mimo absurdu tych obserwacji i rad, których niuanse i konteksty zrozumie tylko rodowity Brytyjczyk. W każdym razie czytając to nawet po 40 latach, łatwiej zrozumieć, dlaczego Anglicy wypisali się z Unii. © Wszelkie prawa zastrzeżone



W czasie epidemii leczmy dobrze też cholesterol



z prof. Piotrem Jankowskim, kardiologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Pacjenci z chorobami serca i naczyń są osobami o podwyższonym ryzyku ciężkiego przebiegu infekcji spowodowanej koronawirusem. Oprócz stosowania środków ostrożności – np. unikania osób chorych, zachowania dystansu, stosowania zasad higieny – jakie są dla nich najważniejsze zalecenia?

PROF. PIOTR JANKOWSKI: Rzeczywiście osobami wysokiego ryzyka ciężkiego przebiegu infekcji są m.in. pacjenci z niewydolnością serca, po przebyciu zawału serca, z nasiloną chorobą wieńcową, palacze papierosów, a także osoby z nieuregulowanym ciśnieniem tętniczym, cukrzycą, wysokim stężeniem cholesterolu oraz przewlekłymi chorobami płuc. Oprócz zaleceń dotyczących izolacji i higieny w ich przypadku ważne jest przede wszystkim regularne przyjmowanie leków i stosowanie, na ile jest to tylko

w obecnej sytuacji możliwe, wszelkich zaleceń lekarskich.

Wśród tych zaleceń jest obniżenie cholesterolu LDL, czyli tzw. złego cholesterolu, do pożądanego poziomu. Dlaczego jest to tak ważne?

Właściwa kontrola hipercholesterolemii jest ważna u każdej osoby, natomiast szczególnie ważna u pacjenta, który przeszedł zawał serca albo udar mózgu. Ryzyko wystąpienia kolejnego zawału serca lub udaru mózgu, a także ryzyko zgonu jest u niego znacznie wyższe niż u osoby, która nie przeszła zawału czy udaru.

Dlaczego „zły” cholesterol tak trudno obniżyć?

Cholesterol pochodzi z dwóch źródeł. Źródłem pierwszego jest pożywienie: cholesterol dostarczamy do organizmu wraz z produktami spożywczymi, które

spożywamy – wchłania się on w jelitach. Drugim źródłem jest wątroba, która produkuje cholesterol. Niektóre osoby nieprawidłowo się odżywiają i dlatego mają za wysokie stężenie cholesterolu LDL. Są też osoby, u których wątroba z powodu uwarunkowań genetycznych produkuje szczególnie dużo cholesterolu. A w wielu przypadkach mechanizm jest mieszany.

Najważniejszą przyczyną hipercholesterolemii jest niezdrowy styl życia, czyli nieprawidłowe wybory żywieniowe i brak regularnej aktywności fizycznej. Zmiana stylu życia na prozdrowotny najczęściej istotnie obniża stężenie cholesterolu. Jeśli natomiast pacjent ma również niekorzystny układ genów, to efekty zmiany stylu życia często nie są wystarczające. Dotyczy to również pacjentów o szczególnie dużym ryzyku wystąpienia zawału serca i udaru mózgu.

Zawsze warto więc zmodyfikować styl życia, jednak nie zawsze to jest wystarczające. Najczęściej stosowanymi lekami obniżającymi stężenie



cholesterolu są statyny. Wiele osób obawia się jednak ich przyjmowania. Słusznie?

Niesłusznie. Korzyści z przyjmowania statyn są bardzo dobrze udowodnione. Statyny nie tylko obniżają stężenie cholesterolu, lecz także zmniejszają progresję miażdżycy, ryzyko wystąpienia zawału serca, udaru mózgu, niewydolności serca. Zmniejszają ryzyko zgonu i wydłużają życie.

Dotyczy to pacjentów zarówno młodych, jak i starszych. Największe korzyści widzimy u pacjentów po zawale serca i udarze mózgu, ponieważ mają oni większe ryzyko wystąpienia kolejnego zawału serca lub udaru mózgu. Dlatego staramy się obniżyć u nich stężenie cholesterolu do niższych poziomów niż w przypadku osoby, która nie miała zawału serca ani udaru mózgu. Ponadto w ostatnich latach naukowcy wyróżnili grupę pacjentów o szczególnie dużym ryzyku sercowo-naczyniowym. To osoby, które w ostatnich dwóch latach miały dwa incydenty sercowo-naczyniowe, np. zawał serca i udar mózgu, albo dwa zawały serca. Z wielu badań wynika, że z każdym incydem sercowo-naczyniowym rośnie ryzyko kolejnego zawału i udaru.

Czy statyny zawsze są wystarczające, by obniżyć stężenie cholesterolu LDL do optymalnego poziomu?

Korzyści ze stosowania statyn są udowodnione, jednak mogą one mieć skutki uboczne. Z tego powodu niektóre osoby nie mogą stosować takich dawek statyn, jak to byłoby konieczne. Są pacjenci (niewiele), którzy w ogóle nie mogą stosować statyn. Zdarza się też, że te leki – nawet w dawce maksymalnej – nie są wystarczająco skuteczne, to znaczy nie obniżają stężeń cholesterolu LDL do oczekiwanego poziomu. Zdarza się to szczególnie u pacjentów bardzo wysokiego ryzyka sercowo-naczyniowego, którzy mieli już zawał serca, udar mózgu. W takim przypadku do statyn dołączamy drugi lek obniżający stężenie cholesterolu – najczęściej jest to ezetymib (utrudnia on wchłanianie przez jelita cholesterolu). Obniża on dodatkowo stężenie cholesterolu LDL o kilkanaście procent. Jeśli takie „podwójne leczenie” nie jest wystarczające, to w kolejnym etapie powinniśmy włączyć do leczenia inhibitor białka PCSK-9.

Inhibitory białka PCSK-9? Co to za leki?

Inhibitory PCSK-9 to nowatorska grupa leków; podaje się je w iniekcjach raz na dwa–cztery tygodnie. Mają zupełnie inny mechanizm działania niż statyny i ezety-

Statyny obniżają poziom cholesterolu, a także zmniejszają ryzyko wystąpienia zawału serca czy udaru mózgu

mib, co jest ich dużą zaletą. Niezależnie od tego, czy pacjent jest leczony statyną, czy nie, inhibitory białka PCSK-9 dodatkowo obniżają stężenie cholesterolu o ok. 60 proc. Takie potrójne leczenie: statyna, inhibitor wchłaniania cholesterolu i inhibitor białka PCSK-9 jest obecnie najskuteczniejszą kombinacją leków w leczeniu ciężkiej hipercholesterolemii. Jeśli się je stosuje, to u prawie wszystkich pacjentów możliwe jest uzyskanie prawidłowego stężenia cholesterolu i zmniejszenie ryzyka kolejnego zawału serca czy udaru mózgu.

Oczywiście, musimy także pamiętać o innych czynnikach ryzyka, np. nadciśnieniu tętniczym i cukrzycy. Leczenie tych schorzeń jest równie ważne. Szczególnie w czasach obecnej pandemii.

Inhibitory PCSK-9 niedawno zostały zrefundowane dla chorych z hipercholesterolemią rodzinną i wysokim ryzykiem sercowo-naczyniowym. Jeden z leków tej grupy – ewolokumab – zyskał pozytywną rekomendację AOTMiT dla udostępnienia go pacjentom po wielokrotnych zdarzeniach sercowo-naczyniowych (zawał, udar). U tych pacjentów takie leczenie jest szczególnie ważne?

Im więcej mamy możliwości leczenia, tym lepiej. Byłoby znakomicie, gdyby leki te były dostępne dla jak najszerzej grupy chorych pacjentów. Jednak najważniejsze jest, by były dostępne dla pacjentów o szczególnie dużym ryzyku sercowo-naczyniowym, np. dla pacjentów wysokiego i bardzo wysokiego ryzyka, którzy przeżyli zawał serca lub udar mózgu i mają duże ryzyko wystąpienia kolejnego zawału lub udaru, a dotychczasowe leczenie mające na celu obniżenie poziomu cholesterolu przy użyciu statyny i ezetymibu było nieskuteczne lub nie można go było zastosować.

Możliwość stosowania tego typu leczenia to ewidentne korzyści dla pacjentów. A dla systemu ochrony zdrowia?

Nowoczesne leczenie zmniejsza ryzyko zawału serca i udaru mózgu, a takie leczenie najczęściej jest bardzo kosztowne. Nowoczesne leki często więc zmniejszają koszty dla systemu ochrony

zdrowia. Warto też pamiętać o wpływie na koszty pośrednie chorób, których takie leki mogą pomóc uniknąć. Szczególnie dobrze widać taki efekt w przypadku osób czynnych zawodowo. Skuteczne leczenie może zapobiec konieczności wypłacania zasiłków chorobowych i rent, zapobiega też zmniejszaniu się liczby osób czynnych zawodowo. Wpływ na koszty pośrednie często trudno oszacować, a są one najczęściej istotnie wyższe niż korzyści wynikające bezpośrednio ze zmniejszenia kosztów leczenia chorych.

To leki nowoczesne, ale czy bezpieczne?

Opublikowano wiele wyników badań, w których oceniano skuteczność i bezpieczeństwo stosowania. Wynika z nich, że inhibitory PCSK-9 są dobrze tolerowane, bezpieczne, a przy tym skuteczne. W większości badań częstość występowania potencjalnych działań niepożądanych była podobna do częstości ich występowania w grupie przyjmującej placebo.

Z powodu epidemii koronawirusa na listach refundacyjnych przez najbliższe kilka miesięcy nie będą pojawiały się nowe leki. Czy to słuszne, skoro leczenie chorób przewlekłych, w tym szczególnie kardiologicznych, powinno być obecnie jak najbardziej optymalne?

Najważniejsze jest, by pacjenci z poważnymi przewlekłymi chorobami, takimi jak np. nadciśnienie tętnicze, hipercholesterolemia, cukrzyca, niewydolność serca, choroba wieńcowa, nie przerywali dotychczas stosowanego leczenia. Mogłoby to doprowadzić do kolejnego zawału serca, zaostrzenia niewydolności serca, a nawet, w części przypadków, do zgonu. Dlatego ważne jest, by nie przerywali terapii, kontaktowali się z lekarzem, gdyby wystąpiły niepokojące objawy czy zaczęły brakować im leków.

Żałuję, że lista leków refundowanych nie będzie nowelizowana w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Jak sądzę, wszystkie siły osób zarządzających polskim systemem ochrony zdrowia są obecnie skierowane na walkę z epidemią, jednak nie można zapominać też o pacjentach z innymi schorzeniami.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Piotr Jankowski
jest kardiologiem z Kliniki Kardiologii i Elektrokardiologii Interwencyjnej oraz Nadciśnienia Tętniczego Collegium Medicum UJ.



RYCERZE I WARCHOŁY

Upadek hetmana Kunickiego



JACEK KOMUDA

Stefan Kunicki, nobilitowany w 1673 r. i dopuszczony do herbu Sas dzięki protekcji Michała Chanenki, hetmana Kozaków z prawobrzeżnej Ukrainy, był ostatnim przywódcą Zaporozców, który poprowadził wielką wyprawę na Turków i Mołdawian, jak jego poprzednicy z czasów sprzed powstania Chmielnickiego. We wrześniu 1683 r., kiedy Jan III Sobieski pokonał Turków pod Wiedniem, na zagarniętym przez nich Podolu doszło do powstania Kozaków i miejscowych chłopów. Na czoło starszyzny wysunął się wówczas właśnie Kunicki i natychmiast zaproponował królowi wykonanie dywersji w Mołdawii, którą władał wówczas hospodar Jerzy Duca, typowy przygraniczny satrapa i okrutnik. Popierany przez Turków, udał się pod Wiedeń z Karą Mustafą, był jednak znienawidzony przez bojarów i mołdawską szlachtę, którą gnębił podatkami.

W takich okolicznościach Kunicki został przez Sobieskiego mianowany hetmanem z ramienia Rzeczypospolitej i otrzymał ok. 100 tys. zł na żołd dla Kozaków. Wkrótce zebrał wokół siebie kilkuset mołojców i zaatakował Turków oraz ich zwolenników. Kozacy najpierw porachowali się z namiestnikiem hospodara – niejakim Draginiczem rezydującym w Niemirowie – który na wieść o ich marszu po prostu uciekł do Soroki nad Dniestrem, a następnie do Jass w Mołdawii. Zaporozcy zaatakowali wówczas Bar i Międzybórz, nie byli jednak w stanie ich zdobyć, skierowali się więc nad Dniestr, wzięli Mohylów, Jampol i Sorokę. Następnie, wykorzystując ucieczkę Draginicza, pomaszerowali na południe, „tehińskim szlakiem”, do Kiszyniowa. Po drodze rozprawili się srogo z osiedlami Lipków, dawnych tatarów polskich, którzy pozostali na służbie tureckiej.

Grupa Kunickiego rosła w siłę, bo przyłączali się do niej nie tylko



FOT. WIKIPEDIA

kolejni Kozacy, lecz także Mołdawianie. Po doczekaniu pomocy z Siczy Kunicki dysponował, jak podaje Jan Wimmer, armią ok. 20 tys. ludzi. Hetman wyprawił się teraz na Budziak, pustosząc bezbronne wsie Tatarów, którzy pociągnęli pod Wiedeń, następnie uderzył na Tehinię. Nie zdobył jej, jednak 5 grudnia pokonał pod Kickanami wracające z wyprawy pod Wiedeń ordy: budziacką i białogrodzką; w ucieczce rozsiekano wówczas wodza Tatarów budziackich Alego Gereja. Kunicki próbował następnie zdobyć Tehinię i Białogród, jednak z powodu braku artylerii zakończyło się to porażką. W dodatku jego wojska zaczęły topnieć, bo Kozacy, nabrawszy łupów, wracali gromadami na Ukrainę. Pozostali Zaporozcy łupili sobie zatem bezkarnie Kilię i Izmail, kiedy niespodziewanie dowiedzieli się, że idą na nich siły całej ordy krymskiej powracającej z Austrii!

Tym razem chan Hadży Gerej ubiegł Kunickiego, przeprowadził się niespodziewanie przez Dunaj, zaatakował Kozaków i Mołdawian 30 grudnia pod Tobakiem. Jednak hetman zdołał odeprzeć atak, ustawiając obronny tabor z wozów – była to bodaj ostatnia z bitew, w której ruchoma kozacka forteca została wykorzystana. Widząc jednak, że nie wytrzyma długo otoczony przez konnicę, rozpoczął odwrót w szyku taborowym, podobnie jak 63 lata wcześniej Stanisław Żółkiewski spod Cecory.

I tak samo jak w armii koronnej, tak wśród obrońców doszło do rozłamu. W nocy z 3 na 4 stycznia 1684 r. Mołdawianie dopuścili się zdrady i rankiem uciekli z taboru. Wkrótce wycofał się z niego sam Kunicki, który z jazdą zaporoską przeprowadził się przez Prut i uszedł do Jass, w których panował już nowy, propolski hospodar Stefan Petriceicu. Pozostawieni na pastwę Tatarów piesi Kozacy nie ulegli panice, choć wielu z nich znalazło się w niewoli. Zestawili na nowo tabor i wycofywali się dalej, dając taki odpór wrogowi, że wkrótce chan poniechał pościgu. Kunicki zaś, który w Jassach otrzymał hetmańską buławę od króla, wycofał się na Podole, czyniąc nowe zaciągi i obiecując pomoc hospodarowi. Petriceicu na wieść o wtargnięciu ordy także uciekł, na razie tylko do Suczawy, później zaś do Śniatynia.

Stefan Kunicki zapewne zorganizowałby na wiosnę nową wyprawę do Mołdawii, gdyby nie upadł w sposób znany niestety także ze współczesnych dziejów Ukrainy. Otóż otrzymaną od Sobieskiego sumę 100 tys. zł polskich rozdzielił przede wszystkim między znajomych i rodzinę. Nic dziwnego, że nie spodobało się to pozostałym Zaporozcom, którzy w dodatku rozwścieczeni byli jego ucieczką z taboru i utratą wielu towarzyszy. W marcu na kozackiej radzie w Mohylewie Kunicki został zdjęty z hetmaństwa i zamordowany. Ponoć tuż przed śmiercią usiłował zbiec z koła w czarnych szatach, być może udając prawosławnego mnicha, został jednak rozpoznany i zabity. Tak skończył jeden z najzdolniejszych wodzów kozackich; na nowego hetmana wybrano Andrzeja Mohylę, który dość wiernie (jak na Kozaka) służył Rzeczypospolitej. Chodziły jednak słuchy, że on także nie umarł w naturalny sposób, ale zadławił go w 1689 r. Kozacy niezadowoleni z rozdziału królewskiego żołdu. ©



ŚWIĄTECZNY OBIAD U BRACI ZAWIERUCHÓW

Święta Wielkanocne w naszym domu zawsze były czasem wyjątkowym. Za każdym razem wyglądały podobnie i właśnie ten rytuał i tradycje podobały mi się najbardziej. Wszyscy z niecierpliwością czekaliśmy na Wielką Niedzielę i cudowne śniadanie, które oprócz rezyrakcji było najważniejszym elementem świąt. Uwielbiałem siedzieć w kuchni z mamą i podpatrywać, jak piecze ciasta czy pieczołowicie dogląda barszczu wielkanocnego. Często też naśladowałem ją w tym, co robi. Oczywiście dla mnie i dla mojego brata Rafała, kiedy byliśmy dziećmi, najlepszym dniem był poniedziałek i śmigus-dyngus. Plan na ten dzień obmyślaliśmy już kilka dni przed świętami i zawsze byliśmy świetnie przygotowani na każdą okazję do polania wodą siostr czy rodziny, która nas tego dnia odwiedzała. Kiedy więc spędzamy święta z dala od rodziców, chętnie wspominamy ten wspaniały czas bez troski. Podczas niedzielnej lub poniedziałkowej świątecznej kolacji często na naszym stole pojawiał się schab w sosie grzybowym, którym to przepisem dzielię się z państwem.

Składniki:

- 4 kotlety schabowe
- 2 łyżki oliwy
- 2 łyżki niesolonego masła
- sól, pieprz

Składniki na sos:

- 1 szklanka pokrojonych pieczarek
- 2 łyżki pokrojonej pietruszki (natki)
- 1 łyżka pokrojonego świeżego tymianku
- 4 ząbki czosnku

- 1/2 szklanki śmietany (36-procentowej)
- 4 pomidory suszone w zalewie
- 2 suszone śliwki

Przygotowanie:

- Przyprawić kotlety solą, pieprzem. Na dobrze rozgrzaną patelnię wrzucić oliwę i masło.
- Gdy masło dobrze się rozpuści, obsmażyć kotlety – ok. 4 min z każdej strony do uzyskania brązowego koloru. Odłożyć po smażeniu na talerz.
- Na tej samej patelni podsmażyć pieczarki ok. 3–4 min. Gdy już pieczarki się zarumienią, dodać śmietanę, świeżą pietruszkę, tymianek, sól, pieprz i posiekany czosnek. Dorzucić suszone pomidory i suszone śliwki i jeszcze chwilę pogotować.
- Wrzucić ponownie kotlety do sosu i gotować jeszcze kilka minut. Po ułożeniu na talerzu udekorować świeżą pietruszką i tymiankiem. ©©

oprac. raw

Grzegorz Zawierucha jest zwycięzcą 8. edycji programu „MasterChef”; Rafał Zawierucha jest aktorem.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Burak kontra ananas

Bladawy pomidor, truskawka z anemicznym rumieńcem, sałata, która nie miała czasu się zazielenić, bo zerwano ją w środku wegetacji. Czosnek (naświetlany, żeby nie kiełkował), szpinak, ogórki, rukola... Nie wiemy, czego jeszcze nie wiemy o tych smakołykach z supermarketu, a jednak jemy to z poczuciem, że zaopatrujemy organizm w potrzebne witaminy. Jednak te przednówkowe, zachęcające apetycznym wyglądem, umyte i ślicznie zapakowane warzywa rosną w sztucznym środowisku. Przyjeżdżają z największego warzywnika Europy, Andaluzji. Okolice



FOT. ADOBE STOCK

Marbelli, w lecie raj dla turystów, w zimie przypominają ocean folii. Jarzyny uprawia się tam intensywnie, w szklarniach, podduśzone pod plastikiem, bez ziemi, dobierając najbardziej odporne odmiany.

Trudno uwierzyć, że o takich apetycznych warzywach marzyliśmy za czasów PRL, gdy kupowało się brudne kartofle i marchewkę na targu. Wtedy chcieliśmy, żeby było tak jak na Zachodzie, gdzie pomidory, ananasy, szparagi były przez cały rok. U nas w zimie jadło się kapustę i ogórki kiszone, marchew, cebulę. Dzisiaj, gdy wszystkie egzotyki mamy na wyciągnięcie ręki, nawet w dyskontach, uświadamiamy sobie, że tamto stare miało sens. Zaczynamy odczuwać chęć powrotu do dawnego

systemu, a więc żywności hodowanej w naturalnych warunkach, lokalnej, która nie jest zrywana w stanie niedojrzałym i nie musi pokonywać tysięcy kilometrów zapakowana w folię w samolotach.

A poza wszystkim dlaczego mamy dawać zarabiać zagranicznym hodowcom, pośrednikom, supermarketom? Polska zawsze była krajem rolniczym, warzyw nie brakowało u nas nawet wtedy, gdy na półkach był tylko ocet. Nie brakuje ich także dziś. Nie

zdażyliśmy jeszcze doprowadzić do tego, z czego rozwinięte kraje już się wycofują – intensywnego, nasyconego

chemią rolnictwa. A konsumenci – my – zaczynają szukać alternatywnych

źródeł zaopatrzenia. Powstaje z tego oddolny ruch bezpośrednich dostaw żywności, poza głównym obiegiem. Podobny do tego z czasów, gdy wobec braku mięsa w sklepach po miastach krążyły „baby z cielęcina”. Wtedy był to ruch półtajny, spontaniczny, świetnie zorganizowany, z korzyścią dla wszystkich.

Dzisiaj, w czasie zarazy, takie inicjatywy odradzają się i mnożą. „Prosto z rynku”, „zielona skrzynka”, „polski koszyk”, „paczka od rolnika”. Nie tylko warzywa, lecz także mąka z lokalnych młynów, kasza z lokalnej kłazarni... Nie wiadomo, czy koronawirus – kiedy już przejdzie – zmieni świat na lepszy, ale może chociaż potrząśnie nawykami i przywróci wartość temu, co ją straciło. ©©



TEST „DO RZECZY”: MOTOROLA ONE ZOOM

Bardzo dobry aparat fotograficzny, długi czas pracy na baterii, atrakcyjne wzornictwo, ładny ekran oraz skaner linii papilarnych zintegrowany z wyświetlaczem – to największe zalety czteroobiektywnej motoroli, która łączy w sobie cechy smartfona ze średniej półki z fotograficznym flagowcem.

W tym modelu najpierw uwagę przykuwają aż cztery obiektywy głównego aparatu fotograficznego oraz podświetlane logo Motoroli. Podobać może się jednak cała tylna część obudowy. Ciemne, satynowane szkło wygląda elegancko, nie palcuje się tak łatwo i przywodzi na myśl droższą klasę premium. Smartfon jest solidnie wykonany, lecz jednocześnie stosunkowo ciężki (waży 189 g). Wadą jest brak odporności na pył i wodę (smartfon spełnia na szczęście normę IP52, czyli jest odporny na zachlapanie, co oznacza, że nawet w lekkim deszczu nic nie powinno mu się stać). W zestawie z telefonem dostajemy też gumowe przezroczyste etui.

Ekran testowanego smartfona to OLED o przekątnej 6,4-cala oraz rozdzielczości wynoszącej 2340 x 1080 pikseli (403 ppi). Kolory są śliczne i żywe, czerń głęboka, kontrast znakomity, ostrość obrazu dobra, a i kąty widzenia niezłe. Tak dobry ekran w telefonie ze średniej półki to miłe zaskoczenie.

Największą zaletą tego modelu jest jednak aparat. Do robienia fotografii służą cztery obiektywy: główny 48 Mpix z przysłoną f/1.7, obiektyw

ultraszerokokątny (117 stopni) o rozdzielczości 16 Mpix, teleobiektyw 12 Mpix oraz obiektyw 5 Mpix. A do tego system optycznej stabilizacji obrazu (OIS). Taki zestaw – wraz z aparatem do robienia selfie (25 Mpix, f/2.0) – pozwala na robienie naprawdę fajnych zdjęć. Prawdziwi fani cyfrowej fotografii docenią tryb manualny, a także możliwość zapisu zdjęć w formacie JPG, RAW lub RAW i JPG. Fotografie są pełne detali. Kolory naturalne. Jak na smartfon za mniej niż 2 tys. zł po prostu super. Aparat całkiem nieźle daje też sobie radę w słabszym oświetleniu. Niestety, gorzej jest z filmikami kręconymi tym smartfonem – ich jakość jest wyraźnie słabsza niż w droższych flagowcach innych producentów.

Wracając do plusów, model ten ma zintegrowany z wyświetlaczem skaner linii papilarnych, co w tej półce cenowej jest kolejną miłą niespodzianką. Na pochwałę zasługuje też bateria o pojemności aż 400 mAh, co pozwala na pracę bez ładowania przez półtora dnia czy dwa dni.

Pozostałe podzespoły są już jednak słabsze. Sercem urządzenia jest procesor Qualcomm Snapdragon 675. Do tego zaledwie 4 GB RAM oraz 128 GB pamięci (z możliwością rozszerzenia za pomocą karty pamięci aż o 1 TB). Nie jest to topowa specyfikacja, ale powinna wystarczyć do codziennego użytku. System jest stabilny, a płynność działania jest na poprawnym poziomie. Aplikacje uruchamiają się dość szybko, Internet śmiga, a dzięki modułowi NFC smartfonem tym można też płacić zbliżeniowo. Smartfon może jednocześnie obsługiwać dwie karty nanoSIM lub jedną kartę nanoSIM i jedną microSD.

Minusy? Jakość dźwięków wydobywających się z zamontowanego u góry głośniczka mono jest mocno przeciętna. Nie słychać co prawda żadnych zniekształceń, ale

to jednak nie to. Miłośników muzyki wyższej jakości ucieszy jednak tradycyjne gniazdo słuchawkowe.

W dniu premiery wadą tego modelu była też zbyt wysoka cena, która wynosiła aż 1799 zł. Na szczęście teraz spadła ona do 1598 zł. © ©

Jacek Przybylski



KRZESŁO GIER

Koronawirus zafundował dzieciakom dodatkowe ferie, warto – wyjątkowo – zadbać o to, by nie wałęsały się po dworze, nie spotykały z kolegami i niestety także nie z koleżankami. A jak je zatrzymać w domu? Wiem, wiem, fajnie byłoby, gdyby czytały książki. Niestety rzeczywistość skrzeczy i beczy, zwłaszcza w formie muzyki i efektów gier komputerowych. Ale jak już mają grać, to... wygodnie. I tu pojawia się SenseForce Chair-Extreme – czyli wygodne i solidne krzesło do gier pozwalające na niemal fizyczne odczuwanie dźwięku z efektem „trójwymiarowości”, i to bezpośrednio na ciebie. Najprościej mówiąc – walczysz wiedźmińskim mieczem. Słyszysz łoskot miecza uderzającego o twoje ciało? No to odczuwasz teraz też ten dźwięk uderzenia niemal fizycznie. Trochę technikałów: cztery w pełni niezależne strefy vibracji, regulowana intensywność i charakterystyka drgań, wbudowany Bluetooth o niskim opóźnieniu i wreszcie opcja realnego odczucia dźwięku 3D (ze wszystkich stron, nie tylko w systemie dolby). Do tego dochodzą opcje



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

takie, jak: funkcja Flat Lounge, czyli możliwość zamiany krzesła w „leżankę”, solidne kółka pozwalające na poruszanie się, gazowy podłokietnik i własny bezprzewodowy powerbank.

Zamawiać można na Kickstarterze, dostawa w grudniu, ale wcześniej trzeba zapłacić za krzesło ok. 3,5 tys. zł.

OPASKA-CIŚNIENIOMIERZ

Jasne, ciśnieniomierzy wszelakich, dobrej jakości na rynku jest zatrzęsienie, i to w przystępnych cenach. Ten ma jednak kilka zalet: jest estetycznie wykonany, atrakcyjny wizualnie i bardzo dokładny. YHE BP Doctor Wearable Blood Pressure Smartwatch z medyczną dokładnością prowadzi nieustannie pomiar ciśnienia krwi i dotlenienia organizmu. Działanie jest proste. Aby przeprowadzić test, wystarczy nacisnąć przycisk, przytrzymać rękę nad sercem, a opaska smartwatcha sama napelni się powietrzem i wreszcie opróżni, po czym na ekranie pojawi się odczyt ciśnienia krwi. Jeśli jest ono w zdrowym zakresie, to zobaczysz zielone kółko. Jeśli ciśnienie krwi jest zbyt wysokie, to kolor zmieni się na czerwony. Zamawiać można na portalu Indiegogo, cena ok. 800 zł, dostawa w czerwcu. © ©

Wojciech Wybranowski





POD WĄS

Wyzwania kwarantanny

IGOR ZALEWSKI

Swiat, a przynajmniej media społecznościowe, pełen jest ludzi, którzy gwałtownie się rozwijają. Pochłaniają książki, które piętrzyły się na ich szafkach nocnych. Uczestniczą w webinarach, na których dowiadują się, jak promować w Internecie swoje przyszłe firmy. Słuchają utworów napisanych na flet i harfę oraz oglądają arcydzieła Bergmana, których jakimś cudem do tej pory nie widzieli. Ewentualnie pracują w pocie czoła nad rzeźbą swej klatki piersiowej.

Skręca mnie z zazdrości. Jak oni to robią? Mnie się prawie nic nie udaje. Owszem, plany na kwarantannę miałem ambitne. Ale poszło jak z kampanią Kidawy-Błońskiej. Do czego się nie brałem, to nie wychodziło.

Zacząć trzeba od tego, że gniję w łóżku do godz. 11. Zanim się zwlokę, założę dresy, kapcie i zjem śniadanie, inni już jedzą obiad, po którym wracają do swoich książek i webinarów. Wtedy i ja chcę zrobić coś sensownego, ale łapię za telefon, żeby zbadać, jak tam postępuje pandemii. Ile nowych przypadków w Polsce? Czy Ameryka już first? Czy Hiszpania się wali? Czy Włochy wychodzą na prostą? Czy w Chinach następuje nawrót choroby? Przyswajam najnowsze dane, analizuję, zastanawiam się, jak to będzie w Polsce.

Odrywam się w końcu od ponurych – jak dotąd – statystyk i zabieram się do czytania, ale wtedy moja żona zauważa, że brakuje nam jajek, co czyni dalszą kwarantannę jeszcze cięższą. Trzeba też wynieść

śmieci. Robię, co trzeba, po powrocie od sześciu do ośmiu razy myję ręce, a potem trzy razy je dezynfekuję. I wreszcie sięgam po cudownie eskapistyczną książkę o wyprawie Lewisa i Clarka, ale wtedy okazuje się, że żona chce przygotować obiad. Co oznacza, że ja muszę opróżnić zmywarkę. A po obiedzie ją zapelniam. Oraz gonię syna do nauki.

Po obiedzie człowiek by się zdrzemnął. Im jestem starszy, tym bardziej lubuję się w drzemkach. Ale nie. Czas w końcu zrobić coś treściwego. Przedtem jednak sprawdzam, czy na portalach na komputerach jest coś, czego nie było na portalach na smartfony. Przy okazji prześlizguję się na Facebooka, gdzie irytuję się opiniami prawie wszystkich. Im większa irytacja, tym dłużej siedzę i czytam, i tym bardziej się irytuję. A im bardziej się irytuję...

Potem, no cóż, trzeba wziąć się do sprzątnięcia. Tyle czasu spędzamy w domu, więc produkujemy gigantyczny bałagan, z którym nieustannie walczymy. Mój obowiązek to odkurzanie i prasowanie. I szczerze mówiąc, mam wrażenie, że moja izolacja składa się z wyciągania naczyń ze zmywarki, odkurzania i prasowania. Oraz oczywiście śledzenia newsów na portalach.

Wieczorem... No cóż, wiecór traktujemy tradycyjnie jako rozrywkową część dnia. Coś więc tam oglądamy, byle nie za poważnego. Trochę się wygłupiamy. Trochę pijemy, jak dziecko pójdzie spać. Na rozwój może przyjdzie czas jutro. ☺☺



JAK MAKIEM ZASIAŁ

Przekleci mięsożercy

MARCIN MAKOWSKI

Broń biologiczna, sztucznie stworzony wirus, który wymknął się spod kontroli, kara boska, próba geopolitycznego resetu stref wpływów – teorie spiskowe dotyczące genezy COVID-19 mnożą się z szybkością patogenu choroby. Wśród nich pojawiają się również hipotezy tłumaczące, jak zapobiegać pandemiom w przyszłości. Im prostsze, z tym większą chęcią suflują je osoby, z medycyną mające tyle wspólnego, ile krzesło z krzesłem elektrycznym. „Można by ich uniknąć, gdyby człowiek zrezygnował z zabijania zwierząt i jedzenia mięsa. Musimy zmienić swoje postępowanie wobec natury i rozsądniej gospodarować jej zasobami” – napisała np. europosłanka Sylwia Spurek, puentując myśl hashtagiem #GoVegan.

Efektowną koncepcję doktor nauk prawnych oparła na ekspertyzie innego autorytetu w dziedzinie wirusologii... pisarki Margaret Atwood (tej od „Opowieści podręcznej”). „W pewnym sensie wszystkie te pandemie są spowodowane przez człowieka: gdybyśmy nie udomowili zwierząt i nie jedli niektórych dzikich zwierząt, prawdopodobieństwo, że zarazimy się nowymi, przechodzącymi z gatunku na gatunek wirusami, znacznie by zmalało” – stwierdziła autorka. Wyobrażają sobie państwo ten nowy, wspaniały świat? Bez mięsa, bez cierpień zwierząt, bez pandemii –

gdzie 7,5 mld ludzi zamiast kotleta na obiad spożywa soję, humus i fasolkę szparagową? Szkoda, że o pandemicznym panaceum nie wiedziało 60 proc. ludzkości, która zmarła w wyniku czarnej śmierci przenoszonej przez pchły, które przypłynęły do Europy na szczurach, podróżujących na pokładach statków handlowych z Azji. Tyle, że niejedzenie mięsa mogłoby nie pomóc w walce z dżumą, bo w tym przypadku to drobnoustroje zaatakowały ludzi. No ale nie czepiajmy się szczegółów.

Obecnie, zamiast o weryfikowania podawanych dalej informacji dotyczących koronawirusa, europosłanka ma ważniejsze sprawy na głowie. „Dziś na grupie roboczej S&D w ramach komisji AGRI ponownie poruszyłam kwestię poprawki tzw. veggie burger. Poprawka dot. zakazu używania nazw typu burger, kiełbasa, pasztet w odniesieniu do produktów roślinnych. Godzi to w prawa konsumentek/tów i producentek/tów tychże produktów” – poinformowała na Twitterze pani Spurek. I tutaj również, może ktoś jej nie powiedział, ale zbitka słowna „hamburger” nie pochodzi od szynki („ham”), ale od Hamburga, z którego to miasta potrawę do USA przywieźli niemieccy emigranci. Ech, gdyby nie ci heteroseksualni, przekleci mięsożercy – wszystko byłoby sto razy prostsze. Nieprawdaż? ☺☺

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zastawione sieci

Wolnomularstwo zapewniło Wiekowi Rozumu przekonującą mitologię, międzynarodową strukturę organizacyjną i wyszukane rytuały obliczone na silne spojenie ze sobą nowych adeptów, metaforycznie nazywanych braćmi". Kazimierz Marian Morawski? Jędrzej Giertych? Abbé Barruel? Żaden z nich. Tylko Niall Ferguson – historyk – celebryta (jakich nie brakuje w świecie anglosaskim), którego dzieło „Rynek i ratusz. O ukrytej sieci powiązań, która rządzi światem”, opublikowane po raz pierwszy w 2017 r., ukazało się właśnie nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Ferguson – znany już polskiemu czytelnikowi jako autor m.in. „Domu Rothschildów”, „Imperium” oraz „Cywilizacji”

i przywołaniu na angielski tron protestanckiego Wilhelma Orańskiego. Tak w największym skrócie wygląda historia zachodniej cywilizacji, którą w whigowskiej wersji 2.0 propaguje na kartach swoich książek Niall Ferguson. A że robi to ciekawie, udowadniając, że historyk nie musi pisać nudnych rozpraw dla „określonego czytelnika (promotora, recenzentów i paru kolegów/koleżanek z branży), wizja tym bardziej jest chwytliwa.

Każdy historyk z prawdziwego zdarzenia nie może z góry dezawuować wpływu na dzieje świata „ukrytej sieci powiązań”. Ferguson, jak przystało na nowoczesnego whiga, zaczyna swoją opowieść od reformacji i oświecenia. Jakby nie zauważał sieci, wcale nieukrytych, które aż do XVI stulecia wpływały na politykę, kulturę i duchowość cywilizacji christianitas. Dość wspomnieć wielkie kongregacje zakonne (kluniacką czy cysterską), które inspirowały przełomowe dla całej zachodniej cywilizacji procesy, takie jak reformy gregoriańskie w Kościele czy ruch krucjatowy.

Jednak i tak książka Ferguson'a jest ciekawym spojrzeniem na zjawiska, które przez dyletantów są zbywane sarkastycznym „przecież to tylko teoria spisku”. Szkocki historyk pisze o iluminatach, wolnomularzach i różokrzyżowcach tworzących w XVIII w. transatlantycką sieć powiązań (kanały komunikacyjne) propagatorów Wieku Rozumu oraz inspirujących się oświeceniową ideologią przewrótów politycznych (amerykańska wojna o niepodległość, rewolucja francuska). Fascynująco opisuje pieczołowicie gromadzony przez Rothschildów w XIX w. nie tylko kapitał finansowy, lecz także coraz bardziej rozgałęziony kapitał

społeczny. Analizując rozrost imperium brytyjskiego na przełomie XIX i XX w., pisze o zarządzającym nim „swoistym klubie dżentelmenów amatorów”.

Zaletą książki Fergusona jest również pokazanie, jak różne sieci przenikają się, tworząc całkiem niespodziewane na pierwszy rzut oka „węzły komunikacyjne”. Jak chociażby w przypadku Facebooka, który zgodnie z poleceniem jego założyciela każdemu nowemu pracownikowi wręcza „Czerwoną książeczkę”, czyli zbiór zasad obowiązujących w tej sieciowej par excellence firmie. Zbieżność z najgłośniejszym dziełem chińskiego komunistycznego ludobójcy Mao Zedonga nie jest przypadkowa. To hołd założycieli Facebooka dla twórcy chińskiej rewolucji kulturalnej. Chociaż obyczaj „dobrowolnego” zakładania niebieskich koszulek firmowych budził również inne skojarzenia. Jak pisał były pracownik Facebooka: „Brunatne koszule zamieniły się w niebieskie, a my wszyscy należeliśmy do nowego społecznościowego »Sturmabteilung«”.

Zajmując się sieciami powiązań, Ferguson wie, o czym pisze. Sam jest bardzo dobrze „usieciowiony” jako wykładowca pracujący na różnych etapach swojej kariery naukowej w Oksfordzie, Cambridge i na Harvardzie, jako członek różnych rad nadzorczych (w tym „funduszu inwestycyjnego o zasięgu ogólnosiwiatowym”) i jako uczestnik spotkań Grupy Bilderberg. Tym bardziej więc warto w tym czasie, gdy zastanawiamy się, jak wyglądać będzie „świat po CV”, zapamiętać jego spostrzeżenie, że „sieci, które odnoszą sukcesy, zazwyczaj unikają rozgłosu i skupiania na sobie uwagi, za to te, które sukcesu nie odniosły, często go przyciągają”. ©©



RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

– jest kontynuatorem whigowskiej wizji historii. Nic lepszego nie mogło spotkać zachodniej cywilizacji jak polityczne i kulturowe przywództwo Wielkiej Brytanii, ta zaś rozpoczęła swój lot ku słońcu dzięki „chwalebnej rewolucji” 1688 r., czyli dzięki obaleniu ostatniego katolickiego króla Anglii Jakuba II Stuarta

Jesteśmy blisko Ciebie



**Dbamy
o bezpieczeństwo
energetyczne
Polaków**



**Zapewniamy
niskie ceny gazu
dla gospodarstw
domowych**



**DOBRA ENERGIA
TANI GAZ**

TANIE TANKOWANIE

Reszta należy do Ciebie

